

Poul Anderson

Ludzie Wiatru

(The People Of The Wind)

Analog, February - April, 1973

Wersja książkowa, Signet, 1973

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:

http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Polskie tłumaczenia utworów z cyklu **Technic History** Poula Andersona.
Kolejność na podstawie „Chronology of Technic Civilization” Sandry Miesel.

The Saturn Game, mikropowieść

Psychodrama, tłum. Wiktor Bukato, Iskry 1987, „Najdłuższa podróż”
Solaris 2008

Margin of Profit, opowiadanie (van Rijn)

Margines zysku, tłum. S.M.G.

The Man Who Counts (War of the Wing-Men), powieść, (van Rijn)

Wojna skrzydlatych, tłum. Wiktor Bukato, Alfa 1985

Hiding Place, mikropowieść, (van Rijn)

Kryjówka, tłum. Wiktor Bukato

Kryjówka, tłum. J.M.

Territory, mikropowieść (van Rijn)

Terytorium, tłum. Wiktor Bukato

Terytorium, tłum. J.M.

The Master Key, opowiadanie, (van Rijn)

Uniwersalny klucz, tłum. J.M.

Lodestar, opowiadanie, (van Rijn i Falkayn)

Gwiazda przewodnia, tłum. Wiktor Bukato

The Star Plunderer, opowiadanie

Założyciele, tłum. S.M.G.

Sargasso of Lost Starships, mikropowieść

Sargassy zaginionych statków, tłum. Witold Bartkiewicz

Bermudy zaginionych statków, tłum. Ewa Chani Skalec, „Gwiezdny
statek” Stalker Books 2022

The People of the Wind, powieść, (potomkini Falkayna i przodek
Flandry’ego)

Ludzie Wiatru, tłum. Witold Bartkiewicz

The Day of Their Return, powieść, (Aycharaych ale nie Flandry)

Dzień ich powrotu, tłum. nieznany

Tiger by the Tail, opowiadanie, (Flandry)

Tygrysa za ogon, tłum. Witold Bartkiewicz

Honorable Enemies, opowiadanie, (Flandry)

Godni wrogowie, tłum. Witold Bartkiewicz

A Message in Secret (Mayday Orbit), mikropowieść, (Flandry)

Wiadomość, tłum. Waldemar Król

A Handful of Stars (We Claim These Stars!, Hunters of the Sky Cave),
powieść, (Flandry i Aycharaych)

Garstka gwiazd, tłum. Witold Bartkiewicz

The Night Face (Let the Spacemen Beware!), powieść

Oblicze nocy, tłum. nieznany, wyd. klubowe

The Sharing of Flesh, opowiadanie

Pod postacią ciała, tłum. Wiktor Bukato, „Księżyc łowcy”, Iskry 1987,
„Najdłuższa podróż” Solaris 2008.

I

— **N**ie możesz teraz polecieć — powiedział synowi Daniel Holm. — Lada dzień może wybuchnąć wojna. Być może już nawet wybuchła.

— Właśnie dlatego muszę lecieć — odparł młody mężczyzna. — Na całej planecie wzywa się Khruathów. Gdzie indziej powinienem udać się, niż do mojego choth?

Kiedy tak mówił, nie tylko wymowa jego słów stała się ptasia. Zmieniła się podstawowa akcentacja jego mowy. Nie używał już Anglicu z Avalonu zmodyfikowanego pod wpływem Planha – zamiast tego w jego mowie słychać było czyste samogłoski, trylowane r, niemalże nucone m, n i ng, mówił niższym tonem, w spowolniony i silnie zrytmizowany sposób; wyglądało to tak, jakby próbował przetłumaczyć ludzkiemu słuchaczowi myśli ythriańskiego mózgu.

Człowiek, którego obraz zajmował ekran telefonu, nie odciął mu się: „Mógłbyś rozważyć pozostanie z własną rodziną”, tak jak kiedyś by to zrobił. Zamiast tego Daniel Holm skinął głową i spokojnie powiedział:

— Rozumiem. Nie nazywasz się teraz Chris, nazywasz się Arinnian — i od razu zaczął wygłądać staro.

Młodzieniec nie wytrzymał. Wyciągnął dłoń, lecz jego palce zostały powstrzymane przez ekran.

— Zawsze będę Chrisem, tato — wyrzucił z siebie. — Tyle tylko, że jestem też Arinnianem. A jeśli nadejdzie wojna, choth muszą być na nią przygotowane, prawda? Zamierzam pomóc - nie powinienem być tam długo.

— Pewnie. Dobrej podróży.

— Pozdrów ode mnie mamę i wszystkich.

— Dlaczego sam do niej nie zadzwonisz?

— No cóż, hmm, muszę się śpieszyć... i przecież ta moja podróż w góry, to nic takiego nadzwyczajnego...

— Pewnie — stwierdził Daniel Holm. — Przekażę im. A ty przekaż ode mnie pozdrowienia swoim braciom.

Drugi Strażnik Marchii Układu Laury zniknął z ekranu.

Arinnian odwrócił się od urządzenia. Przez chwilę krzywił się i przygryzał wargę. Nie lubił ranić ludzi, którym na nim zależało. Ale dlaczego oni nie potrafili tego zrozumieć? Tacy jak oni, przyjęcie do choth nazywali „kompletnie sptasieć”, jakby w jakiś sposób ci, co się na to zdecydowali, wyrzekali się rasy, która ich zrodziła. Nie potrafił zliczyć, ile godzin poświęcił na to, aby jego rodzice - czy też choćby ktokolwiek z ortodo-ludzi - zrozumieli, że w ten sposób poszerza i oczyszcza swoje człowieczeństwo.

Przez głowę przemknął mu skrawek rozmowy:

— Tato, posłuchaj, dwa gatunki nie mogą zamieszkiwać tego samego globu przez wiele pokoleń, bez pewnych dosyć głębokich, wzajemnych konsekwencji. Dlaczego latasz na podniebne polowania? Dlaczego Ferune podaje do swojego stołu wino? A to przecież tylko najbardziej powierzchowne objawy.

— Doskonale to rozumiem. Nie odmawiaj mi choćby odrobiny uczciwości, dobrze? Rzecz w tym, że ty chcesz dokonać kwantowego skoku.

— Bo mam zostać członkiem Stormgate? Posłuchaj, choć przyjmują ludzi od stu lat.

— Nie takimi tłumami jak ostatnio. I mój syn nie był jednym z nich. Chciałabym zobaczyć, w jaki sposób masz zamiar kontynuować nasze tradycje.

— A kto powiedział, że nie będę?

— Po pierwsze, nie będziesz już podlegał ludzkiemu prawu, ale prawu i zwyczajom choć. Chwileczkę. To dobry pomysł, jeśli ktoś jest Ythrianinem. Chris, ty nie masz odpowiednich chromosomów. Ci, którzy udawali, że je mają, nigdy już nie pasowali do żadnej z ras.

— Do licha, ja nie udaję...!

Arinnian odsunął od siebie tę rozmowę, spychając ją w głąb myśli, jakby była jakąś fizyczną rzeczą. Był wdzięczny za prozaiczną konieczność dokonania pewnych przygotowań. Aby dotrzeć do orlego gniazda Lythrana przed zmrokiem, musiał wkrótce wyruszyć. Oczywiście samochód pokonałby tę odległość w niecałą godzinę, ale kto chciałby latać w klatce z metalu i plastiku?

Był nagi. Coraz częściej ci, którzy żyli tak jak on, mieli tendencję do całkowitego odrzucenia strojów i używania zamiast nich farb do skóry. Ale każdy czasem potrzebował ubrania. Ythrianie, dla odmiany, rzadko mogli się obyć bez pasa i sakiewki. Podczas tej podróży będzie chłodno, a on przecież nie miał piór. Przeszedł przez małe mieszkanie, aby wziąć kombinezon i buty.

Przechodząc, rzucił okiem na biurko, na którym leżały papiery związane z jego pracą oraz, cały stos tekstów i książek źródłowych, z których obecnie korzystał, głównie wydruków z Biblioteki Głównej. „Cholera!” pomyślał. „Z niechęcią myślę o rezygnacji, teraz kiedy już prawie wiem, jak udowodnić to twierdzenie.”

W matematyce potrafił zanurzyć się bez reszty. Często wyobrażał sobie, że wtedy jego umysł doznaje tej samej czystej ekstazy, jakiej unoszący się samotnie Ythrianin, musi doznawać w swoim ciele. Dlatego gotów był zaakceptować kompromis, który pogodził go z ojcem. Kontynuował studia i dążył do zdobycia dyplomu z matematyki. W tym celu zgodził się na pewną pomoc finansową od rodziców, choć nie miał już mieszkać w domu. Resztę swych niewielkich dochodów miał zarabiać samodzielnie, jako pasterz i myśliwy, kiedy wyruszy aby żyć wśród Ythrian.

Słyszając to kiedyś, Daniel Holm warknął, choć na jego ustach błąkał się cień uśmiechu:

— Masz dobry umysł, synu. Nie chciałem, żeby się zmarnował. Jednocześnie jest on zbyt dobry. Gdyby nie to twoje zauroczenie ptakami, siedziałbyś w tych swoich książkach, rysował obrazki lub pisał wiersze, w ogóle byś nie ćwiczył; twój tyłek przyrósłby szybko do krzesła, a ty niemalże byś tego nie zauważył. Powinienem być wdzięczny twoim przyjaciółom za to, że zrobili z ciebie coś w rodzaju sportowca.

— Moim choth-braciom — poprawił go Arinnian. Dopiero co nadano mu nowe imię i był pełen dumy i powagi. To wydarzyło się cztery lata temu; dziś już potrafił uśmiechnąć się z siebie. Gubernator tak do końca się nie mylił.

W wieku lat trzydziestu - według awalońskiej rachuby - Christopher Holm był wysoki, smukły, lecz szeroki w ramionach. Z rysów i budowy przypominał swoją matkę: długa głowa, wąska twarz, cienki nos i usta, niebieskie oczy, mahoniowe włosy (noszone krótko w stylu ludzi, dużo latających na pasach grav) i jak dotąd zdecydowanie niewystarczający zarost, który był niewart jakiegokolwiek wzmianki, i wyglądał jakby regularnie stosował enzym antywzrostowy. Karnacja, naturalnie jasna, została przyciemniona przez ekspozycję na światło słoneczne. Laura, gwiazda G5, miała tylko 72 procent jasności Sol i emitowała proporcjonalnie mniej promieniowania ultrafioletowego; lecz Avalon, orbitujący w średniej odległości 0,81 jednostki astronomicznej w okresie równym 0,724 terrańskiego, otrzymywał o 10 procent więcej całkowitego napromieniowania, od tego pod czym wyewoluował człowiek.

Zanim przełożył ramiona przez pasy i zapiał klamrę w pasie, dokonał zwyczajowej inspekcji jednostki grav, element po elemencie. Bliźniacze cylindry na plecach musiały mieć w pełni naładowane akumulatory i idealnie działające obwody. Jeśli nie, będzie martwy. Jeden Ythrianin nie da rady ochronić człowieka przed spadnięciem z nieba. Kilka razy udało im się uratować ludzi podczas takiego wypadku, ale byli to pasterze, mający lassa, które mogli zarzucić na towarzysza i ciągnąć, nie wchodząc mu w tor spadania. Nie wolno było liczyć na takie szczęście. O Boże, mieć prawdziwe skrzydła!

Założył skórzany hełm i opuścił gogle, które stanowiły dla niego marną namiastkę błony mrugającej. Powiesił nóż i miotacz slug na biodrach. Nie spotka go nic niebezpiecznego - nie ma szans na sprowokowanie pojedynku, ponieważ Khruath był objęty świętym pokojem - nie żeby kłótnie w śmiertelnym uniesieniu dumą zdarzały się często - ale ludzie ze Stormgate byli głównie myśliwymi i nie zostawiali swoich narzędzi pracy w domu. Nie musiał zabierać ze sobą prowiantu. Będzie on mu dostarczany z rodzinnych magazynów, do których regularnie dokładał swoją część, i transportowany na miejsce spotkania saniami grav.

Po wyjściu przez drzwi, znalazł się na poziomie gruntu. Ludzie na Avalonie mieli dużo wolnego miejsca - było ich około dziesięciu milionów; do tego cztery miliony Ythrian - i nawet tutaj, w Gray, najbliższym prawdziwemu miastu osiedlu na planecie, budowali nisko i obszernie. Kilka wysokich wież wystarczało dla zamieszkujących tu lub odwiedzających planetę ornitoidów.

Arinnian pstryknął kontrolkami. Nega-siła pchnęła go delikatnie i szybko w górę. Po wyrównaniu lotu przez chwilę rozkoszował się widokiem.

Miasto rozciągało się na wzgórzach, porośniętych drzewami i susin, nakrapianych kolorowymi ogrodami, otaczającymi zatokę Falkayna. Po tafli wody ślizgały się łodzie, głównie wodoloty napędzane żaglami, służące przede wszystkim dla przyjemności. Kilka statków towarowych, o długich kształtach i funkcjonalnym wdziku, stało w porcie, ładowanych i rozładowywanych przez różnego rodzaju roboty. Jeden z nich przyplynał, sądząc po kursie, z Wysp Brendana, a drugi wypływał na Morze Hesperyjskie, które mieniło się srebrem tam, gdzie padały na nie promienie słoneczne, a na północnym i południowym horyzoncie skrzyło się szafirem, aż do purpury. Laura wisiała nisko na pustym zachodnim niebie, bardziej lazurowa niż w południe. Niebo powoli ciemniało; smugi wysokich cirrusów, które Arinnian uważał za pierzaste, zapowiadały utrzymanie się dobrej pogody. Słona bryza szeptała i chłodziła mu policzki.

Ruch w powietrzu był niewielki. W pobliżu przeleciało paru Ythrian, ich skrzydła lśniły brązem i bursztynem. Kilku ludzi, podobnie jak Arinnian, leciało na pasach; z daleka trudno było ich odróżnić od stada smukłych, skórzastych dracul, które wieczór wyciągnął z jakiejś jaskini. Więcej ludzi leciało w samochodach, wglądających jak poziome krople deszczu, odbijających światło z nieożywioną zawziętością. Dwie lub trzy furgonetki kręciły się wokół międzykontynentalnego liniowca, zmierzającego w kierunku portu lotniczego. Ale Gray nigdy nie było jakoś szalenie obciążone ruchem.

Wysoko w górze unosił się jednak cień, którego nie widziano tu od zakończenia Kłopotów: pojazd wojenny na patrolu.

Wojna z Imperium Terrańskim... Drżący Arinnian skierował się na wschód, w głąb lądu.

Już widział cel swojej podróży, daleko poza obszarami nadbrzeżnymi i centralną doliną, niczym wał chmur na krawędzi świata, te szczyty, które były najwyższe na Coronie, a nawet na całym Avalonie, jeśli nie liczyć Oronezji. Ludzie nazywali je Andromedami, ale w swym Anglicu Arinnian używał też ich nazwy w Planha, czyli Matka Pogody.

Pod nim rozciągały się wiejskie tereny. Tutaj, w okolicach Gray, osady z północy zamieszkane głównie przez Ythrian, łączyły się z osadami z południa zamieszkanymi głównie przez ludzi; oba systemy ekologiczne mieszały się z avalońskim, i krajobraz okolicy przypominał istną szachownicę. Ludzkie łąny zbóż, dojrzewające wraz z końcem lata, leżały płowymi prostokątami pośród ogromnych zielonych pastwisk, na których Ythrianie wypasali swoje maukh i mayaw. Obszary leśne, dębów lub sosen, pełne wiatrołomów i kikutów konarów, wdzierały się na niemal bezdrzewne połacie berylowych rodzimych susin, gdzie od czasu do czasu można było dostrzec barysauroida. Pęd wiatru podczas podróży rozwiał jego obawy. Niech Imperium atakuje Domenę... jeśli się odważy! Tymczasem on, Arinnian, leciał do Eyath - oczywiście dla całego swojego choth i jedności z nim, ale przede wszystkim chciał znów zobaczyć Eyath.

Wymienili między sobą spojrzenia, przez całą pełną godności salę jadalną. „Czy wyjdziemy na zewnątrz i stanimy się sobą?” Poprosiła ojca Lythrana i matkę Bławse o pozwolenie na odejście; chociaż była na ich utrzymaniu, był to zwykły rytuał, lecz rytuały miały przecież wielkie znaczenie. W podobny sposób Arinnian oznajmił młodzieży, w ławach której zajmował miejsce, że nie życzy sobie, aby mu towarzyszyli. On i Eyath wyszli ramię w ramię. Nie spowodowało to żadnych przerw w powolnej, przerywanej długimi okresami milczenia, rozmowie, w której brali udział wszyscy pozostali. Ich bliskość sięgała dzieciństwa i była w pełni akceptowana.

Kompleks budowli stał na płaskim wierzchołku Mount Farview. Pośrodku wznosiła się stara kamienna wieża, w której mieszkali starsi członkowie rodziny i ich dzieci. Niższe, drewniane konstrukcje, na których pokrytych darnią dachach rozkwiwały bursztynowe smoki i gwiazdne dzwonki, były przeznaczone dla nieżonatych oraz dla strażników i ich krewnych. Dalej na zboczu znajdowały się szopy, stodoły i podwórza gospodarcze. Z ziemi nie było widać całości, ponieważ wśród budynków wyrastały ythriańskie drzewa: warkoczekory, miedzianedrzewa, chude sznury błyskawic, klejnotliście, które lśniły w świetle księżyca, a w dzień mieniły się opalizująco. Na rabatach kwiatowych rosły miejscowe rośliny, bardziej rozwinięte niż jakiekolwiek spoza planety - słodkie małe janie, ostre żywokosty, wdzięczne koniczyny i kielichy Buddy, harfowe winorośle, które najsłabsze podmuchy wiatru pobudzały do cichego śpiewu. Poza tym noc była cicha i, na tej wysokości, zimna. Oddech parował białą.

Eyath rozłożyła skrzydła. Były smuklejsze niż przeciętnie, choć miały blisko sześć metrów rozpiętości. To naturalnie zmusiło ją do oparcia się na rękach i ogonie.

— Br-r-r! — zaśmiała się. — Szron. Podlecmy trochę wyżej.

Z trzepotem i wirem powietrza, wzbiła się w powietrze.

— Zapomniałaś — zawołał. — Zdjąłem swój pas.

Wylądowała na platformie zbudowanej w pobliżu wierzchołka miedzianodrzewa. Ythrianka parsknęła kilka razy; najwyraźniej uznała, że powinien dać radę się tam wspiąć. Uważał, że przeceniała jego umiejętności, tylko dlatego, że był w tym lepszy od niej. Nieumiejętne stąpienie w tej gęstwie liści mogło się skończyć nieprzyjemnym upadkiem. Nie mógł jednak odrzucić tego skrywanego wyzwania aby nie utracić jej szacunku. Chwycił za gałąź, podciągnął się i ruszył przed siebie.

Z przodu dobiegło do niego jej mruczenie do uhotha, który za nią poleciał. Znosił upolowaną zwierzynę z podziwu godną skutecznością, ale Arinnian uważał, że robiła wokół tego zbyt wiele zamieszania. No cóż, nie da się ukryć, że była gotowa-na-męża. Nie lubił przyznawać tego przed samym sobą. (Dlaczego? zastanowił się przez chwilę.)

Kiedy dotarł na platformę, zobaczył ją jak odpoczywa na stopach i alatanach, z uhothem na prawym nadgarstku, podczas gdy jej lewa ręka głaskała go. Morgana, prawie w pełni, wisiła oślepiająco biała nad

wschodnią sierrą i sprawiała, że pióra Eyath lśniły księżycowym blaskiem. Grzebień dziewczyny rysował się ostro na tle Drogi Mlecznej. Mimo blasku księżyca, przez górskie powietrze przebijało się światło gwiazdozbiorów: Koła, Mieczy, Zirraukh, szeroko rozpościerającego się Statku...

Usiadł obok niej, obejmując swe kolana. Wydawała z gardła ciche mruczenie, które wyrażało jej radość z jego obecności. Odpowiedział najlepiej jak potrafił. Ponad czystym łukiem pyska dziewczyny, błyszczały jej wielkie oczy.

Nagle przestała. Podążył za jej spojrzeniem i dostrzegł na niebie nową gwiazdę.

— Satelita strażniczy? — spytała. Jej ton minimalnie się zmienił.

— A cóżby innego? — odpowiedział. — Myślę, że to musi być ten najnowszy satelita na orbicie.

— Ile ich już było?

— Nie ogłaszają tego publicznie — przypomniał jej. Ythrianie zawsze mieli problem ze zrozumieniem idei tajemnic rządowych. Rządu w jakimkolwiek normalnym ludzkim sensie, jeśli już o tym mówimy. Strażnicy Marchii Ferune i Holm poświęcali więcej energii na nakłanianie choth do współpracy niż na faktyczne przygotowania do obrony. — Mój ojciec uważa, że nigdy nie będzie ich zbyt dużo.

— Zmarnowane bogactwo...

— No cóż, jeśli Terranie nadejdą...

— Spodziewasz się, że to zrobią?

Zmartwienie, jakie usłyszał w jej głosie, sprawiło, że delikatnie ścisnął jej spoczywającą, opartą o szyję dłoń, a potem przesunął palcami po jej grzebieniu. Pióra Eyath były ciepłe, gładkie i jednocześnie posiadały niesamowicie delikatną teksturę.

— Nie wiem — odparł. — Może kwestie graniczne uda się rozwiązać pokojowo. Miejmy nadzieję.

Ostatnie dwa słowa zmuszony był wypowiedzieć w Anglicu a nie w języku Planha - Ythrianie nigdy nie składali próśb odnośnie przyszłości. Ponadto Eyath była dwujęzyczna, jak każdy wykształcony kolonista.

Popatrzył w niebo. Sol leżało... tam, w konstelacji Maukh, mniej więcej w miejscu, gdzie cztery gwiazdy tworzyły rogi... W jakiej odległości? A tak, 205 lat świetlnych. Przypomniawszy sobie, że gdzieś czytał, iż patrząc z tamtej strony, Quetlan i Laura znajdowały się w gwiazdozbiorze zwanym Lupus. Żadne z tych trzech słońc, o których mowa, nie było widoczne gołym okiem przez tak rozległe otchłanie kosmosu. Były zwykłymi karłami typu G; tak się złożyło, że krążyły wokół nich jakieś drobinki, na których ruszyły procesy fermentacji, aż wreszcie pojawiły się na nich chemiczne twory, które nazwały te drobinki Terra, Ythri, Avalon i pokochały je.

— Lupus — pomyślał. — Ironia.

Eyath zagwizdała:

— ?

Wyjaśnił, dodając:

— Lupus jest, czy też raczej był, drapieżnym zwierzęciem na Terrze. Dla nas Sol leży w znaku dużego, oswojonego, stadnego zwierzęcia. Ale kto tutaj atakuje kogo

— Nie śledziłam zbyt wiele wiadomości — stwierdziła cicho i niezbyt pewnym głosem. — Mnie lub moim rodakom, wydawało się, że to tylko puste bicie piana. Po co mieliśmy się martwić, tym że inni walczyli ze sobą? A potem nagle... Może część tych kłopotów została spowodowana przez nas, Arinnianie? Czy nasz lud nie był zbyt pochopny, zbyt sztywny?

Nastrój w jaki wpadła był tak bardzo nietypowy, nie tylko dla temperamentu Ythrian w ogólności, lecz także dla jej zazwyczaj pogodnego usposobienia, że zdumiony odwrócił głowę.

— Co cię tak zaniepokoiło? — spytał.

Jej wargi musnęły uhotha, jakby szukając pocieszenia, którego on, jak sądził, mógłby jej lepiej udzielić. Dziób zwierzęcia pogłaskał ją. Ledwo dosłyszał:

— Vodan.

— Co? Och! Zaręczyłaś się z Vodanem?

Głos mu się załamał. „Dlaczego jestem taki roztrzęsiony?”, zastanawiał się. „To dobry człowiek. I w dodatku z tego samego choth; nie będzie problemów ze zmianą praw i obyczajów, szokiem kulturowym, tęsknotą za domem” - spojrzenie Arinniana omiotło krainę Stormgate. Nad dolinami o stromych ścianach, ciemnymi i pachnącymi lasami, wznosiły się śnieżne szczyty. Bliżej rozciągało się pogórze, w dole którego, w świetle księżyca, niczym słup opadał wodospad. Nocny, latający trębacz, wypełniał nocną ciszę swą nawiedzoną nutą. Na równinach Long Reach, na arktycznych bagnach, na ciągnącej się przez pół planety rozpalonej sawannie Nowego Gaiilanu, pośród niezliczonych wysp, które stanowiły większość powierzchni suchego lądu Avalonu – wszędzie tam, jakże mogłaby nie tęsknić za krainą swojego choth?

„Nie, czekaj, myślisz jak człowiek. Ythrianie częściej się przemieszczają. Matka Eyath pochodziła z basenu Strzelca i często wracała tam by odwiedzić... .. Dlaczego nie miałabym myśleć jak człowiek? Przecież nim jestem. Odnalazłam mądrość, prawość i swego rodzaju szczęście, w pewnych ythriańskich zwyczajach, ale nie ma sensu udawać, że kiedykolwiek będę Ythrianinem, że kiedykolwiek poślubię skrzydlatą dziewczynę i zamieszkamy w naszym własnym domu.

Mówiła coś do niego:

— No cóż, nie, nie do końca. Wietrzny bracie, chyba nie wierzysz, że nie powiedziałabym ci o moich zaręczynach ani nie zaprosiłabym cię na ucztę weselną? Ale on jest człowiekiem, którego bardzo polubiłam. Wiesz, że planowałam pozostać samotna do czasu ukończenia studiów. — Pragnęła opanować trudny, zaszczytny zawód muzyka. — Ostatnio... cóż, dużo o tym myślałam podczas mojego ostatniego okresu godowego. Byłam wtedy bardziej rozpalona niż kiedykolwiek przedtem i ciągle miałam przed oczyma obraz Vodana.

Arinnian poczuł, że się rumieni. Wpatrywał się w odległe błyski lodowca. Nie powinna mówić mu takich rzeczy. To nie było przyzwoite. Niezamężna Ythrianka lub taka, której mąż był nieobecny, powinna była trzymać się z dala od mężczyzn, gdy spadało na nią gorąco, ale powinna też poświęcać energię, przez nie wzniesioną, na pracę, naukę, medytację lub...

Eyath wyczuła jego zażenowanie. Zaśmiała się i położyła dłoń na jego dłoni. Smukłe palce i ostre pazury pochwyciły go czule.

— Ależ, stwierdzam, że jesteś w szoku! Z jakiego powodu?

— Nie mówiłabyś tak do ojca, brata...

„Ale też nie powinnaś czegoś takiego poczuć. Nigdy. Pora godów czy nie. Samotna, być może; rozmarzona, tak; lecz nie jak jakaś spocona sprzedajna dziewczka w łóżku, w tanim pokoju hotelowym. Nie ty, Eyath.”

— To prawda, w Stormgate byłoby to niestosowne. Zastanawiałam się kiedyś, czy nie powinnam wyjść za mąż za mniej rygorystycznego choth. Ale Vodan... Tak czy inaczej, Arinnianie, mój drogi, tobie mogę powiedzieć wszystko. Prawda?

— Tak.

„W końcu tak naprawdę nie jestem Ythrianinem.”

— Rozmawialiśmy o tym później, on i ja — powiedziała. — To znaczy, o małżeństwie. Nie ma sensu zaprzeczać, dzieci byłyby na tym etapie straszliwym obciążeniem. Ale dobrze nam się razem lata, a rodzice od dawna namawiają nas, byśmy przypieczętowali sojusz między naszymi domami. Zastanawialiśmy się, czy gdybyśmy przez parę pierwszych lat pozostali hriccal...

— To nie sprawdza się zbyt dobrze, co? — zauważył, kiedy jej głos ucichł, zastąpiony przez huk bijącej mu w uszach krwi. — Stale utrzymywane stosunki seksualne może nie są sposobem przy pomocy którego Ythrianie wzmacniają więzi w parach, ale to nie znaczy, że seks w ogóle nie ma znaczenia. Jeśli będziecie się rozdzielać podczas każdego okresu godowego, będziecie... będziecie... no cóż, będziecie się nawzajem odrzucać, nieprawdaż? Dlaczego nie zastosować, ehm, antykoncepcji?

— Nie.

Wiedział czemu jej rasa, prawie jeśli nie całkiem zgodnie, odrzucała to rozwiązanie. Dzieci - silny instynkt rodzicielski obojga partnerów - były tym, co trzymało ich razem. Kiedy Ythrianina obejmowały małe skrzydełka, a mała główka wtulała się w kość grzebieniową jego mostka, zapominał o nieuniknionych napięciach i frustracjach związanych z małżeństwem tak samo, jak gdyby był człowiekiem, który właśnie szczęśliwie znalazł swoją drugą połowę.

— Moglibyśmy odłożyć wszystko, dopóki nie skończę studiów, a jego sprawy nie ruszą z miejsca — powiedziała Eyath. Arinnian przypomniał sobie, że Vodan, we współpracy z różnymi młodymi ludźmi ze Stormgate, Many Thermals i The Tarns, założył firmę zajmującą się inżynierią leśną. — Ale jeśli nadejdzie wojna... kaah, on jest w rezerwie marynarki wojennej...

Jej wolna ręka przesunęła się wokół jego ramienia, odruchowym gestem. Podparł się na łokciu, by móc sięgnąć pod skrzydła Eyath i objąć jej sztywne ciało. Szeptał do niej, swojej siostry od czasu gdy oboje byli dziećmi, wszelkie słowa otuchy, jakie tylko potrafił znaleźć.

Rano poczuli się nieco bardziej weseli. Długie dumania nie leżały w naturze Ythrian - nawet nad jakąś kiepską grą słów, którą właśnie tworzyli - i ptaki-ludzie próbowali oduczyć się tego nawyku. Dzisiaj, nie licząc paru osób zajmujących się utrzymaniem wszystkiego w ruchu, domownicy Lythrana mieli udać się na górę, na której spotykały się regionalne Khruath. Po drodze dołączą do nich inne rodziny ze Stormgate, a gdy dotrą na miejsce, spotkają tam zupełnie inne choth. Bez względu na to, jak ponura była przyczyna tego spotkania, nie zabraknie na nim kolorów, ekscytacji, prywatnych spraw i osobistych radości, które towarzyszyły zwykle tym zgromadzeniom.

Świt był pogodny i wiał wiatr w plecy.

Rozległ się głos trąbki. Lythran ześlizgnął się ze szczytu swojej wieży. Wszyscy unieśli skrzydła, aż znajdujące się pod nimi szczeliny zasysające rozwarły się, purpurowe od krwi znajdującej się pod pochłaniającymi tlen tkankami. Ythrianie oderwali się od ziemi, złapali prądy wznoszące i utworzyli formację. Następnie polecili na wschód, ponad najeżonymi skałami.

Arinnian zbliżył się do Eyath. Uśmiechnęła się do niego i zaczęła śpiewać. Miała piękny głos - można by go określić w przybliżeniu jako sopran - który zmieniał piski i gardłowe dźwięki Planhy, w wesołe trele. To, co wzbiło się w powietrze z jej ust, było tradycyjną piosenką, lecz śpiewała ją specjalnie dla Arinniana, ponieważ przetłumaczył ją na Anglic, choć zawsze czuł, że jego zdolności językowe nie były w stanie oddać ani przenikającego ją zachwyty, ani jej wizji.

Światło strzelające ze wstającego słońca
wita wiszącego w powietrzu łowcę,
obmywa jego skrzydła w roztopionym poranku,
pobudza gwiazdy do ukrycia.
Błękit to dzwon pustego nieba,
rozbrzmiewający na zrywającym się powiewie wiatru.
Szeroko rozłożone są lasy i górskie łąki,
wielkie i zielone od porastających je roślin.
Ale - spójrz, och, spójrz! -
czerwony promień się przebił
przez poszarpaną mgłę poranka.
Kozioł o szerokich rogach
złapany w jego zdradzieckim blasku.
Szpony się zakrzywiają.

Leć w dół przez tumult obudzonego szumu wiatru,
jęczącego, trzepoczącego, wirującego;
ześlizguj się po skośnych prądach powietrza.
Ha, łowy nadchodzą dziś wcześniej!
zatrzymaj się na lotkach, obierz cel
tam w tej szalonej chwili nurkowania...

Pchany dzikimi jak wiatr uderzeniami skrzydeł,
podczas gdy rogacz, pochyla się.
Kozioł może zająć pozę
na chwilę jednego krótkiego oddechu
zanim ucieknie
przed gwizdzącą śmiercią.
Młot uderza.
Szpony się zaciskają.

Szeroki i jasny jest zbliżający się przypływ południa.
Popychany do sennej drzemki,
skryty w cieniu siedzi teraz, nasycony.
Nagle rozbrzmiewa jego pobudka.
Chłodne jak pocałunek ducha, potem porywiste,
niosąc ze sobą obietnicę późniejszego deszczu,
wietrzyki awanturują się, a ich leśna ulotność
szeleści w liściach jak śmiech.
Wśród drzew
gałęzie krzyczą
jęczą, i rzucają się.
Nadszedł czas, aby odejść.
Szpony się rozluźniają.

Bij z konarów w górę, by wiosłować przez strumienie deszczu
Gęsto grzmi grzmot.
Wiatry gradowe nękane błyskawicami
ryczą, gdy wynurzają się spod ziemi.
Ślepy w czerni pazurów chmur,
wygrywaj swoją drogę, choć powoli,
łam ich barierę, wznoś się w świetle słońca.
Wysokie jest niebo i święte.
Blask nachyla złoto
pieszczotliwie
w poprzek i przez
bezmiar
cichego błękitu.
Szpony się składają.

II

Avalon ma okres obrotu o długości 11 godzin, 22 minut i 12 sekund, wiruje wokół osi odchylonej o 21° od normalnej płaszczyzny orbitalnej. Tak więc miasto Gray, położone na około 43° szerokości geograficznej północnej, zawsze miało krótkie noce; latem ciemność wydawała się zaledwie krótkim mrugnięciem. Daniel Holm zastanawiał się, czy to właśnie nie mogło być przyczyną jego obecnego zmęczenia.

Prawdopodobnie nie. Urodził się tutaj. Jego przodkowie mieszkali tu od wieków; przybyli tutaj razem z Falkaynem. Jeśli jednostki mogły zmieniać swój rytm dobowy - a przecież sam musiał robić to bardzo często, w czasach swych podróży kosmicznych - to rasa z pewnością też była w stanie to zrobić. Medycy twierdzili, że osiedlenie się w polu grawitacyjnym o sile zaledwie 80 procent pola grawitacyjnego Terry, stawiało przed organizmem znacznie większe wyzwania; do tej zmiany musiała się dostosować cała jego równowaga płynów i kinestezja. Poza tym to, przez co musieli przejść ludzie, było błahostką w porównaniu z tym, co spotkało ich żyjących w tej kolonii współbraci. Ythrianie musieli przestawić cały cykl rozrodczy na odmienną długość dnia, roku, inną wagę, klimat, dietę i w ogóle świat. Nic dziwnego, że kilka pierwszych pokoleń cechowała u nich niewielka płodność. Mimo to przetrwali i ostatecznie zaczęli rozkwitać.

Dlatego nonsensem było przypuszczenie, że człowiek może się zmęczyć czymkolwiek, poza przepracowaniem - a już przede wszystkim, wiekiem, pomimo korzystania ze środków antystarzeniowych. A może jednak? Naprawdę? Kiedy człowiek robi się coraz starszy, kiedy zbliża się do zmarłych przodków i wszystkich, którzy odeszli przed nim, czy jego sama istota nie mogła zatęsknić do swych najwcześniejszych początków, do domu ludzkości, którego co prawda nigdy nie widział, ale w jakiś sposób ciągle pamiętał?

„Brednie! Daj sobie z tym spokój! Kto powiedział, że osiemdziesiąt cztery lata to starość?” Holm wyciągnął z kieszeni cygaro i odłamał jego koniec. Dym, kiedy je zapalił, dziwnie ciężko osiadł mu w płucach.

Był średniego wzrostu i wyglądał na mocno zbudowanego, zwłaszcza w oliwkowej tunice i workowatych spodniach noszonych przez ludzkich członków ythriańskich służb zbrojnych. Mongoloidalna strona jego dziedzictwa przejawiała się w okrągłej głowie, szerokiej twarzy, wysokich kościach policzkowych, pełnych ustach i szerokim nosie; kaukaska zaś, ujawniała się w szarych oczach, cerze, która byłaby blada, gdyby nie spędzał wolnego czasu na polowaniu lub w ogrodzie, oraz włosach, które posiwały już na głowie, lecz pozostawały kruczoczarne na klatce

piersiowej. Jak większość mężczyzn na tej planecie, tłumił wzrost swojej brody.

Zagłębiał się właśnie w najnowsze wiadomości, które przekazali mu jego doradcy, gdy interkom zabrzączał oraz oznajmił:

— Pierwszy Strażnik Marchii, Ferune, życzy sobie rozmawiać z panem.

— Pewnie! — Przełożony Holma właśnie świeżo powrócił z Ythri. Mężczyzna sięgnął do dwustronnego komunikatora, lecz po chwili cofnął rękę i powiedział do siebie: — A czemu nie osobiście? Nie mam do niego daleko.

Wyszedł ze swojego biura. Korytarz za nim tętnił życiem i krzątaniną - personelu marynarki wojennej, cywilnych pracowników admiralicji laurańskiej - którzy niemalże przeciążali system wentylacyjny budynku, tak, że aż wyczuwalne były specyficzne zapachy obu gatunków, lekko cierpki ludzki i lekko przydymiony ythriański. Tych drugich było zresztą więcej, w przeciwieństwie do liczby mieszkańców Avalonu. Jednak wielu z nich przybyło tutaj z innych części Domeny, a zwłaszcza ze świata macierzystego, próbując pomóc tej granicy przygotować się na nadchodzący kryzys.

Holm zmuszony był do rozdawania ciągłych pozdrowień, na prawo i lewo. Jego uprzejmość stała się znakiem firmowym, którego wartość doceniał. „Na początku była ona prawdziwa”, pomyślał sobie.

Straż honorowa zaszalutowała i wpuściła go do siedziby Ferune. (Holm w swoim dowództwie nie tolerował tego rodzaju marnujących czas ceremoniałów, ale przyznawał, że były one ważne dla Ythrian). Wewnętrzny gabinet był typowy: przestronny i skromnie umeblowany, do tego kilka surowych ozdób, ławka i biurko oraz maszyny biurowe dostosowane do wymagań ornitoidów. Zamiast przezroczystej ściany było tu prawdziwe, ogromne okno, otwarte na niosące zapachy ogrodów powiewy wiatrów i widoki rozciągającego się w dole Gray, oraz połyskujących za nim wody morza.

Ferune dodał parę różnych pamiątek spoza planety i półkę z książkami wypełnioną tomami terrańskich klasyków, których czytał dla przyjemności w trzech oryginalnych językach. Niezbyt wielki, ythriański samiec o płowych piórach, był odrobinę obrazoburcą. Jego choth, Mistwood, zawsze był jednym z najbardziej postępowych na Avalonie, był zmechanizowany niemalże tak samo jak społeczność ludzka, i w konsekwencji duży oraz zamożny. Ferune nie miał cierpliwości do tradycji, religii czy jakichkolwiek innych form konserwatyzmu. Znosił pewne minimum formalności, bo musiał, ale nigdy nie twierdził, że to lubi.

Podrywając się ze swojego miejsca, przemknął po podłodze i uściśnął Holmowi dłoń w terrańskim stylu.

— Khr-r-r, dobrze cię widzieć, stary łobuzie!

Mówił w Planha; gardła Ythrian są mniej wszechstronne niż ludzkie (choć oczywiście żaden człowiek nigdy nie będzie w stanie w pełni poprawnie zwokalizować dźwięków tego języka), a nie życzył sobie ani uciążliwości noszenia wokalizatora, ani groteskowego charakteru akcentu tego urzędnika.

— Jak poszło? — spytał Holm.

Ferune skrzywił się. Nie, to było złe słowo. Jego pióra nie były jedynie bardziej skomplikowanym środkiem wyrazu niż pióra terrańskich ptaków, były ściślej połączone z mięśniami i zakończeniami nerwowymi, a ich ruchy tworzyły cały wszechświat ekspresji, którego na zawsze odmówiono ludziom. Obrazy irytacji, niepokoju, podszywanego je gniewu i konsternacji falowały po jego ciele.

— Acha. — Holm znalazł przeznaczony dla siebie fotel, zapadł w nim i pozwolił sobie poczuć na języku aromat tytoniu. — Mów.

Pazury stuknęły o pięknie usłójone drewno. Ferune chodził tam i z powrotem.

— Przekażę ci pełny raport — poinformował. — W skrócie, jest gorzej, niż się obawiałem. To prawda, starają się ustanowić jednolite dowództwo i wpoić każdemu kapitanowi ideę działania zgodnego ze wspólną doktryną. Ale nie mają zielonego pojęcia, jak się do tego zabrać.

— Boże miłosierny — wykrzyknął Holm — mówimy im to od pięciu lat! Wydawało mi się – cholera jasna, komunikacja w tej tak zwanej marynarce jest tak niejasna, że nie mogę się opierać na niczym innym, jak tylko na wrażeniach, i zdaje się, że odniosłem niewłaściwe – ale wiesz, iż naprawdę mi się wydawało, że jakaś reorganizacja, choćby tylko w połowie sensowna, jest wprowadzana.

— Była wprowadzana, ale się rozlaźła. Nadmierna duma, kłótnie, targowanie się o szczegóły. My, Ythrianie – a przynajmniej nasza dominująca kultura – nie pasujemy do niczego, co jest ściśle scentralizowane. — Ferune przerwał. — W rzeczywistości — podjął po chwili — najbardziej popularnym argumentem przeciw zamianie naszych oddzielnych, luźno skoordynowanych dowództw planetarnych na hierarchię na wzór terrański, było to, że Terra może mieć znacznie większe siły, ale muszą one kontrolować znacznie większą przestrzeń niż Domena; a jeśli będą walczyć z nami, znajdą się na końcu tak długiej linii komunikacyjnej, że zintegrowane działania są gwarancją porażki.

— Ha! Czy tym tępakom na Ythri nie przyszło do głowy, że Imperium nie jest głupie? Jeśli Terra uderzy, wojna nie będzie prowadzona z samej Terry, ale z sektora położonego w pobliżu naszych granic.

— Nie stwierdziliśmy żadnych poważniejszych oznak gromadzenia terrańskich sił, w pobliskich układach.

— No pewnie, że nie stwierdziliśmy! — Holm uderzył pięścią w ramię fotela. — Czy zdradziliby swoje przygotowania w tak głupi sposób? Ty byś tak zrobił? Skoncentrują się w kosmosie, kilka parseków od jakiegokolwiek gwiazdy. Przy minimalnym ruchu pomiędzy gromadzącą się flotą a planetami, do których nasi zwiadowcy zdołają się podkraść. Na obszarze kilku sześciennych lat świetlnych, mogą ukryć siły, które rozwalą nas w drobiazgi.

— Mówiłeś mi to parę razy — stwierdził sucho Ferune. — Ja przekazywałem to dalej. Z marnym skutkiem. — Przestał krążyć po biurze. Przez chwilę w gabinecie panowała cisza. Żółte światło Laury rzucało cienie liści na podłogę. Drżały.

— Pomimo wszystko — zauważył Ferune — nasze sposoby działania ocaliły nas w czasie Kłopotów.

— Nie można porównywać wojennych lordów, piratów, drobnych zdobywców, barbarzyńców, którzy nigdy nie wyszliby poza swoje stratosfery, gdyby nie zdobyli praktycznie samosterujących się statków - nie można porównywać tego cholernego, krwiożerczego motłochu z Imperialną Terrą.

— Wiem — odparł Ferune. — Chodziło mi o to, że metody działania Ythrian dobrze nam służyły, ponieważ były zgodne z naturą Ythrian. Podczas ostatniej podróży zacząłem się zastanawiać, czy próba zmiany nas w marną kopię naszych rywali nie jest z góry skazana na porażkę. Taka próba została właśnie podjęta, ale zrozum - dowiesz się szczegółów, zanim nie zostaną one upublicznione - może się okazać, że jedyne, co zyskamy, to tylko potężne zamieszanie. Uznałem, że choć Avalon musi dołożyć wszelkich starań, aby osiągnąć współpracę z innymi planetami domeny, to jednocześnie Avalon może oczekiwać jedynie niewielkiej pomocy z zewnątrz.

Ponownie zapadła cisza. Holm popatrzył na swojego przełożonego, współpracownika, przyjaciela od lat i nie po raz pierwszy dotarło do niego, jak bardzo są sobie obcy.

Popatrzył na Ferune tak, jakby nigdy wcześniej nie spotkał Ythrianina.

Stojąc, Strażnik Marchii mierzył około 120 centymetrów wysokości - od stóp do czubka grzebienia; wysoki Ythrianin mógłby być nieco wyższy, mieć około 140 centymetrów, sięgałoby więc mniej więcej do połowy piersi Holma. Ponieważ ciało Ythrian było odrobinę nachylone do przodu, ich rzeczywista długość od pyska do ogona była nieco większa. Ferune ważył może 20 kilogramów; maksimum dla tego gatunku nie przekraczało 30.

Głowa wyglądała jak wyrzeźbiona. Wybrzuszała się do tyłu, począwszy od niskiego czoła, aby pomieścić mózg. Na jej przedzie wysklepiał się kościsty grzbiet, aż do pary nozdrzy, prawie skrywanych przez pióra, górujących nad elastyczną paszczą pełną ostrych, białych kłów i posiadającą fioletowy język. Szczeka, podkulona i dosyć delikatna, łączyła się z silną szyją. Twarz zdominowana była przez oczy, duże i bursztynowe, oraz przez gęsty grzebień ze sterczących piór, który ciągnął się od czoła, prowadził przez czubek głowy i biegł przez połowę długości szyi: po części w celach aerodynamicznych, po części jako osłona dla cienkiej czaszki.

Tułów wystawał do przodu w postaci wielkiej kości mostkowej, której dolny koniec otoczony był ramionami. Rozmiarami i wyglądem nie różniły się one od ramion chudego człowieka; nie posiadały upierzenia, a skóra na nich była ciemnożółta u Ferune, brązowa lub czarna u innych podgatunków Ythrian. Dłonie były mniej podobne do ludzkich. Każda z nich miała trzy palce między dwoma kciukami; każda z nich miała o jeden staw więcej niż jej terrański odpowiednik i paznokieć, który lepiej byłoby nazwać szponem. Na wewnętrznej powierzchni nadgarstka wyrastał boczny pazur. Dłonie były duże w stosunku do ramion, a mięśnie prężyły

się na nich mocnymi pasmami, jak węże; wyewoluowały jako narzędzia do rozrywania zdobyczy, aby pomagać zębom. Ciało kończyło się wachlarzowatym pierzastym ogonem, dostatecznie sztywnym, aby w razie potrzeby pomóc w podpieraniu tułowia.

Jako nogi służyły im jednak potężne, obecnie złożone, skrzydła. Pośrodku każdej z ich przednich krawędzi znajdował się „kolanowy” staw zginający się w kierunku przeciwnym; kości te podczas lotu blokowały się na sztywno. Od „kostki” rozchodziły się trzy przednie palce i jeden tylny, tworząc stopę; w powietrzu zawijały się one wokół skrzydła, aby je wzmocnić i dodać mu wrażliwości. Pozostałe trzy palce odziedziczone po przodkach ornitoidach, połączyły się, tworząc kość alatana, który sięgał ponad metr do tyłu. Skóra na jego przedniej połowie była naga, zrogowaciała i stanowiła kolejną powierzchnię, na której mógł się oprzeć.

Jako że Ferune był samcem, jego grzebień wznosił się wyżej niż u samicy, zaś zarówno on jak i ogon były białe z czarnymi wykończeniami; u samicy byłyby jednolicie ciemne. Reszta jego ciała była jaśniejsza niż przeciętna dla tego gatunku, która wahała się od szaro-brązowego do czarnego.

— Khr-r-r-r. — Gardłowy odgłos wyrwał Holma z zadumy. — Gapisz się.

— Przepraszam. — Dla prawdziwego mięsożercy z urodzenia, było to bardziej niegrzeczne niż w przypadku wszytkożernych ludzi. — Moje myli odleciały.

— Dokąd? — spytał Ferune, znów łagodniejąc.

— M-m-m... no cóż, już w porządku. Zacząłem się zastanawiać, jak mało moja rasa liczy się w Domenie. Doszedłem do wniosku, że może lepiej będzie przyjąć, żeby wszystko zostało zrobione w stylu ythriańskim i wykorzystać to jak najlepiej.

Ferune wyrzucił z siebie szczebiotliwy „dzwonek” i nastroszył część piór. Nie miało to dokładnego odpowiednika w Anglicu, ale intencję można było przetłumaczyć jako: „Nie jesteście jedynymi nie-Ythrianami pozostającymi pod naszą hegemonią. Nie tylko wy stoicie technologicznie na najwyższym poziomie”. Planha w rzeczywistości nie była aż tak bardzo lakoniczna, jak mogłoby się wydawać na podstawie jej słownych konwencji.

— N-nie — wymamrotał Holm. — Ale... w Imperium to my jesteśmy przywódcami. Jasne, Wielka Terra obejmuje sporo planet macierzystych i kolonii nieludzi, a wiele istot pochodzących z różnych z innych miejsc, otrzymało terrańskie obywatelstwo. Lecz każdego rodzaju kluczowe stanowiska, zajmuje więcej ludzi niż przedstawicieli jakiegokolwiek innej rasy - a nawet prawdopodobnie, wszystkich innych ras razem wziętych. — Westchnął i popatrzył na żarzącą się końcówkę cygara. — Zaś tutaj, w Domenie, kim są ludzie? Garstką mieszkańców tej jednej planety. Och, bywamy tu i ówdzie, radzimy sobie całkiem nieźle, ale nie da się ukryć, że jesteśmy niezbyt znaczącą mniejszością, w całej masie mniejszości.

— Żałujesz tego? — Ferune zapytał dosyć łagodnie.

— Słucham? Nie. Nie. Chodziło mi tylko o to, że prawdopodobnie w Domenie jest zbyt mało ludzi, aby wyjaśnić i zarządzać organizacją

marynarki wojennej typu ludzkiego. Więc może lepiej, żebyśmy to my dostosowali się do was, a nie wy do nas. To i tak jest nieuniknione. Nawet na Avalonie, gdzie jest nas więcej niż was, jest to nieuniknione.

— Słyszę w twoim głosie rezygnację i widzę ją w twoich oczach — stwierdził Ferune łagodniej niż zwykle. — Znów myślisz o swoim synu, który stał się ptakiem, prawda? Boisz się, że jego młodsi bracia i siostry zachowają się tak samo, jak on.

Holm zebrał siły, aby odpowiedzieć.

— Wiesz, że szanuję wasze zwyczaje. Zawsze je szanowałem i zawsze będę szanował. Nie zamierzam też zapominać o tym, jak Ythri przygarnęli moich rodaków, kiedy ziemia paliła im się pod nogami. Po prostu... nam też należy się szacunek. Czyż nie?

Ferune przesunął się do przodu, aż mógł położyć dłoń na udzie Holma. Rozumiał potrzebę ludzi, aby od czasu do czasu dać upust swym żalom.

— Kiedy mój syn... Chris... kiedy po raz pierwszy zaczął się włóczyć, to jest latać, z Ythrianami, byłem szczęśliwy — mówił dalej Holm. Nie odrywał wzroku od okna. Od czasu do czasu zaciągał się cygarem, ale ten gest był czysto mechaniczny i mimowolny. — Zawsze był za bardzo zanurzony w książkach, za bardzo skłonny do samotności. Tak więc jego przyjaciele ze Stormgate, jego wizyty u nich... i później, kiedy on, Eyath i ich banda zaczęli rozbijać się po najdziwniejszych zakątkach planety – no cóż, wyglądało na to, że robi to, co ja robiłem w jego wieku, z wyjątkiem tego, że miał kogoś, kto będzie pilnował mu pleców, gdyby sytuacja się zaostrzyła. Myślałem, że może w końcu nawet zaciągnie się do marynarki — Holm pokręcił głową. — Było już za późno, kiedy zauważyłem, że to, co w nim się rozwinęło, nie jest jakimś zwykłym staromodnym zamiłowaniem do włóczęgi. Potem, kiedy się obudziłem, pokłóciliśmy się o to, a on uciekł i ukrywał się przez rok na Wyspach Shielding, korzystając z pomocy Eyath... Ale, chyba nie ma sensu, żebym kontynuował dalej ten wątek, prawda?

Ferune wykonał przeczący gest. Pewnego razu po tym jak Daniel Holm eksplodował furia przeciw domowi Lythrana, a z jego ust buchnął stek oskarżeń, Pierwszy Strażnik Marchii mógł jedynie interweniować, aby uspokoić obie strony i zapobiec pojedynekowi.

— Nie, nie powinienem powiedzieć dziś ani słowa więcej — kontynuował Holm. — Tylko że... że ostatniej nocy Rowena płakała. Że odszedł i nawet się z nią nie pożegnał. Głównie zamartwia się o to, co się z nim dzieje, odkąd dołączył do choth. Na przykład, czy kiedykolwiek uda mu się zawrzeć normalne małżeństwo? Zwykle dziewczyny nie są już w jego typie, a dziewczyny-ptaki... No i właśnie, nasze młodsze dzieci. Tommy całkowicie jest pochłonięty wszystkim co związane jest z Ythrianami. Szkolny nadzorca musiał osobiście przybyć i poinformować nas, że Tommy zaniedbuje takie rzeczy jak przeglądanie materiałów, przysyłanie prac czy spotykanie się z konsultantami, z którymi powinien się spotykać. A Jeanne znalazła sobie grupę ythriańskich towarzyszy zabaw...

— Z tego, co wiem — zauważył Ferune — ludzie, którzy wstąpili do choth, z reguły wiedli satysfakcjonujące życie. Oczywiście, z problemami.

Ale jaki sposób życia może być ich pozbawiony? Poza tym trudności powinny maleć wraz ze wzrostem liczby takich osób.

— Posłuchaj — zawahał się Holm — nie mam nic przeciwko twoim rodakom. Połamcie mi wszystkie kości, jeśli kiedykolwiek cokolwiek miałem! Nigdy nie powiedziałem ani nie pomyślałem, że w tym, co robi Chris, może być coś niehonorowego, tak samo jak nie powiedziałbym ani nie pomyślałbym tego, gdyby wstąpił do jakiegoś zakonu żyjących w celibacie mnichów. Ale to również by mi się nie podobало. To nie jest naturalna droga dla mężczyzny. Przystudiowałem wszystko, co mogłem znaleźć na temat ludzi-ptaków. Jasne, większość z nich twierdziła, że są szczęśliwi. Prawdopodobnie większość z nich w to wierzyła. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że nigdy nie zdawali sobie sprawy z tego, co ich ominęło.

— Wędrowcy — zauważył Ferune. W Planha to wystarczyło. W Anglicu musiałby powiedzieć coś w stylu: — My też straciliśmy część naszych, którzy opuścili choth, aby stać się ludzkimi atomowymi jednostkami w globalnej ludzkiej społeczności.

— Wpływ — dodał, co oznaczało: — Na przestrzeni wieków na Avalonie, całkiem sporo osób z naszego rodzaju czuło rozgoryczenie tym, co wasze nakazy i przykład, zrobiły z samymi choth. Wielu z nich nadal podziela te uczucia. Podejrzewam, że jest to główny powód, dla którego kilka tego rodzaju grup stało się bardziej reakcyjne niż jakiekolwiek inne, na naszej planecie macierzystej.

Holm odparł:

— Czy cała idea tej kolonii nie polegała na tym, że obie rasy powinny przyznać sobie nawzajem prawo do bycia tym, kim są?

— Tak zostało to zapisane w Porozumieniu i tak pozostaje do dziś — powiedział Ferune, przy pomocy dwóch sylab i trzech wyrazów twarzy. — Nikogo do tego nie zmuszano. Ale skoro żyjemy razem, to co możemy porazić na to, że się zmieniamy?

— Acha. Ponieważ Ythri w ogóle, a Mistwood w szczególności, odnieśli sukces, przyjmując i adaptując terrańską technologię, sądzisz, że nie wymaga to niczego poza zdroworozsądkową wymianą pomysłów. Ale to nie jest takie proste.

— Nie twierdzę, że takie jest — zauważył Ferune — tylko, że nie uda nam się złapać czasu w żadną sieć.

— Tak. Przepraszam, że tak się rozgadałem, ale naprawdę nie miałem zamiaru tego robić, zwłaszcza że już dostatecznie często musiałeś wysłuchiwać moich tyrad. Tak się po prostu składa, że mam teraz w domu kiepskie dni. — Holm wstał z krzesła, minął Ythrianina i zatrzymał się przy oknie, gdzie wyjrzał przez zasłonę dymu.

— Przejdźmy do prawdziwej pracy — oznajmił. — Chciałbym zadać konkretne pytania na temat ogólnego stanu gotowości Domeny. I lepiej wysłuchaj mojego raportu o tym, co się działo tutaj, kiedy cię nie było - a właściwie w całym tym cholernym, układzie Laury. Te wiadomości też nie są zbyt dobre.

III

Samochód rozpoznał swój punkt docelowy i skierował się w dół. Jego początkowa wysokość była na tyle znaczna, że znajdujący się w środku człowiek, dostrzegał kilkanaście plamek na ziemi, porzucanych nad lśniącymi wodami morza. Lecz kiedy pojazd obniżył swój lot, wszystkie one poznikały gdzieś za horyzontem. Pasażer widział już tylko postrzępiony stożek St. Li.

Avalon, którego średnica równikowa wynosiła zaledwie 11 308 kilometrów, ma płynne jądro proporcjonalnie mniejsze niż w przypadku Terry; 0,635 jego masy nie jest w stanie zmagazynować tyle ciepła. Dlatego siły wypychające lądy do góry są słabsze. Jednocześnie erozja postępuje szybko. Ciśnienie atmosferyczne na poziomie morza jest podobne do ziemskiego - i spada wolniej wraz z wysokością, z powodu niższego gradientu grawitacyjnego - zaś duża prędkość obrotowa Avalonu powoduje gwałtowne zmiany pogody. W konsekwencji powierzchnia tej planety jest generalnie niska, a najwyższy szczyt w Andromedach wznosi się na nie więcej niż 4500 metrów. Brak było również dużych mas lądowych. Kontynent Korona, przykrywający biegun północny i rozciągający się poza Zwrotnik Mieczy, obejmuje zaledwie osiem milionów kilometrów kwadratowych, czyli mniej więcej tyle samo, co Australia. Na przeciwległej półkuli, Ekwatorię, Nową Afrykę i Nową Gaiilę należałoby raczej nazwać dużymi wyspami niż małymi kontynentami. Cała reszta masy lądowej składa się ze znacznie mniejszych wysp.

Jednakże pewna ich cecha ma gigantyczny charakter. Około 2000 kilometrów na zachód od Gray rozpoczyna się zatopione pasmo górskie, którego wystające wysoko ponad powierzchnię morza szczyty, znane są jako Oronezja. Biegnie ono na południe, przecina Zwrotnik Włóchni, aż wreszcie kończy się niedaleko koła antarktycznego. W ten sposób tworzy ono prawdziwą granicę hydrologiczną; jego zachodnia strona wyznacza kraniec Oceanu Środkowego, wschodnia Morza Hesparyjskiego na półkuli północnej i Oceanu Południowego za równikiem. Jest również siedliskiem odrębnego systemu ekologicznego, niezwykle bogatego. Dzięki temu, po kolonizacji, stało się ono źródłem swoistego zjawiska socjologicznego. Każdy ekscentryk, człowiek lub Ythrianin, mógł tam odejść, łatwo przekształcić jedną lub kilka wysp i stworzyć własną, niczym przez innych niezakłócaną, egzystencję.

Choth na kontynencie były oczywiście zróżnicowane pod względem wielkości, organizacji i tradycji. Niezależnie jednak od tego, czy można było je z grubsza porównywać do klanów, plemion, baronii, gmin religijnych, republik czy czegokolwiek innego, liczyły one co najmniej

tysiące członków. W Oronezji istniały pojedyncze gospodarstwa domowe, które nosiły tę nazwę; pochodzące z nich dorosłe i zamężne, młodsze dzieci miały zakładać nowe, niezależne społeczności.

Oczywiście tego rodzaju ekstremizm był czymś wyjątkowym. Szczególnie liczny był lud Highsky, kontrolujący łowiska w okolicach 30 stopnia szerokości geograficznej północnej i zajmujący znaczną część archipelagu. I byli oni dosyć konwencjonalni, o ile to słowo ma jakiegokolwiek znaczenie w odniesieniu do Ythrian.

Samochód powietrzny wylądował na plaży przed kompleksem budynków. Wysiadł z niego wysoki mężczyzna o ciemnorudych włosach, ubrany w sandały, kilt i broń.

Tabitha Falkayn zauważyła lecący w dół pojazd i wyszła na spotkanie przybyszowi:

— Witaj, Christopherze Holm — powiedziała w Anglicu.

— Przybywam tu jako Arinnian — odparł w Planha. — Niech szczęście towarzyszy twym lotom, Hril.

Uśmiechnęła się.

— Wybacz mi, jeśli nie dopracowałam swej roli. — Sprytnie zmieniła temat: — Dzwoniłeś wcześniej, że chcesz się ze mną spotkać w sprawie publicznej. To musi mieć coś wspólnego z kryzysem granicznym. Ośmielę się zauważyć, że twój Khruath zdecydował, iż zachodnia Korona i północna Oronezja muszą wypracować sposób obrony Morza Hesperyjskiego.

Skinął niezręcznie głową, a jego oczy próbowały uniknąć jej rozbawionego spojrzenia.

Ogromna kopuła nieba w górze, jaśniała promieniami słońca odbijającymi się od warstw cumulusów. W oddali jakiś skrzydlaty żeglarz wypatrywał ławic piscoidów; pod strażą pasterza oraz jego uhothów przelatywało stado ythriańskich shuasów; miejscowe pteropleurony krążyły wokół gniazda na rafie. Po morzu goniły fale koloru indygo, skłębiały się w prześwitujących zielenią bałwanach i eksplodowały pianą na niemalże równie białych jak ona piaskach. Trawlery przecinały falujące wody, całe kilometry od brzegu. W głębi lądu powierzchnia ziemi wystrzelała stromo w górę. Górne części zboczy wciąż porastała bladoszmaragdowa mata susin; tylko kilka rodzajów krzewów było w stanie przebić się przez tę zwartą masę korzeni. Ale bardziej w dół, wzgórza były starannie zaorane. Ythriańskie zboża szeleściły na czerwono, okrywając ziemię i karmiąc shuas, podczas gdy gaje palm kokosowych, mango, pomarańczy oraz krzewów pumperniklowych, wyrastały nad nimi, by odżywiać ludzkich członków Highsky. Wiał ciepły, ale rześki wiatr, pełen soli, jodu i różnych zapachów.

— Przypuszczam, że uważa się, iż narady między ptakami byłyby dobrym pomysłem — kontynuowała Tabitha. — Wy, górale, będziecie mieli spore problemy ze zrozumieniem nas, ludzi morza, i vice versa, nawet bez utrudnień w postaci różnic gatunkowych. Ornitoidy również będą się spotykać, co? — Wyraźnie się zamyśliła: — Oczywiście musiałeś zostać delegatem. W twoim regionie jest tak niewielu przedstawicieli twojego

rodzaju. Ale po co przylatywać osobiście? Nie, żebyś nie był mile widziany. Mimo to, jednak, rozmowa telefoniczna...

— Może... Być może będziemy musieli rozmawiać dłużej — powiedział.
— Przez wiele dni, bez przerwy. — Przyjął za pewnik, że zostanie gościnnie przyjęty; wszystkie chłoth uważały, że gość jest święty.

— Ale dlaczego ja? Jestem tylko miejscową dziewczyną.

— Jesteś potomkinią Davida Falkayna.

— To nie znaczy zbyt wiele.

— Tam, gdzie mieszkam, znaczy. Poza tym od czasu do czasu spotykaliśmy się na większych Khruath i podczas wizyt w naszych rodzinnych stronach, więc trochę się znamy. Nie wiedziałabym od czego zacząć wśród zupełnie obcych ludzi. Jeśli już, ty... mogłabyś mi doradzić, z kim mam się konsultować i przedstawić mnie tym osobom. Zgodziłabyś się?

— Oczywiście. — Tabitha chwyciła jego dłonie. — Poza tym, cieszę się, że cię widzę, Chris.

Serce waliło mu jak młotem. Starał się nie skrzywić. Dlaczego czuję wobec niej takie onieśmienie? Bóg wiedział, że była atrakcyjna. Kilka lat starsza od niego, wysoka, mocno zbudowana, z pełnym biustem i długimi nogami, prezentowała się korzystnie w krótkiej tunice bez rękawów. Twarz miała pociągłą, szerokie usta, zielone oczy rozstawione daleko od siebie, błyszczały pod ciężkimi brwiami; nigdy nie zadała sobie trudu, aby usunąć białą bliznę na prawej kości policzkowej. Jej włosy, ścięte tuż poniżej uszu, miały kolor rozjaśnionego lnu. Powiewały niczym wstęgi nad brązową, lekko piegowaną skórą.

Zastanawiał się, czy wskakiwała do łóżka równie łatwo, jak dziewczyny-ptaki z Korony - nigdy ze swym męskim odpowiednikami; zawsze z serdecznymi, krzepkimi, niezbyt inteligentnymi facetami, w typie robotnika - czy też była dziewicą. Wydawało się to mało prawdopodobne. Jaki człowiek, wiecznie zanurzony w nieco rozcieńczonym okresie godowym, mógłby dorównać w czystości Eyath? Jednak Highsky to nie Stormgate czy The Tarns - nie wiedział zresztą - a Tabitha nie miała tutaj, gdzie mieszkała, żadnych towarzyszy swego gatunku. Z drugiej strony, często i dużo podróżowała... Odrzucił od siebie te spekulacje.

— Ha, ha, rumienisz się — zaśmiała się. — Czy naruszyłam jedną z twoich cennych reguł moralnych? — Opuściła mu. — Jeśli tak, to przepraszam. Ale ty zawsze bierzesz te rzeczy zbyt poważnie. Wyluzuj. Towarzyski rytuał czy towarzyska gafa, to nie są sprawy życia lub śmierci.

„To łatwe dla niej, jak przypuszczam”, pomyślał. „Do tego chłoth zostali przyjęci już jej dziadkowie. Jej rodzice i ich dzieci dorastali w nim. Jedna czwarta członków musi być już do tej pory ludźmi. I mieli duże wpływy... jak na przykład to komercyjne przedsiębiorstwo rybackie, które założyła z Draunem, ściśle prywatne przedsięwzięcie...”

— Obawiam się, że nie mamy czasu na żarty — burknął. — Przed nami trudne czasy.

— Naprawdę?

— Imperium ma zamiar rozszerzyć się w naszą stronę.

— Chodźmy do domu. — Tabitha chwyciła go za ramię i pociągnęła w stronę budynków. Drewniane kryte strzechą domy były niższe niż większość domów Ythrian i solidniejsze, niż się wydawało, ponieważ w tym miejscu osłona przed huraganowymi wiatrami Avalonu była znikoma. — O tak — powiedziała - imperium rozwija się dynamicznie od czasów Manuela Pierwszego. Ale czytałam trochę o jego historii. W jaki sposób przejęło kontrolę nad zajmowanym terytorium? W niektórych wypadkach na zasadach zwykłego partnerstwa - cywilizowani nie ludzie, tacy jak Cynthianie, uznali przystąpienie do niego za korzystne. W innych sytuacjach na drodze kupna lub wymiany. Czasami przez podbój, owszem - ale zawsze społeczeństw prymitywnych, a co najwyżej ludzi, których siła w kosmosie była śmiesznie mała w porównaniu z siłą Wielkiej Terry. My jesteśmy trudniejszym przeciwnikiem.

— Czyżby? Mój ojciec mówi...

— Tak. Sfera Imperium ma około 400 lat świetlnych średnicy, nasza około 80. Ze wszystkich układów w jej obrębie Imperium ma bezpośredni kontakt z kilkoma tysiącami, my z ledwie 250. Ale nie rozumiesz, Chris, że my lepiej znamy nasze planety? Jesteśmy bardziej zwarcii. Nasze całkowite zasoby są mniejsze, ale nasza wiedza technologiczna jest równie dobra. No i jesteśmy daleko od Terry. Dlaczego mieliby nas atakować? Nie zagrażamy im, a jedynie domagamy się naszych praw wzdłuż granicy. Jeśli chcą więcej władzy, mogą ją znaleźć wiele bliżej domu, na gwiazdach, których nigdy jeszcze nie odwiedzili, i które łatwiej jest zdobyć niż od dumnej, dobrze uzbrojonej domeny.

— Mój ojciec twierdzi, że jesteśmy słabi i niegotowi.

— Myślisz, że przegralibyśmy wojnę?

Milczał, aż oboje dosłyszeli, przez szum morza, jak piasek chrzęści pod ich stopami. W końcu odparł:

— No cóż, nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek szedł na wojnę, spodziewając się przegranej.

— Nie wierzę, że rozpoczną walkę — oznajmiła Tabitha. — Uważam, że Imperium ma więcej rozsądku.

— Niezależnie od tego, lepiej będzie podjąć środki ostrożności. Obrona terytorialna jest jednym z nich.

— Tak. Nie będzie łatwo ją zorganizować wśród stu lub więcej suwerennych choth.

— Być może my, ptaki, moglibyśmy się do tego przyczynić — zaryzykował uwagę. — Zwłaszcza te o długiej tradycji, jak twoja rodzina.

— Jestem zaszczycona mogąc pomóc — odparła mu. — I prawdę mówiąc nie sądzę, by choth aż tak bardzo nie zależało na współpracy — pokręciła głową z wyniosłością — kiedy chodzi o pokazanie Imperium, kto wyżej lata!

Eyath i Vodan wzbili się razem w powietrze. Tworzyli piękną parę, oboje o złotych oczach i silnych ramionach, on w kolorze ochry, a ona w głębokich brązach. Pod nimi rozpościerały się ziemie Stormgate, ciemne doliny porośnięte lasami, urwiska i klify, szczyty, na których zalegały

śnieżne pola, pokrywające błękitno-szare skały, miecze wodospadów i odległe rozbłyśki lodowców. Wiatr śpiewał im w uszach i popychał chmury, zabarwiane przez Laurę na złoto, przez skądinąd wspaniałe powietrze; ich cienie ścigały się i falowały po całym świecie. Ythrianie upajali się chłodem wiatru i nurkowali w jego wirującej mocy. Wiatr stroszył im pióra, aż czuli drżenie końców wielkich, zewnętrznych lotek.

Vodan powiedział:

— Gdybyśmy pochodzili z gatunku Arinniana, z pewnością poślubiłbym cię teraz, zanim udam się na mój statek. Ale ty nie będziesz w okresie godowym jeszcze przez wiele miesięcy, a do tego czasu ja mogę już nie żyć. Nie związałbym cię z takim smutkiem na darmo.

— Myślisz, że smuciłabym się mniej, gdybym nie nosiła miana wdowy? — odparła. — Chciałabym mieć prawo poprowadzić taniec ku twojej pamięci. Bo wiem, jakie części tego nieba lubisz najbardziej.

— A jednak, musiałabyś wtedy zadawać pewne niezręczne pytania, podnosić zobowiązania wobec mojej krwi i tak dalej. Czy nasza przyjaźń miałaby być słabsza tylko dlatego, że przez jakiś czas nie będziesz nosić tytułu żony?

— Przyjaźń — wyszeptała. Dodała impulsywnie: — Śniło mi się zeszłej nocy, że rzeczywiście jesteśmy tacy jak ludzie.

— Co, na zawsze w rui?

— Na zawsze zakochani.

— Kh-h'ng, nie mam nic przeciwko Arinnianowi, ale czasami zastanawiam się, czy nie przebywałaś z nim zbyt dużo, przez zbyt wiele lat, odkąd oboje byliście dziećmi. Gdyby Lythran nie zabrał cię ze sobą, kiedy prowadził interesy w Gray... — Vodan dostrzegł, że jej grzebień się unosi, przerwał i dodał pośpiesznie: — Tak, on jest twoim wietrznym bratem. To czyni go również i moim. Chciałem cię tylko ostrzec... nie próbuj, nie chciej zostać człowiekiem.

— Nie, nie. — Eyath poczuła prześlizgujący się obok prąd powietrza z dołu. Ustawiała się, aby go złapać, z łopotem skrzydeł, a potem pomknęła w długi, szalony ślizg, ze szczytami gór przeskakującymi coraz bliżej, spojrzeniem przez drzewa na lśniąca sadzawkę, w której pił dziki rumak, śpiewem, pędem i pieszczotą rozcinanego powietrza, aż wreszcie opanowała się i pomknęła z powrotem w górę, pokonując rwący strumień powietrza, z każdym mięśniem na pełnych obrotach - śledziła termikę atmosfery dzięki drobnemu drżeniu widocznej przez nią góry, wylądowała tam, rozłożyła skrzydła i pozwoliła by uniesienie porwało ją w niebiosa, podczas gdy ona się śmiała.

Vodan był tuż koło niej.

— I miałabym prehandlować to? — zawołała radośnie. — Albo ciebie?

Ekrem Saracoglu, imperialny gubernator Sektora Pacis, od jakiegoś czasu sugerował, że chciałby poznać córkę admirała floty Juana de Jesúa Cajala y Palomaresa. Przyjechała z Nuevo México, aby zostać oficjalną gospodynią i kobiectą majordomo swego owdowiałego ojca, po tym jak przeniósł on swoją siedzibę na Esperance i wynajął dom we Fleurville.

Randka wciąż była przekładana. Nie chodziło o to, by admirał nie lubił gubernatora – całkiem nieźle się dogadywali - ani aby nie ufał jego intencjom, bez względu na to, jak notorycznym byłby on kobieciarzem. Luisa wychowała się wśród ludzi, którzy, choć z konieczności zachowywali na swej suchej planecie surowe obyczaje, byli bogaci w honor i dumę. Po prostu obaj mężczyźni byli przytłoczeni pracą.

W końcu prowadzone przez nich przedsięwzięcia wydawały się już być dosyć zaawansowane, i Cajal zaprosił Saracoglu na kolację. W ostatniej chwili doszło do śmiesznego zgrzytu. Admirał zadzwonił do domu, że sprawy zatrzymają go jeszcze na parę godzin w biurze. Gubernator był już w drodze.

— Tak więc, Donna, poproszono panią abyś mnie zabawiła w oczekiwaniu na opóźniony posiłek — mruknął Saracoglu nad ręką, którą całował. — Zapewniam, że nie będzie to zbyt trudne.

Choć drobna, miała żwawą sylwetkę i mrocznie piękną twarz. Wkrótce przekonał się, że mimo swej powagi, potrafiła słuchać co mówią mężczyźni i, co rzadsze, zadawać im stymulujące pytania.

Wypełniając czas, przechadzali się po ogrodzie. Krzewy róż i drzewa wiśniowe niemalże mogłyby rosnąć na Terrze; Esperance była prawdziwym klejnotem wśród planet-kolonii. Słońce Pax wciąż znajdowało się nad horyzontem, teraz w środku lata, lecz rzucało łagodne promienie na stary ceglany mur. Powietrze było ciepłe, przesycone radosnym śpiewem ptaków, słodkie od zapachów zieleni napływających z okolicy. Wysoko w górze co jakiś czas przelatował samochód czy dwa; ale Fleurville nie było dostatecznie duże, aby hałas ruchu ulicznego był słyszalny z tak daleka od centrum.

Saracoglu i Luisa przechadzali się po żwirowych alejkach i rozmawiali. Byli strzeżeni, to znaczy lepszym określeniem byłoby dyskretnie eskortowani. Jednakże to nie duenna szła kilka kroków za nimi, lecz potężny, czwororęki najemnik z Gorzuni, na którego widok wszelkie niuanse flirtu umknęłyby w te pędy.

„Problem w tym”, pomyślał gubernator, „że od razu zaczęła rozmowę na poważnie.”

Z początku było to całkiem przyjemnie. Zachęciła go, aby mówił o sobie.

— ...tak, earl Anatolii, to ja. Szczerze mówiąc, nawet jeśli na Ziemi, to tylko pomniejszy tytuł szlachecki... zapewnia karierę biurokratyczną. Wolałbym zostać artystą - bawię się odrobinę farbami olejnymi i gliną - może zechciałbyś kiedyś zobaczyć... Cóż, wiesz, jak to jest. Od cesarskiej szlachty oczekuje się służby dla Imperium. Gdybym tylko urodził się w jakiejś dekadencej epoce! Co? Niestety, Imperium nie utraciło jeszcze swego rozpędu...

W duchu uśmiechnął się na ten własny występ. On, człowiek który ma na karku pięćdziesiąt trzy standardowe lata, przysadzisty, z tendencjami do tycia, kompletnie łysy, z małymi oczkami osadzonymi blisko gigantycznego nosa i dwiema drogimi kochankami w pałacu – odgrywający chłopca, który z kolei gra rolę *homme du monde*! No cóż, od czasu do czasu lubił to, tak samo jak lubił jaskrawe ubrania i biżuterię.

Były one odprężeniem od ironicznego realizmu, który nigdy nie pozwalał mu na poprawienie swojego wyglądu przy pomocy biorzeźby.

Ale w tym momencie rzuciła mu pytanie:

— Czy naprawdę zamierzamy zaatakować Ythrian?

— He? — Niepokój w jej głosie sprawił, że gwałtownie odwrócił głowę, by na nią popatrzeć. — No cóż, negocjacje utknęły w martwym punkcie, ale...

— Kto je zablokował? — Spoglądała prosto przed siebie. Jej głos uniósł się, a lekki wcześniej hiszpański akcent wyraźnie się nasilił.

— A kto zapoczątkował większość aktów przemocy? — odparł. — Ythrianie. Nie to, żeby byli jakimiś potworami, rozumiesz pani. Ale oni z natury są drapieżnikami. I nie mają silnej władzy centralnej – w zasadzie, żadnego porządnego rządu – która by kontrolowała impulsy różnych grup. To była poważna przeszkoda w staraniach o osiągnięcie porozumienia.

— Jak szczerze były te starania – z naszej strony? — spytała, wciąż nie patrząc na niego. — Od jak dawna planował pan ich zaatakować? Mój ojciec nic mi nie powie, ale to oczywiste, odkąd się tu przeniósł – jak często kwatery główne marynarki i cywilna znajdują się na tej samej planecie? – było oczywiste, że coś jest p-p-przygotowywane.

— Donna — oznajmił poważnie Saracoglu — od kiedy floty statków kosmicznych są w stanie zamienić całe planety w grobowce, przygotowuje się na najgorsze i zaostrza przepisy bezpieczeństwa. — Przerwał na chwilę. — Odkrywa się również, że nierozsądnie jest pozwalanie na to by sfery państwowe przenikały się, tak jak zrobiły to Imperium i Dominium. Śmiem twierdzić, że pani, młoda dama, mieszkająca daleko, w stosunkowo odizolowanym układzie... Śmiem twierdzić, że wbiła pani sobie do głowy, iż to Imperium prowokuje wojnę, aby wchłonąć całą Domene Ythrian. To nieprawda.

— A co jest prawdą? — odpowiedziała z goryczą.

— Że dochodzi do krwawych starć o sporne terytoria i sprzeczne interesy.

— Tak. Nasi handlarze tracą potencjalne zyski.

— O gdyby była to jedyna kwestia sporna. Spory handlowe zawsze podlegają jakimś negocjacjom. Rywalizacja polityczna i militarna to trudniejsza sprawa. Na przykład, kto z nas wchłonie kompleks Antoranitów i Kraokanów wokół Beta Centauri? Jedno z naszych państw zrobi to na pewno, a te zasoby znacznie wzmocniłyby Terrę. Podporządkowując sobie Dathynę, Ythrianie już i tak zdobyli większą siłę, niż chcielibyśmy aby posiadała ją potencjalnie wroga rasa.

— Co więcej, porządkując tę chaotyczną granicę, możemy się zabezpieczyć przed atakiem z flanki przez Merseię. — Saracoglu uniósł rękę, aby powstrzymać jej protesty. — Rzeczywiście, Donna, Roidhunat jest daleko stąd i jest niezbyt duży. Lecz rośnie w zastraszającym tempie, a agresywna żądza posiadania jest wpisana w jego ideologię. Obowiązkiem imperium jest zapewnienie jego istnienia naszym prawnikom.

— Dlaczego nie możemy po prostu spisać traktatu, dając im coś za coś, podzielić rzeczy w sprawiedliwy i rozsądny sposób? — spytała Luisa.

Saracoglu westchnął.

— Ludność planet sprzeciwiłaby się traktowaniu jej jak nieożywionej własności. Żaden rząd, który przyjąłby takie podejście, nie przetrwałby zbyt długo. — Wskazał gestem w górę. — Co więcej, wszechświat skrywa zbyt wiele niewiadomych. Przebyliśmy setki - w dawniejszych czasach, tysiące - lat świetlnych, do szczególnie interesujących nas gwiazd. Ale jakie niezliczone miriady ominęliśmy? Co może się pojawić, kiedy ich poszukamy? Żadna odpowiedzialna władza, ludzka czy ythriańska, nie odda bezkrytycznie takich możliwości obcym.

— Nie, Donna, to nie jest problem, który dałoby się rozwiązać w sposób klarowny i ostateczny. Musimy po prostu zrobić, co w naszej mocy. Co nie oznacza konieczności podporządkowania sobie Ythri. Jestem pierwszym, który przyzna Ythri prawo do istnienia, podążania własną drogą rozwoju, a nawet posiadania dóbr poza planetą. Lecz ta granica musi zostać ustabilizowana.

— Przecież... przenikamy się - z innymi - i nie ma z tym żadnych kłopotów.

— Oczywiście. Po co mielibyśmy walczyć, na przykład, z istotami oddychającymi wodorem? Są tak od nas odmienne, że ledwie możemy się z nimi porozumieć. Problem w tym, że Ythrianie są do nas zbyt podobni. Jak mawia stare, stare powiedzenie, dwie silne, inteligentne rasy potrzebują tej samej ziemi.

— Możemy z nimi żyć! Prawdę mówiąc, ludzie już to robią. I to robią od pokoleń.

— Masz pani na myśli Avalon?

Skinęła głową.

Saracoglu dostrzegł szansę na skierowanie rozmowy z powrotem na prostsze tory.

— No cóż, z pewnością to ciekawa sprawa — uśmiechnął się. — Ile pani o niej wiesz?

— Bardzo niewiele — przyznała stłumionym głosem. — Kilka wzmianek tu i ówdzie, odkąd przybyłam na Esperance. Galaktyka jest taka ogromna, ten jej mały skrawek, który zbadaliśmy...

— Może uda ci się zobaczyć Avalon — stwierdził. — To niedaleko, dziesięć czy dwanaście lat świetlnych. Sam bym chętnie poleciał. Społeczeństwo rzeczywiście wydaje się niezwykle, jeśli nie absolutnie wyjątkowe.

— Nie rozumie pan? Skoro ludzie i Ythrianie mogą współdzielić jedną planetę...

— To co innego. Pozwól, Donna, że wprowadzę cię trochę w tło. Ja też nigdy tam nie byłem, ale studiowałem materiały na ten temat, odkąd otrzymałem moje obecne stanowisko.

Saracoglu wziął głębszy oddech.

— Avalon został odkryty pięćset lat temu, przez ten sam statek Służby Pomiarowej, który przybył na Ythri — rozpoczął. — Znano go już wcześniej jako potencjalną kolonię, ale planeta była tak bardzo oddalona od Terry, że nikt się nią wtedy nie interesował; sama nazwa została nadana dopiero dużo później. Ythri była co prawda czterdzieści lat świetlnych dalej, lecz

była to o wiele bardziej atrakcyjna, bogata planeta pełna ludzi energicznie wkraczających we współczesną erę, którzy mieli do zaoferowania znaczący potencjał handlowy.

— Około trzy i pół wieku temu jedna z ludzkich kompanii złożyła Ythrianom propozycję. Liga Polesotechniczna miała załamać się dopiero za kolejne pięćdziesiąt lat, ale już wtedy każdy, kto miał sprawny umysł, mógł przewidzieć, jaki okres krwawej walki ich czeka. Ci ludzie, zróżnicowana grupa pod przywództwem starego pioniera handlowego, chcieli zabezpieczyć przyszłość swoich rodzin, osiedlając się na odludnym Avalonie – pod zwierzchnictwem, pod ochroną Ythri, która nie była tak bardzo skażona jak cywilizacja Techniczna. Ythrianie się zgodzili i naturalnie niektórzy z nich dołączyli do grona mieszkańców nowej osady.

— No cóż, nadeszły Kłopoty, które nie oszczędziły również Ythri. Ostateczne rezultaty były podobne - Terra wymusiła pokój za sprawą Imperium, Ythri za sprawą Domeny. Tymczasem, stojąc ramię w ramię, dźwigając ciężar chaosu, Avalończycy stopili się w jedność.

— Nic takiego nie ma zastosowania dzisiaj.

Zatrzymali się przy porośniętej winoroślą kratownicy. Zerwał winogrono i podał jej. Pokręciła głową. Sam je zjadł. Jego smak miał w sobie lekko-słodki osobliwy charakter; gleba Esperance nie była przecież identyczna z tą w Domu. Słońce zniknęło z pola widzenia, w ogrodzie rozgościły się cienie, rozkwitła gwiazda wieczorna.

— Przypuszczam... że pańskie plany „naprawy”... obejmują włączenie Avalonu do Imperium — zauważyła Luisa.

— Tak. Weź pani pod uwagę jego pozycję. — Saracoglu wzruszył ramionami. — Poza tym, ludzie stanowią tam znaczną większość. Raczej wyobrażam sobie, że z radością dołączą do nas, a Ythri nie będzie miała nic przeciwko pozbyciu się ich.

— Czy musimy walczyć?

Saracoglu uśmiechnął się.

— Nigdy nie jest za późno na pokój. — Ujął ją za ramię. — Wejdziemy do środka? Spodziewam się, że pani ojciec wkrótce tu będzie. Powinniśmy przygotować dla niego sherry.

Nie zepsuje ostatecznie przyjęcia, które wciąż można było jeszcze uratować, mówiąc jej, że już wiele tygodni temu, statek kurierski przywiózł mu to, o co prosił: imperialny reskrypt wypowiadający wojnę Ythri, który miał zostać ogłoszony, kiedy tylko gubernator i admirał uznają, że są gotowi do działania.

IV

Kampania przeciwko Ythri wymagała ogromnej floty, zebranej z całego Imperium. O takim nagromadzeniu statków publicznie niczego nie wiadomo ani nie słyszano, choć krążyły na ten temat plotki. Oczywiście, w miarę jak kryzys się zaostrzał, jednostki strzegące systemów granicznych były oficjalnie wzmacniane, a ćwiczenia i manewry szkoleniowe prowadzone były w szybkim tempie.

Krążowniki klasy Planet: *Thor* i *Ansa*, orbitując wokół Pax w odległości dziesięciu jednostek astronomicznych, wyrzucały pozbawione ładunków pociski i torpedy w ekrany sił przeciwnika, przeszywały te ostatnie wiązkami laserowymi, próbując je utrzymać w jednym miejscu kadłuba tak długo, ile potrzebowałoby uderzenie energii, aby przedrzeć się przez pancerz, detonowały magnezjowe flary, których blask symulował śmiertelne promieniowanie, wykonywały uniki na napędach grav, wskakiwały i wyskakiwały w fazę hipernapędu, wykorzystywały wszelkie sztuczki z podręcznika i parę takich, które, jak miało nadzieję dowództwo, jeszcze do podręczników Ythri nie weszły. W międzyczasie łodzie klasy Comet i Meteor, przenoszone przez krążowniki, były równie zajęte swoimi ćwiczeniami.

Aby stymulować wysiłek załóg, ogłoszono nagrodę. Statek, który komputery uznają za zwycięzcę, wraz z jednostkami pomocniczymi, uda się na *Esperance*, gdzie załoga otrzyma tydzień wolnego.

Wygrała *Ansa*. W odpowiedzi nadała radosny sygnał zwycięstwa. Pół miliona kilometrów dalej, na *Meteorze*, któremu jego kapitan nadał nazwę *Hooting Star*, silnik obudził się do życia.

— Wreszcie nas ożywili! — zawołał radośnie porucznik Philippe Rochefort. — I do tego w chwale.

— Co prawda niezasłużonej. — Oficer kontroli ognia, bosman Wa Chaou z Cynthii, uśmiechnął się szeroko. Jego drobne, białe, porośnięte futrem ciało, pochylało się nad stołem, który sprzątał po posiłku; puszysty ogon drżał mu niczym bokobrody wokół niebieskiego pyska.

— Co do cholery masz na myśli, mówiąc „niezasłużona”? — burknął inżynier-informatyk, bosman Abdullah Helu; szczupły marynarz w średnim wieku, z Huy Braseal. — Udawanie martwych przez trzy dni zdecydowanie przekracza granice zwykłego obowiązku.

Łódź teoretycznie została zniszczona w walce kołowej i dryfowała swobodnie, jak prawdziwy wrak, komplikując życie jedynie technikom detektorów.

— Zwłaszcza, że w tym czasie poker wyczyścił ci kieszenie do pusta, co? — zadrwił Wa Chaou.

— Nie będę z panem więcej grał, panie poruczniku — oznajmił Helu do kapitana-pilota łodzi. — Bez urazy. Jest pan po prostu za dobry w te klocki.

— To tylko szczęście — odpowiedział Rochefort. — Tak samo, jak tylko szczęście pozwoliło nam na sukces na ćwiczeniach, mimo tak dużych szans przeciwko nam. Łódź nieźle za to zapłaciła. Tak jak i ty, później, przy pokerowych żetonach. Następnym razem oboje będziecie mieli więcej szczęścia.

Łódź była jego pierwszym, cudownym i wspaniałym, stanowiskiem dowódczym - niedawno awansował ze stopnia chorążego¹ za odwagę podczas akcji ratunkowej - i zależało mu na tym, żeby dobrze się spisała. Nieważne jak bardzo bolała, nieunikniona w tych okolicznościach, porażka.

Ale należeli do najlepszego zespołu; oni sami poradzili sobie z dwoma jednostkami przeciwnika, a dodatkowo przez pewien czas zajmowali trzy kolejne, które nie mogły być, a powinny, wykorzystane gdzie indziej; i teraz kierowali się z powrotem na *Anse*, a stamtąd mieli lecieć na *Esperance*, gdzie znał wystarczająco wiele dziewczyn, by jego szanse na randkę zmieniły się w statystyczną pewność.

Mała kabina drżała i szumiała od energii napędu. Powietrze buchało z wentylatorów, niosąc ze sobą zapach oleju i chemikaliów z recyklingu. Klasa Meteor została zaprojektowana do dużych przyspieszeń zarówno w warunkach relatywistycznych, jak i hipernapędowych; do precyzyjnych ataków torpedami z głowicami nuklearnymi; oraz do zapewnienia jedynie minimalnego komfortu niezbędnego do utrzymania sprawności personelu.

Kosmos za portami widokowymi otaczał ich blaskiem gwiazd, diamentowo ostrych, nieruchomych, wielobarwnych, rojących się w nieskończenie czystej czerni tak gęsto, że aż zlewały się w srebrny strumień Drogi Mlecznej lub mroczne, tajemnicze obłoki, siostrzane galaktyki. Rochefort miał ochotę siedzieć i patrzeć, pozwolić duszy podążać za wzrokiem w stronę Bożej świątyni wszechświata. W tej chwili mógłby nawet to zrobić; Łódź leciała w pełni automatycznie. Lepiej jednak było pokazać innym, że jest zarówno sumiennym, jak i znającym się na swoich obowiązkach oficerem. Włączył więc z powrotem ekran wizyjny, którego używali do odbierania wiadomości.

Właśnie ledwie co zaczął się nagrany wykład. Na ekranie stał ludzki ksenolog i perorował:

— Ciepłokrwieńcy, upierzeni i latający Ythrianie nie są ptakami; rodzą żyworodne młode po czteroipółmiesięcznej ciąży; nie mają dziobów, lecz wargi i zęby. Nie są też ssakami; nie posiadają włosów i nie mają gruczołów mlecznych; ich wargi rozwinęły się, aby rodzice mogli karmić niemowlęta zwracanym pożywieniem. I choć szczeliny zasysające mogłyby przypominać rybnie skrzela, nie są one przeznaczone do oddychania w wodzie, lecz do...

¹ Stopień chorążego (ang. *ensign*) nie ma nic wspólnego z naszym korpusem chorążych. Jest pierwszym stopniem oficerskim i odpowiada w Polsce randze podporucznika marynarki (przyp. tłum.).

— O nie! — wykrzyknął Helu. — Panie poruczniku, czy nie będzie miał pan czasu na naukę później? Diabli wiedzą, ile jeszcze tygodni będziemy musieli czekać na orbicie, nic nie robiąc.

— Wojna może wybuchnąć w każdej chwili — powiedział Wa Chaou.

— A jeśli nawet, kogo tam obchodzi jak wygląda wróg, albo na czym polega jego życie miłosne? Jego statki są mniej więcej takie jak nasze i to prawdopodobnie wszystko, co w ogóle kiedykolwiek zobaczymy.

— Och, czyżbyś miał bezpośredni kontakt z przyszłością? — mruknął Cynthianin.

Rochefort zatrzymał taśmę i warknął:

— Jeśli sobie życzysz, włączę dźwięk w trybie indywidualnym. Ale znajomość natury wroga może mieć decydujące znaczenie, które uratuje nam tyłki, kiedy wydarzy się coś naprawdę groźnego. Radzę ci też to obejrzeć.

— Eee... chyba powinienem sprawdzić oscylator numer trzy, skoro nie lecimy z szybkością nadświatłą — stwierdził Helu i wycofał się do maszynowni. Wa Chaou usadowił się przy Rocheforcie.

Porucznik uśmiechnął się. Powstrzymał się od tego by powiedzieć Cynthianinowi: „Jesteś dobrym chłopcem. Zaciągnąłeś się, aby uciec od dominacji porywczych samic na twojej ojczystej planecie?”

Jego myśli biegły dalej: „Wzorzec reprodukcyjny - cechy płciowe, potrzeby młodych - zdaje się determinować większość podstawowych czynników u każdego inteligentnego gatunku. Jakby prawdziwe były uwagi cyników, że żywy organizm to po prostu sposób, w jaki cząsteczka DNA tworzy kolejne cząsteczki DNA. Czy też jakiegokolwiek tam inne substancje chemiczne odpowiadające za dziedziczność na danej planecie... Ale nie, katolik z Jerozolimy nie może w to wierzyć. Ewolucja biologiczna skłania, a nie zmusza do pewnych rzeczy.”

— Zobaczmy, jak funkcjonują Ythrianie — oznajmił na głos, sięgając do włącznika.

— Czyżby pan jeszcze tego nie wiedział, panie poruczniku? — spytał Wa Chaou.

— Nie do końca. Tyle jest inteligentnych ras w tym niewielkim skrawku kosmosu, który już jakbyśmy trochę zbadali. A ja byłem do tej pory zajęty zapoznawaniem się z moimi nowymi obowiązkami. — Rochefort zachichotał. — Oraz, jak muszę przyznać, korzystałem ze wszystkich przepustek, jakie udało mi się zdobyć.

Włączył ponownie ekran. Pokazywał on Ythrianina kroczącego na wyrastających mu ze skrzydeł stopach: był to stosunkowo powolny, szarpany chód, niezbyt przydatny do wędrówek na duże odległości. Istota zatrzymała się, opuściła ręce na ziemię i stanęła na nich. Uniosła skrzydła i w jednej chwili zmieniła się w coś wspaniałego.

Pod skrzydłami, po obu stronach ciała, znajdowała się kolumna szczelin. Kiedy skrzydła unosiły się, pierzaste, przypominające wieczka patki, które je chroniły, rozchylały się. Szczeliny rozciągały się, aż w pełnym rozwarciu wyglądały jak wielkie, fioletowe usta. Na ekranie pojawiło się zbliżenie. Za zasłoną rzęsek, które zapewne służyły do

filtrowania kurzu, widoczne były cienkoskóre, misternie pomarszczone tkanki.

Kiedy skrzydła opadały, szczeliny zamykały się z powrotem, niczym miechy. Głos wykładowcy oznajmił:

— To one właśnie pozwalają, przy terrańskiej grawitacji i gęstości gazu, latać tak ciężkiemu ciału. Ythrianie osiągają masę ponad dwukrotnie wyższą niż inne, największe nawet, stworzenia latające, na podobnych planetach. Szczeliny zasysające, pompowane uderzeniami skrzydeł, pobierają pod ciśnieniem tlen, aby dostarczyć go bezpośrednio do krwiobiegu. W ten sposób uzupełniają pracę płuc, które same w sobie w przybliżeniu przypominają płuca innych zwykłych zwierząt lądowych. Dzięki temu Ythrianie zyskują siłę potrzebną do wzbicia się w powietrze i, co więcej, mogą latać z dużą szybkością oraz gracją.

Obraz odjechał do tyłu. Stworzenie na hologramie zatrzepotało mocno skrzydłami i wystrzeliło w górę.

— Oczywiście — mówił dalej suchy głos — ta energia musi pochodzić z odpowiednio przyspieszonego metabolizmu. Ythrianin, o ile nie jest pozbawiony możliwości latania, pochłania żarłocznie pożywienie w ogromnych ilościach. Poza pewnymi rodzajami słodkich owoców, jest stworzeniem ściśle mięsożernym. Ten ogromny apetyt niewątpliwie wzmocnił typową dla mięsożerców tendencję do życia w małych, mocno od siebie odizolowanych grupach, z których każda zajmuje rozległe terytorium, co instynktownie każe im się bronić przed wszelkimi intruzami.

— Właściwie Ythrian najlepiej jest zrozumieć w kategoriach tego, co wiemy lub przypuszczamy na temat ewolucji ich rasy.

— Podejrzewam, że to raczej przypuszczenia niż wiedza — zauważył Rochefort. Ale był zafascynowany wykładem.

— Uważamy, że stałocieplne - z grubsza rzecz biorąc, ciepłokrwiste - istoty żywe na Ythri, nie pochodzą od form gadzich ani gadopodobnych, lecz bezpośrednio od płazów, a prawdopodobnie nawet od czegoś odpowiadającego rybom dwudyszny. W każdym razie stworzenia tego rodzaju zachowały coś w rodzaju skrzeli. Gatunki, które najlepiej radziły sobie na lądzie, z czasem utraciły tę cechę. Zachowały ją bardziej prymitywne zwierzęta. Wśród nich pojawiło się to małe stworzenie, prawdopodobnie zamieszkujące bagna, które stało się przodkiem istot inteligentnych. Zapuszczając się na wierzchołki drzew, mogło rozwinąć błony, na których szybowало z gałęzi na gałąź. Ostatecznie przekształciły się one w skrzydła. W międzyczasie skrzela zostały zmodyfikowane do użytku w powietrzu, przekształcając się w obecne super-doładowanie.

— Jak zwykle — zauważył Wa Chaou. — Niepowodzenia na jednym etapie ewolucji rodzą sukcesy na następnym.

— Oczywiście, Ythrianie potrafią szybować, a nawet zawisać nieruchomo w powietrzu — dobiegło z głośnika — lecz umożliwia im to, tak ogromna powierzchnia skrzydeł. Zaś właśnie dzięki szczelinom zasysającym możliwe jest tych skrzydeł użycie.

— W przeciwnym razie pre-Ythrianie musieliby wyglądać dosyć podobnie do terrańskich ptaków. — Przez ekran przelatywały obrazy różnych hipotetycznych wymarłych stworzeń. — Rozwinęli oni alternatywny system gromadzenia wody - bez wydzielania moczu - co pozwoliło zaoszczędzić im na wadze, a także zrekompensować straty wody przez szczeliny zasysające. Wykształcili również lekkie kości, choć bardziej złożone niż kości ptaków, zbudowane z zadziwiająco wytrzymałego dwufazowego materiału, którego organicznym składnikiem nie jest kolagen, lecz substancja pełniąca funkcje szpiku kostnego terrańskich ssaków. Przodkowie Ythrian nie zmniejszyli jednak swojego ciężaru, przez zamianę zębów na dziób. Uczyniło tak wiele innych ornitoidów z Ythrii, na przykład uhot, podobny do jastrzębia, wykorzystywany jako coś w rodzaju psa. Jednakże przodek istot inteligentnych pozostał nie do końca wyspecjalizowanym mieszkańcem wilgotnych dżungli.

— Fakt, że młode rodziły się maleńkie i bezbronne - ponieważ samica, przenosząc ciężkie płody, nie mogłaby latać na duże odległości - jest prawdopodobnie odpowiedzialny za zachowanie i ukształtowanie palców na skrzydłach. Młode mogło kurczowo trzymać się któregoś z rodziców, podczas gdy ci krążyli w poszukiwaniu pożywienia; zanim nauczyło się latać, mogło ratować się przed wrogami, wspinając się na drzewo. W międzyczasie stopy nabywały coraz większej zdolności do chwytania zdobyczy i manipulowania przedmiotami.

— Nawiasem mówiąc, krótki okres ciąży nie oznacza wcale, że Ythrianin rodzi się ze słabo rozwiniętym układem nerwowym. Szybki metabolizm podczas lotu wpływa na tempo podziału komórek płodu. Proces ten koncentruje się na kształtowaniu wzorca ciała, a nie na zwiększaniu rozmiarów. Tym niemniej jednak, niemowlę Ythrianin potrzebuje więcej opieki i pożywienia niż niemowlę ludzkie. Rodzice muszą współpracować, zapewniając mu wszystko, a także nosząc swoje potomstwo. W tym elemencie możemy odnaleźć przyczynę równości płci, lub niemalże równości, obecnej we wszystkich kulturach Ythrian.

— Podobnie, w prymitywnych warunkach szybkie tempo rodzenia kolejnych dzieci byłoby niemożliwe do utrzymania. Może być to powód, dla którego samica owuluje tylko w pewnych okresach roku - na Ythri jest on mniej więcej o połowę krótszy niż na Terrze - i z około dwuletnimi przerwami po porodzie. Poza tymi okresami, seksualność nie ujawnia się w żaden widoczny sposób. W ich trakcie jest jednak niesamowicie silna, niemalże w niekontrolowany sposób, zarówno u samców jak i samic. Po wyewoluowaniu inteligencji, mogło to nadać kulturowe wzmocnienie instynktowi terytorialnemu. Rodzice pragną trzymać swoje dojrzałe córki w czasie rui w izolacji od przypadkowo napotkanych samców. Co więcej, mąż i żona nie chcą marnować swego bogatego, rzadkiego doświadczenia na osoby z zewnątrz.

— Cykl płciowy nie jest w pełni sztywny. W szczególności ruję często wywołuje żaloba. Niewątpliwie pierwotnie był to naturalny mechanizm szybkiego uzupełniania strat. Wydaje się, że spowodowało to w psychice Ythrian częściowe połączenie Erosa i Tanatosa, co sprawia, że znaczna część sztuki, a niewątpliwie i ideologii tej rasy, jest dla człowieka

niezrozumiała. Samica może od czasu do czasu owulować z własnej woli, choć uważa się to za anomalię; w dawnych czasach zabijano ją za to, teraz jest generalnie odrzucana z obawy przed jej siłą. Ulubionym złoczyńcą w opowieściach Ythrian jest mężczyzna, który za pomocą hipnozy lub w inny sposób potrafi wywołać ten stan. Oczywiście, najważniejszym przejawem pewnej elastyczności jest fakt, że Ythrianie z powodzeniem dostosowali swój wzorzec rozrodczy, jak wszystko inne, do różnych skolonizowanych przez siebie planet.

— Myślę, że życie człowieka jest przyjemniejsze — stwierdził Rochefort.

— Nie wiem, panie poruczniku — odpowiedział Wa Chaou. — Na pierwszy rzut oka relacje między płciami wydają się prostsze niż w pańskiej czy w mojej rasie; albo ma się na to ochotę, albo nie, i tyle. Zastanawiam się jednak, czy w rzeczywistości nie są one jednak bardziej subtelne i skomplikowane niż nasze, a nawet bardziej fundamentalne dla całej ich psychologii.

— Jednak wracając do ewolucji — mówił wykładowca. — Wygląda na to, że znaczna część Ythri przeszła coś w rodzaju wielkiej suszy podobnej do pliocenu w Afryce, na Ziemi. Ornitoidy zostały wyparte z kurczących się lasów na rozrastające się sawanny. Tam ewoluowały od padlinożerców do myśliwych, polujących na grubą zwierzynę w sposób analogiczny do tego, jaki miał miejsce przed pojawieniem się człowieka. Pierwotne stopy stały się dłońmi, które z czasem zaczęły wytwarzać narzędzia. Aby podtrzymywać ciało i zapewnić możliwość poruszania się po ziemi, pierwotne pazury łokciowe przekształciły się w stopy, a skrzydła, które je unosiły, przekształciły się w swego rodzaju nogi.

— Mimo to, inteligentni Ythrianie pozostali czystymi mięsożercami, niezdarnymi na powierzchni ziemi. Zazwyczaj prymitywni myśliwi atakowali z góry, włóczniami, strzałami i toporami. W ten sposób do powalenia największych bestii potrzeba było tylko kilku osobników. Nie było konieczności współpracy przy kopaniu dołów-pułapek na słońce ani gromadzenia się ramię w ramię, przeciwko atakującym lwom. Społeczeństwo pozostało podzielone na rodziny lub klany, które rzadko toczyły wojny, ale z drugiej strony nie utrzymywały ze sobą zbyt wielu kontaktów.

— Rewolucja, która zakończyła epokę kamienia łupanego, nie od razu wiązała się z pojawieniem się rolnictwa, jak w przypadku człowieka. Wywodziła się ona raczej z systematycznego wypasu, a w końcu udomowienia, dużych zwierząt lądowych, takich jak maukh, i mniejszych, takich jak długowłose mayaw. To stymulowało wynalezienie płóz, koła i tym podobnych rzeczy, umożliwiając Ythrianom łatwiejsze poruszanie się po powierzchni ziemi. Rolnictwo zostało wynalezione niejako przy okazji, jako narzędzie pomocnicze dla hodowli, skuteczny sposób pozyskiwania paszy. Nadwyżki żywności umożliwiły podróże, handel i szeroko rozumianą wymianę cywilizacyjną. W ten sposób powstały większe, złożone jednostki społeczne.

— Nie można ich nazwać cywilizacjami w ścisłym tego słowa znaczeniu, ponieważ na Ythri nigdy nie było prawdziwych miast. Mobilność

wynikająca z faktu posiadania skrzydeł, nie stwarzała konieczności stłaczania się w jednym miejscu, w celu utrzymania bliskich relacji. Owszem, pojawiły się ośrodki osiadłego trybu życia – w celu prowadzenia prac wydobywczych, hutnictwa i innych gałęzi przemysłu; centra handlu i religii; w celu obrony na wypadek porażki danej grupy w bitwie powietrznej. Ale zawsze były one niewielkie, a ich populacja w większości miała charakter przejściowy. Poza baronami i garnizonami, ich stałymi mieszkańcami byli dawniej głównie niewolnicy z przyciętymi skrzydłami – dzisiaj są to automatyczne maszyny. Przycinanie skrzydeł stanowiło łatwy sposób na utrzymywanie człowieka pod kontrolą; jednakże ponieważ pióra mogły odrosnąć, powszechna nadzieja wyzwolenia, po pewnym okresie ciężkiej służby, sprawiała, że więźniowie zachowywali posłuszeństwo. Z tego powodu, niewolnictwo stało się tak powszechne w przedindustrialnym społeczeństwie Ythri, że do dziś całkowicie nie zanikło.

„No cóż, w Imperium też je wskrzeszamy”, pomyślał Rochefort. „Na określonych zasadach i na warunkach ograniczonych prawem; za karę, aby wycisnąć jakąś społeczną korzyść z przestępców; niemniej jednak przywracamy coś, czemu Ythrianie pozwalają umrzeć. A więc, w jakim stopniu jesteśmy bardziej moralni od nich? O ile więcej mamy w sobie prawa moralnego?”

Wyprostował się na fotelu. „Ludzie to moja rasa.”

Eve Davisson, smukła blondynka cechująca się staromodnym esperancjańskim, zamiłowaniem do prostoty w ubiorze, stanowiła dla Philippe'a Rocheforta przyjemny kontrast, czego oboje doskonale byli świadomi. Był wysokim, dosyć smukłym, młodym mężczyzną, roztaczającym aurę sprawności i siły, o szerokich rysach twarzy, pełnych ustach i regularnych włosach, które układały się w lśniący, czarny czepiec na ciemnobrązowej skórze. I naciągał do granic tolerancji zasady obowiązujące oficerów, w kwestii mundurów galowych – zawadiacko przechylony берет ze stylizowanym słońcem Imperium, niebieska tunika ze złotą lamówką, szkarłatna szarfa i peleryna, śnieżnobiałe spodnie wpuszczone w niskie buty z autentycznej terrańskiej skóry wołowej.

Siedzieli w jednej z kameralnych restauracji we Fleurville, przy oknie wychodzącym na ogrody i gwiazdy. Żywy sonorysta grał coś starego i sentymentalnego; dokoła unosiły się wonne, lekko odurzające opary; bawili się przystawkami i większą uwagę poświęcali swym kieliszkom szampana. Mimo to dziewczyna nie uśmiechała się.

— Ta planeta została zasiedlona przez ludzi, którzy wierzyli w pokój — powiedziała. Jej głos brzmiał raczej żałobnie niż oskarżycielsko. — Przez pokolenia nie utrzymywali sił zbrojnych, polegali na dobrej woli tych, którym pomagali.

— Ta dobra wola nie przetrwała Kłopotów — zauważył Rochefort.

— Wiem, wiem. Nie mam zamiaru dołączać do demonstrantów, cokolwiek powiedzą niektórzy z moich znajomych, kiedy dowiedzą się, że spotkałam się z imperialnym oficerem. Ale Phil – gwiazda o nazwie Pax, planeta o nazwie Esperance, wykorzystywane są do wojny. To boli.

— Bolałoby bardziej, gdybyście to wy zostali zaatakowani. Avalon nie jest daleko, a oni zbudowali tam wielką potęgę.

Zacisnęła palce na nóżce swego kieliszka.

— Atak z Avalonu? Ale ja spotykałam tych ludzi, z obu ras. Przybywali tu w celach handlowych, na wycieczki albo... sama zresztą niedawno tam byłam. Poleciałam, ponieważ to malownicza planeta, ale zostałam tak uprzejmie potraktowana, że doprawdy nie chciałam wyjeżdżać.

— Śmiem twierdzić, że maniery Ythrian udzieliły się ich ludzkim pobratymcom. — Rochefort pociągnął łyczek, zwilżając podniebienie, mając nadzieję, że złagodzi to jego irytację. To nie miał być wieczór nastawiony polityczny. — Podobnie i mniej przyjemne cechy ythriańskiej osobowości.

Przyglądała mu się w delikatnym świetle, zanim cicho zauważyła:

— Mam wrażenie, że nie pochwalasz idei mieszanej kolonii.

— No cóż... w pewnym sensie to prawda. — Mógłby udawać, że swobodą zgadza się na wszystko co mówiła, i w ten sposób zwiększać swoje szanse na późniejsze spędzenie z nią nocy. Ale nigdy tak nie postępował; i nigdy by tego nie zrobił, zwłaszcza że podobała mu się ta dziewczyna, po prostu jako osoba. — Wierzę, że powinno się być tym kim się jest i należy bronić swoich racji.

— Mówisz niemal jak zwolennik ludzkiej supremacji — stwierdziła, choć łagodnie.

— W takim zakresie, że ludzkość jest wiodącą rasą - dostarczającą większości przywódców - w cywilizacji Technicznej, tak, przypuszczam, że należałoby mnie nazwać zwolennikiem ludzkiej supremacji — przyznał. — To nie znaczy, że nie jesteśmy chronicznie grzeszni i głupi, ani nie oznacza to, że mamy prawo uciskać innych. Przecież ludzie mojego pokroju są najlepszymi przyjaciółmi istot pozaziemskich. Po prostu nie chcemy ich naśladować.

— Czy wierzysz, że Imperium Terrańskie stanowi siłę dobra?

— W sumie, tak. Zdarza się, że czyni zło. Ale żaden twór śmiertelników, nie jest w stanie tego uniknąć. Naszym obowiązkiem jest naprawiać to co było złe... a także uznawać wartości, które Imperium naprawdę chroni.

— Być może spotkałeś się ze zbyt małą ilością zła.

— Bo jestem z samej Ziemi? — zachichotał Rochefort. — Moja droga, jesteś zbyt bystra, żeby myśleć, iż nasz macierzysty układ zamieszkują wyłącznie arystokraci. Mój ojciec jest pomniejszym funkcjonariuszem w Służbie Socjodynamicznej. Jego praca zmuszała nas do częstych przeprowadzek. Urodziłem się w Selenopolis, porcie kosmicznym i centrum produkcyjnym. Spędziłem kilka lat na Wenus, zanurzony w przestępczości i ubóstwie planety, której terraformacja nigdy nie była do końca udana. Wstąpiłem do marynarki wojennej jako szeregowy - nie z szowinizmu, lecz z chłopięcej chęci zobaczenia wszechświata - i przez dwa-trzy lata nie byłem studentem szkoły pilotów; w międzyczasie widziałem mroczną stronę niejednej planety. Jasne, jest cały kosmos rzeczy do poprawy. No cóż, ulepszajmy a nie niszczy. I brońmy!

Powstrzymał się.

— Cholera — oznajmił szczerze. — Miałem nadzieję, że wyrwę cię z tego poważnego nastroju i sam w niego wpadłem.

Dziewczyna roześmiała się i uniosła kieliszek.

— Pomóżmy sobie nawzajem, wyrwać się z niego — zasugerowała.

Tak też zrobili. Przepustka Rocheforta stała się niezwykle przyjemna. I miał tu szczęście, ponieważ dwa tygodnie po jego powrocie na statek, *Ansa* otrzymała rozkaz wyruszenia w kosmos. Lata świetlne od Pax dołączyła do floty, która wykorzystywała pustkę kosmosu, jako przykrywkę do mobilizacji; i setki statków wyruszyły stąd w kierunku Domeny Ythri.

Spotkanie odbyło się telefonicznie. Podobnie jak większość tego rodzaju narad, w tamtych czasach. Było to sprzeczne z zasadami dawnej avalońskiej dworności, ale oszczędzało czas – a czasu było coraz mniej, pomyślał Daniel Holm.

W prowadzonych rozmowach wyraźnie trzeszczały iskierki gniewu. Dwa z trzech hologramów, na znajdującym się przed nim pulpicie komunikatora, wydawało się że zaraz wyjdą z ekranów i trafią do jego biura. Niewątpliwie ich oryginały wyglądały, jakby miały na to ochotę.

Matthew Vickery, przewodniczący Parlamentu Ludzi, wymachiwał palcem wskazującym i potrząsał pulchnymi policzkami, perorując:

— Nie żyjemy pod władzą rządów wojskowych, przypominam wam, na wypadek gdybyście o tym zapomnieli. My, właściwy rząd cywilny, przez kilka ostatnich lat zatwierdzaliśmy wasze środki obronne, choć wiecie, że ja sam zawsze uważałem je za przesadne. Kiedy pomyślę o dobrobycie, jaki mogłyby przynieść pieniądze z podatków, wydane na te zasoby, gdyby pozostawiono je w rękach prywatnych – lub o dobru społecznym, jakie mogłyby przynieść w sektorze publicznym... Stawiam wasze wojskowe głowy, że zbudowałibyście bazy w czwartym wymiarze, aby chronić nas przed inwazją z przyszłości.

— Przyszłość zawsze była najważniejszym źródłem ataków — oznajmił Ferune. — Najbliższy jej okres, nie będzie przyjemny.

Holm skrzyżował nogi, odchylił się do tyłu, wydmuchnął dym z cygara w obraz Vickery'ego i przeciągle wycodził:

— Proszę oszczędzić nam tych przemów. Nie prowadzi pan tu kampanii wyborczej o reelekcję. Co sprawiło, że obawiacie się tych kwestii bezpieczeństwa w czwartym wymiarze?

— Wasza kompletna samowola — oświadczył Vickery. — Kroplą przepełniającą czarę, był ten ostatni rozkaz, zakazujący nie-Ythriańskim statkom wstępu do Układu Laury. Czy zdaje pan sobie sprawę, jak dużą wymianę handlową prowadzimy... nie tylko z Imperium, choć zapewnia ono wiele źródeł utrzymania, ale także z niezależnymi cywilizacjami, takimi jak Kraokan?

— A czy pan zdaje sobie sprawę, jak łatwo byłoby Terranom umieścić zakamuflowanego robota, na niskiej orbicie wokół Avalonu? — odparł Holm. — Kilka tysięcy megaton eksplozji na tej wysokości, w chwili gdy niebo jest wolne od chmur, skąpałoby w ogniu mniej więcej połowę Korony. Albo ten robot mógłby być tak zaawansowany, że wylądowałby jako pokojowy statek handlowy. Komputery funkcjonujące na świadomym poziomie nie są już tak często używane, obecnie kiedy ma miejsce tak

niewiele nowych działań eksploracyjnych, ale przecież można je skonstruować, przy tym z wbudowanym nakazem samobójstwa. Taka eksplozja mogłaby mieć miejsce w obrębie osłon siłowych miasta; zniszczyłaby generatory, pozostawiając bezbronnym to, co zostało z miasta; opad radioaktywny z brudnej głowicy zatrułby cały teren. A pan, Vickery, pomógł zablokować połowę środków, których potrzebowaliśmy na odpowiednie schrony.

— Histeria — parsknął prezydent. — Co Terra miałaby zyskać na tego rodzaju ewidentnej zbrodni? Nie, żebym spodziewał się wojny, gdybyśmy tylko zdołali wziąć w karby naszych gorącogłowych. Ale... no dobrze, weźmy ten absurdalny program obrony terytorialnej, który panowie zainicjowali. — Jego spojrzenie powędrowało w stronę Ferune i Liawa. — Och, daje to wielu młodym ludziom doskonałą wymówkę, aby się chełpić, wchodzić innym ludziom w drogę, arogancko im rozkazywać, czuć się ważnymi, nie zważając na koszty społeczne i finansowe. Ale jeśli ta flota, którą zbudowaliśmy i obsadziliśmy załogami, na wasze głośnie nalegania, obciążając nasz cały system produkcyjny i trwoniąc ogromne zasoby, jeśli ta flota jest aż tak silna, jak ją reklamujecie, Terranie nigdy się do nas nawet nie zbliżą. W przeciwnym przypadku, to kto zaniedbał swoje obowiązki?

— Znajdujemy się blisko stolicy ich sektora — przypomniał mu Ferune. — Mogą uderzyć na nas pierwsi, i to z ogromną siłą.

— Słyszałem to już tak często, jakbym miał to nagrane w głowie. Wolę sam programować swój umysł, dziękuję bardzo. — Vickery przerwał na chwilę. — Słuchajcie — kontynuował spokojniejszym tonem — zgadzam się, że sytuacja jest krytyczna. Wszyscy jesteśmy Avalończykami. Jeśli z całą pewnością uznam, że wasze propozycje są nierozsądne, powiem o tym opinii publicznej i parlamentowi. Ale ostatecznie dojdziemy do jakiegoś kompromisu, jak rozsądni ludzie.

Twarz Ferune'a zmarszczyła się. Dobrze, że Vickery tego nie zauważył lub nie był w stanie odczytać znaczenia wyrazu twarzy swojego rozmówcy. Twarz Liawa z Tarns pozostała kamienna. Holm mruknął:

— Proszę mówić dalej.

— Muszę zaprotestować przeciwko waszym działaniom i sposobowi ich prowadzenia — powiedział Vickery. — Nie mamy obecnie stanu wyjątkowego, a Pakt nie przewiduje możliwości jego wprowadzenia.

— Dawniej nie było to potrzebne — zauważył Holm. — Zagrożenie było wyraźne i bezpośrednie. Nie sądziłem, że będzie to potrzebne teraz. Admiralicja odpowiada za lokalną obronę i łączność z siłami zbrojnymi w innych częściach Dominium...

— Co nie upoważnia was do wstrzymania wymiany handlowej, tworzenia wojskowej milicji ani niczego, co tak głęboko wkraczałoby w normalne życie Avalończyków. Moi koledzy i ja, do tej pory to znosiliśmy, uznając konieczność przynajmniej niektórych działań. Ale dziś konieczne jest przypomnienie wam, że jesteście sługami narodu, a nie jego panami. Jeśli naród będzie chciał, aby wasza polityka nadal była realizowana, poinstruuje nas o tym przez swoich przedstawicieli ustawodawczych.

— Khruath rzeczywiście domagał się sił obrony terytorialnej i przyznania Admiralicji szerokich uprawnień — oznajmił Liaw z Tarns szeleszczącym głosem. Był stary, miał szron w piórach, ale siedział potężny w swoim zamku, a w tle na ekranie widniał obraz urwisk oraz lodowców.

— Parlament...

— Wciąż debatuje — wszedł mu w słowo Holm, kończąc rozpoczęte przez niego zdanie. — Imperium Terrańskie nie ma takich problemów. Jeśli chce pan formuły prawnej, no cóż, niech pan przyjmie, że działamy zgodnie z prawem choth.

— Choth nie mają rządu — zauważył Vickery, czerwieniąc się.

— A czymże jest rząd? — spytał Liaw, Wyvan Wysokiego Khruath - bardzo delikatnie!

— Ależ... no cóż, legalna władza...

— Tak. Legitymizacja, bez względu na jej formułę, wynika ostatecznie z tradycji. Władza wynika, bez względu na jej formułę, z siły zbrojnej. Rząd to instytucja, której legitymizacja wynika z możliwości użycia przymusu fizycznego wobec ludzi. Czy dobrze czytałem waszych ludzkich filozofów i historię, panie przewodniczący Vickery?

— No cóż... tak... ale...

— Zdaje się, że na moment zapomniał pan, iż choth nie były wcale bardziej jednomyślne niż wasze ludzkie frakcje — stwierdził Liaw. — Wierzcie mi, były głęboko podzielone i nadal tak jest. Chociaż większość głosowała za najnowszymi środkami obronnymi, głośniejsza mniejszość wyraziła sprzeciw: uważając, podobnie jak pan, przewodniczący Vickery, że zagrożenie zostało wyolbrzymione i nie usprawiedliwia dźwigania tak ogromnych ciężarów.

Liaw siedział w milczeniu przez chwilę, podczas której reszta usłyszała gwizd wiatru za jego plecami i zobaczyła jego dwóch przelatujących wnuków. Jeden nosił obnażony miecz, który wędrował od domu do domu jako wezwanie do wojny, drugi - karabin energetyczny.

Wyvan oznajmił:

— Trzy choth odmówiły złożenia swych darów. Moi towarzysze i ja zagroziliśmy, że okrzykniemy ich Oherran. Gdyby się nie poddali, zrobilibyśmy to. Uważamy sytuację za aż tak poważną.

Holm sapnął. „Wcześniej nic mi o tym nie mówił!... Oczywiście, że nie mógł mi tego powiedzieć.” Ferune zamarł na swej ławie niemal tak samo jak Liaw. Vickery złapał oddech; pot wystąpił na jego gładkiej skórze; otarł ją.

„Prawie mu współczuję”, pomyślał Holm. „Nagłe zderzenie z rzeczywistością, i to w taki sposób.”

Matthew Vickery powinien pozostać analitykiem kredytowym zamiast zająć się polityką (Umysł Holma krążył bez celu, tłumiąc własne, wstrząśnięte pobudzenie). Wtedy byłby nieszkodliwym człowiekiem, a wręcz pożytecznym; ekonomia międzygatunkowa to często kraina czarnej magii, wymagająca wszelkich możliwych badań. Problem polegał na tym, że na słabo zaludnionym globie, takim jak Avalon, rząd nigdy nie odgrywał większej roli, poza podstawowymi kwestiami ekologii i obronności. W

ostatnich dekadach, jego funkcje jeszcze bardziej zmalały, w miarę jak społeczeństwo ludzkie zmieniało się pod wpływem Ythrian. (Uklucie bólu). Wybory na urzędy, które jedynie wyglądały na kierownicze, były łatwe. Dlatego co bardziej reakcyjne grupy ludzi mogły wybrać Vickery'ego, który z niepokojem obserwował tendencję do Ythrianizacji. (Czyż niepokój ten nie był uzasadniony?) Nie miał nic innego do zaoferowania w tych mrocznych czasach.

— Rozumie pan, że to poufne — oznajmił Liaw. — Gdyby się to rozeszło, te choth musiałyby uznać to za śmiertelną obrazę.

— Tak — wyszeptał Vickery.

Kolejna chwila ciszy. Cygaro Holma wypaliło się niemal całkowicie, parzyło mu palce. Zgasił je. Cuchnęło. Zapalił nowe. Za dużo pałę, pomyślał. Ostatnio może też za dużo piję. Ale robota idzie do przodu tak szybko, na ile pozwalają okoliczności.

Vickery oblizał wargi.

— To... zmienia... nieco postać rzeczy, prawda? — wykrztusił. — Czy mogę mówić wprost? Muszę wiedzieć, czy to nie było sygnałem, że... panowie możecie poczuć się zmuszeni do przeprowadzenia zamachu stanu.

— Mamy lepsze cele, na które wolelibyśmy zużyć naszą energię — odparł mu Liaw. — Pańskie wysiłki w Parlamencie mogłyby być bardziej pomocne.

— No cóż... zdaje pan sobie chyba sprawę, że nie mogę wyrzec się swoich zasad. Muszę mieć swobodę wypowiedzi.

— To jest zapisane w Pakcie — zauważył Ferune, a jego cytat, który nastąpił potem, nie wydawał się zbędnym gadaniem, nawet według ythriańskich standardów. — „Ludzie zamieszkujący Avalon mają prawo do wolności słowa, publikacji i nadawania, ograniczone jedynie prawem do prywatności i honoru oraz wymogami ochrony przed zagranicznymi wrogami.

— Chodziło mi o to... — Vickery przełknął ślinę. Lecz nie na darmo spędził wiele lat w polityce. — Chodziło mi po prostu o to, że przyjacielska krytyka i sugestia, zawsze będą na miejscu — powiedział z niemal typową dla siebie swadą. — Jednakże z pewnością nie możemy obecnie ryzykować wojny domowej. Może więc omówimy szczegóły polityki ponadpartyjnej współpracy?

Za wypowiedzianymi przez niego słowami wciąż dało się wyczuć strach. Holm wyobrażał sobie, że niemal czyta w myślach Vickery'ego, analizując ciężkie od wagi słowa Liawa.

Jak zacięta, dumna, silnie klanowa i terytorialna rasa, może regulować swoje sprawy publiczne?

Podobnie jak na Ziemi, różne kultury na Ythri w różnych okresach swej historii udzielały na to pytanie różnorodnych odpowiedzi, z których żadna nie była ani w pełni satysfakcjonująca ani trwale obowiązująca. Ludy mówiące językiem Planha, w chwili przybycia pierwszych odkrywców, były najbogatsze i najbardziej postępowe; można by je nazwać

„hellenistycznymi”. Gorliwie przyswajając sobie nowoczesną technologię, szybko wchłonęły do swojego systemu inne, modyfikując go jednocześnie tak, aby dostosować go do zmieniających się warunków.

Było to tym łatwiejsze, że system nie wymagał jednolitości. W obrębie swoich posiadłości - niezależnie od tego, czy były one rozproszone, czy stanowiły pojedynczy zwarty blok lądu lub morza - choć były niezależne. Tradycja określała, co stanowiło choć, choć była to tradycja, która powoli się zmieniała, jak to musi dotyczyć każdego żyjącego zwyczaju. Czy traktować go jako plemię, anarchię, despotyzm, luźną federację, teokrację, klan, rozbudowaną rodzinę, korporację - i tak dalej, poprzez kolejne koncepcje, które niekoniecznie mają nawet swoje odpowiedniki w ludzkim słowniku - choć zawsze rządził się sam.

Przeważnie, utrzymanie porządku wewnętrznego opierało się na zwyczajach i opinii społecznej, a nie na nakazach i sile. W końcu, rodziny rzadko mieszkaly blisko siebie; stąd tarcia były minimalne. Najczęstszą sankcją był rodzaj główszczyzny, najsurowszą zaś - oddanie w niewolę. Pomiędzy nimi istniało pojęcie wyjęcia spod prawa; przez określony czas, który mógł sięgać nawet dożywocia, przestępca mógł zostać przez każdego bezkarnie zabity, a udzielenie mu pomocy wiązało się z poniesieniem tej samej kary. Inną możliwą karą było wygnanie, z automatycznym wyjęciem spod prawa w przypadku powrotu przed upływem terminu. Były to surowe prawa dla Ythrianina. Z drugiej strony, prawdziwie niezadowoleni mogli łatwo opuścić dom (jak postawić płoty na niebie?) i ubiegać się o członkostwo w choć, bardziej odpowiadającym ich gustom.

Oczywiście, jakaś uznana instytucja musiała rozpatrywać sprawy i wydawać wyroki. Musiała również rozstrzygać spory między choć i ustalać politykę oraz zobowiązania dla dobra ogółu. Tak więc już w starożytności powstał Khruath, okresowe zgromadzenie wszystkich wolnych dorosłych na danym terytorium, którzy zechcieli na niego przybyć. Posiadał on władzę sadowniczą i ograniczoną władzę ustawodawczą, ale nie administracyjną. Zwycięzcy procesów sądowych, skuteczni autorzy planów oraz rozporządzeń, musieli polegać na gotowości do podporządkowania się im, albo na sile, jaką zdołają zgromadzić, aby je wyegzekwować.

W miarę rozrastania się społeczeństwa języka Planha, regionalne spotkania, takie jak wspomniane wyżej, zaczęły wybierać delegatów na Doroczne Khruath, które obejmowały coraz większe terytoria. W końcu te z kolei, wysyłały swoich przedstawicieli na Wysoki Khruath całej planety, zbierający się co sześć lat, a ponadto w sytuacjach wyjątkowych. Na każdym poziomie wybierano grupę przewodniczących, Wyvanów. Powierzano im wyjaśnianie prawa (tj. zwyczajów, precedensów, decyzji) i prowadzenie rozpraw w jak największej liczbie spraw. Nie była to organizacja mająca do końca formę obieralnej rady, ponieważ każdy wolny dorosły mógł uczestniczyć w Khruath na dowolnym poziomie.

System ten nie sprawdziłby się na Ziemi - gdzie jego wersja pojawiła się kiedyś, dawno temu w Związku Sowieckim, i poniosła krwawą klęskę. Jednak Ythrianie byli mniej gadatliwi, mniej wścibscy, dawali mniejszy posłuch tyranom i nie byli tak chronicznie stłoczeni niż ludzie.

Współczesna komunikacja, komputery, wyszukiwanie informacji i techniki edukacyjne pomogły systemowi by rozprzestrzenił się na całą planetę, ostatecznie obejmując całą domenę.

Zanim osiągnął taką skalę, Kruath musiał zmierzyć się z problemem administracji. Konieczne było sfinansowanie niezbędnych robót publicznych; teoretycznie choth składały na ten cel dary, w praktyce jednak koszty wymagały konkretnej alokacji. Zachowania rażąco szkodliwe dla środowiska fizycznego lub społecznego, musiały być zakazane, niezależnie od tego, jak bardzo niektóre choth mogłyby z nich korzystać lub uważać je za swoje szczególne dziedzictwo. Jednakże nie istniał żaden mechanizm przymusu, ani Ythrianie nie wyobrażali sobie nawet jego stworzenia - jako takiego.

Zamiast tego, stopniowo doszło do sytuacji, że gdy nieprzestrzeganie zasad wydawało się istotne, Wyvanowie z odpowiedniego Khruath krzyczeli na łamiących je: „Oherran”. Czyniono to po długim namyśle i z najpoważniejszym ceremoniałem, co było wezwaniem do wszystkich na danym terytorium, aby w imię własnych interesów, a zwłaszcza honoru, atakowali buntowników przeciwko prawu.

W dawnych czasach, okrzyknięcie całego choth Oherran, oznaczało koniec - oddanie w niewolę każdego, kto nie został zabity, podział majątku między zwycięzców. Później mogło to oznaczać załedwie aresztowanie i wygnanie wyznaczonych przywódców. Zawsze jednak, wiązało się to z koncepcją dumy aż do śmierci. Jeśli wezwanie do Oherran zostało odrzucone, jak to miało miejsce, gdy przestępstwo nie zostało uznane za wystarczające dla usprawiedliwienia potworności inwazji, wówczas Wyvani, którzy je ogłaszali, nie mieli żadnej innej alternatywy do przyjęcia, poza samobójstwem.

Biorąc pod uwagę charakter Ythrian, Oherran sprawdzał się mniej więcej równie dobrze, jak działanie policji wśród ludzi. Jeśli jakaś społeczność nie straciła swej moralnej siły, jak często trzeba w niej wzywać policję?

Nikt, kto znał Liawa z Tarns, nie wyobrażał sobie, że skłamię, oznajmiając, że groził rozerwaniem Avalonu na strzępy.

VI

Tam, gdzie potężna rzeka Strzelec wpada do Zatoki Centaurów, jako port rzeczny, morski, kosmiczny, ośrodek przemysłowy i handlowy, powstało drugie miasto Avalonu - jedyne poza Gray, które zasługuje na tę nazwę. Centauri było zatem miastem głównie ludzkim, podobnym do wielu innych w Imperium - zatłoczonym, gwarnym, hałaśliwym, radośnie skorumpowanym, a niekiedy niebezpiecznym. Arinnian, kiedy tam bywał, przez większość czasu musiał być Christopherem Holmem, zarówno z zachowania, jak i z nazwiska.

Teraz wymagały tego interesy obronne. Nie był zaskoczony, kiedy został najwyższym oficerem obrony terytorialnej Zachodniej Korony, po tym, jak instytucja ta nabrała w końcu luźnego kształtu – żył przecież w społeczeństwie, w którym nepotyzm był normą. Zaskoczyło go, że zdawał się całkiem dobrze sobie radzić ze swymi obowiązkami, a nawet czerpać z tego ponurą przyjemność, on, który zawsze drwił z idei „człowieka stadnego”. W ciągu kilku tygodni zorganizował zakrojone na szeroką skalę ćwiczenia w swoim regionie i był na najlepszej drodze do rozwoju doktryny, komunikacji i zaopatrzenia obrony terytorialnej. (Oczywiście, pomogło to, że większość Avalończyków była zapalonymi myśliwymi, często współpracującymi w dużych grupach w trakcie nagonek; że Kłopoty pozostawiły po sobie tradycje wojskowe, które łatwo było wskrzesić; i że stary Daniel był pod ręką, aby służyć mu radą). Podobne organizacje powstawały wszędzie indziej. Musiały skoordynować swoje działania ze środkami podejmowanymi przez Bractwo Marynarzy. Zwołano więc naradę. Jej uczestnicy ciężko pracowali i osiągnęli tyle celów, ile można było rozsądnie oczekiwać.

Potem Arinnian spytał:

— Hrrill, chciałabyś wyjść gdzieś i trochę poświętować? Możemy nie mieć zbyt wielu okazji. — Nie powiedział tego pod wpływem przelotnego impulsu. Rozwahał to już od kilku dni.

Tabitha Falkayn uśmiechnęła się.

— Jasne, Chris. Wszyscy inni tak robią.

Szli ulicą Livewell. Trzymał ją pod rękę; w subtropikalnym upale czuł, jak ich skóry chłoną pot.

— Ja... no cóż, dlaczego zazwyczaj zwracasz się do mnie moim ludzkim imieniem? — spytał. — I mówisz do mnie w Anglicu?

— Jesteśmy ludźmi, ty i ja. Nie mamy piór, żeby używać Planhy tak, jak należy. Czemu ci to przeszkadza?

Przez chwilę się wahał. „To osobista sprawa... obraźliwa, chyba że między najbliższymi przyjaciółmi, kiedy przyjmuje ona charakter czułości...”

Nie, zdaje się, że ona znowu myśli po ludzku.” Zatrzymał się i machnął wolną ręką.

— Popatrz na to i przestań już się nad wszystkim zastanawiać — powiedział. Natychmiast wystraszył się, że zabrzmiało to zbyt oschle.

Ale wysoka jasnowłosa dziewczyna posłuchała go. Ta część ulicy biegła wzdłuż kanału, tłustego i zaśmieconego odpadkami, pełnego barek, otoczonego murami stłoczonych budynków, których obskurne fasady wznosiły się na dziesięć lub dwanaście pięter w nocne niebo. Gwiazdy i biała połówka tarczy Morgany ginęły w blasku, migotaniu, przeskakiwaniu i przesuwaniu się ostrych, kolorowych neonów. (GROG PORTOWY, TAŃCE, JEDZENIE, PRAWDZIWE TERRANSKIE SENSUALE, DOM ROZRYWKI, PRZEJDŹ DO MARIA JUANAS, HAZARD, NAGIE DZIEWCZYNY, POŻYCZKI, KUPUJ... KUPUJ... KUPUJ...) Samochody naziemne wypełniały jezdnię, piesi chodniki, marynarze, piloci, flisacy, rybacy, myśliwi, rolnicy, dziwki, sekretarki. Pijak bliski padnięcia na ziemię, inny pijak wrzeszczący coś z agresją do monitora, wychudzony, owłosiony i obdarty człowiek, który stał na rogu i krzyczał o jakimś niezbyt jasnym zbawieniu, niekończący się ludzki gwar, pisk, gadanina, przebijające się przez dudnienie silników, szuranie stóp, ochryple wrzaski dochodzące z głośników. W powietrzu unosił się smród: brudu, dymu, oleju, ścieków, mięsa, powiewów z okolicznych bagien, które normalnie niosły ze sobą czyste zapachy zgnilizny, lecz tutaj jakoś stawały się wyjątkowo ohydne.

Tabitha uśmiechnęła się do niego ponownie.

— No cóż, ja nazwałabym to zabawą, Chris — powiedziała. — Po co innego tu przyszliśmy?

— Ty chyba byś nie chciała... — wyjąkał. — To znaczy, ktoś taki jak ty?

Zdał sobie sprawę, że gapi się na nią. Oboje mieli na sobie cienkie bluzki z krótkimi rękawkami, kilty i sandały; ubrania oblepiały mokre ciała. Ale pomimo wilgoci i zapachu kobiecego ciepła, którego nie mógł nie zauważyć, stała tutaj niczym istota przybyła z głębin morza i otwartego nieba.

— Jasne, a co złego w okazjonalnej szczypcie wulgarności? — zauważyła, wciąż uprzejmym tonem. — Jesteś za bardzo purytański, Chris.

— Nie, nie — zaprotestował, bojąc się, że uzna go za naiwnego chłopaczka. — Może zbyt drobiazgowy. Ale często tu bywałem i, eee... dobrze się bawiłem. Próbowałem ci powiedzieć, eee... że jestem dumny z przynależności do choth, a nie zniesmaczony tym, że członkowie mojej własnej rasy wybierają życie w chlewie. Nie rozumiesz, że to wszystko to stary sposób życia, przed którym pionierzy chcieli uciec?

Tabitha odparła jednym słowem. Był oszołomiony. Eyath nigdy by tak nie powiedziała. Dziewczyna wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Albo, jeśli wolisz, „bzdury” — kontynuowała. — Czytałam pisma Falkayna. On i jego ludzie nie pragnęli niczego poza wolnością. — Jej dłoń popchnęła go do przodu. — A co powiesz na kolację, jako cel naszego dzisiejszego spotkania?

Otępiały, ruszył naprzód.

Otrząsnął się nieco w szacownym półmroku Phoenix House. Między innymi, przyznał przed sobą, dlatego że w pomieszczeniu było chłodno, i ubranie Tabithy nie podkreślało jej figury tak wyraźnie, jak na zewnątrz.

W lokalu była żywa obsługa. Zamówiła koktajl. On nie.

— No dalej — powiedziała. — Otwórz swoją muszlę.

— Nie, dzięki, naprawdę. — Znalazł właściwe słowa. — Po co przytępiać swoją percepcję w wesołej chwili?

— Wydaje mi się, że już to gdzieś słyszałam. Powiedzenie ze Stormgate?

— Tak. Chociaż nie sędzę, żeby w Highsky też jakoś często używali narkotyków.

— Faktycznie. Pomijając święte hulanki. Większość z nas trzyma się Starej Wiary, wiesz. — Tabitha przyglądała mu się przez chwilę. — Twój problem, Chris, polega na tym, że za bardzo się starasz. Wyluzuj. Bądź bardziej wśród swojego gatunku. Z iloma ludźmi utrzymujesz bliskie więzi? Założę się, że z cholerną niewielką liczbą.

Najeżył się.

— Ostatnio widziałem ich całe mnóstwo.

— Taaa. I alarmowa sytuacja, czy nie, czyż to nie przyjemne? Oczywiście, nie próbowałabym kierować niczym życiem, ani nie sugeruję, że to dotyczy ciebie - ale prawda jest taka, że mężczyźni lub kobiety, którzy próbują być Ythrianami, to kurze mózdziki.

— No cóż, po trzech pokoleniach w swoim choth, możesz pod tym względem czuć się niespokojnie — powiedział, oceniając poziom sarkazmu tak uważnie, jak tylko potrafił. — Dużo się kręciłaś po krainie ludzi, nieprawdaż?

Skinęła głową.

— Parę lat. Byłam wędrowną łowczynią, traperką, żeglarką, poszukiwaczką minerałów, zwiedziłam większą część Avalonu. Mam większość udziałów, w interesie, który Draun i ja zaczęliśmy prowadzić - zdobyłam na nie pieniądze przy najlepszych stołach pokerowych. — Zaśmiała się. — Cholera, czasami łatwiej jest mówić w Planha! — Poważnie: — Ale pamiętaj, byłam młoda, kiedy moi rodzice zaginęli na morzu. Przygarnęła mnie ythriańska rodzina. Zachęcali mnie do wędrówek; takie są zwyczaje Highsky. Przede wszystkim, moja lojalność i wdzięczność wobec choth zostały wzmocnione. Po prostu, no cóż, uznaję fakt, że jestem jego członkiem, który akurat jest człowiekiem. W związku z tym mam do zaoferowania coś, co... — Urwała i odwróciła głowę. — Ach, jest mój drink. Porozmawiajmy o błahych rzeczach. Na St. Li usycham z braku tego.

— Chyba też się czegoś napiję — stwierdził Arinnian.

Uznał to za pomocne. Wkrótce radośnie wymieniali się wspomnieniami. Choć ona niewątpliwie prowadziła bardziej awanturnicze życie niż on, jego również nie było nudne. Czasami, na przykład kiedy ukrywał się przed rodzicami na targanych przez fale Shield Island, albo gdy musiał stawić czoła spatodontowi na ziemi mając do dyspozycji jedynie włócznię, ponieważ jego towarzyszka leżała ze złamanym skrzydłem, mógł być w większym niebezpieczeństwie niż ktokolwiek, kogo ona spotkała. Odkrył

jednak, że najbardziej pociągały ją jego spokojniejsze wspomnienia. Nigdy nie była poza planetą, z wyjątkiem jednego wakacyjnego wyjazdu na Morganę. On, syn oficera marynarki, miał mnóstwo okazji, aby zobaczyć cały Układ Laury, od skąpanego w słońcu Elizjum, przez liczne księżyce Camelotu, aż po mroczny, nawiedzany przez komety Utgard. Mówiąc o lodowatym, błękitnym spokoju Phaecji, przypadkiem zacytował kilka wersetów Homera, a ona była tym zachwycona, chciała więcej i wypytywała go, co jeszcze napisał ten Homer, po czym rozmowa zesłała na książki...

Posiłek był mieszany, ponieważ kuchnia obu ras coraz częściej dążyła do posiłku złożonego z zupy rybnej z piscoidami i pomidorami, zapiekanki z wołowiną i shua, sałatki z liści ziarnogrona, gruszek i kawy doprawionej wędźmozielem. Towarzystwo umilała butelka dobrego rocznika dago. Na koniec, widząc już wcześniej jak Tabitha oddaje się temu nałogowi, Arinnian nie był zaskoczony, kiedy jego towarzyszka zapaliła fajkę.

— Co ty na to, żebyśmy zajrzeli do Gniazda? — zaproponowała. — Możemy znaleźć tam Drauna.

Jej współnik był jej przełożonym w obronie terytorialnej; była w Centauri jako jego doradczyni. Ale w choth koncepcja rangi była zarówno bardziej złożona, jak i elastyczna, niż w cywilizacji Technicznej.

— No... dobrze — odpowiedział Arinnian.

Przekrzywiła głowę.

— Niechętnie? Myślałem, że będziesz wolał ythriańską knajpę niż jakiegokolwiek inne miejsce w mieście.

Znajdował się tam jedyny pub specjalnie dla ornitoidów, którzy rzadko tu bywali.

Zmarszczył brwi.

— Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ta tawerna jest jakoś nieodpowiednia. Dla nich — dodał pospiesznie. — Ja nie jestem taki pruderyjny, rozumiesz.

— Ale nie przeszkadza ci, kiedy ludzie naśladują Ythrian. Proszę, proszę. Nie można mieć ciastka i zjeść ciastka, mój drogi. — Wstała. — Zajrzyjmy tylko do baru Gniazda, napijemy się, jeśli spotkamy znajomego albo będzie recytował jakiś dobry bard. Potem, klub taneczny, co?

Skinął głową, ucieszony - obok przyspieszającego pulsu - że Tabitha nadal pozostaje w dobrym nastroju. Choć żadna maszyna nie mogłaby pozwolić im na wzięcie udziału w ythriańskich tańcach powietrznych, poruszanie się po parkiecie, w ramionach innego ptaka, mogło być równie przyjemne. I chociaż jak dotąd tego rodzaju kontakty zawsze go omijały, może Tabitha... bo w tę parną noc naprawdę była Tabithą, a nie Hril z nieba...

Słyszał, jak różni muskularni mięśniacy opowiadali o spotkaniach z ptasimi dziewczynami, w mniejszym stopniu w tonie przechwałki, a bardziej z podziwem. Dla Arinniana i jemu podobnych, ich żeńskie odpowiedniczki były towarzyszkami, siostrami. Lecz Tabitha stale podkreślała swoje człowieczeństwo.

Pojechali naziemną taksówką do Gniazda, najwyższego budynku w mieście, i szybem grawitacyjnym udali się na jego dach, ponieważ żadne z

nich nie zabrało ze sobą sprzętu do latania. Niezabudowana tawerna była chroniona przed deszczem witrylowy baldachim, przez który, na tej wysokości, można było dostrzec gwiazdy, niezależnie od elektrycznego szaleństwa, w dole. Morgana opadała ku zachodnim nizinom, choć wciąż srebrzyła swym blaskiem rzekę i Zatokę. Na wschodzie piętrzyły się burzowe chmury, a przenikliwy wiatr niósł pomruk drżących w nich błyskawic. Insektoidy krążyły wokół słabej fluorescencyjnej kuli ustawionej na każdym stole. Ruch był skromny, kilka cienistych postaci siedziało na stołkach przy kieliszkach lub narkopalarkach, po sali krążył robot usługowy, a w tle słychać było dźwięki stalowej harfy.

— Kompletna nuda — stwierdziła rozzarowana Tabitha. — Ale możemy zrobić kółko.

Przeciskali się między stołami, aż Arinnian zatrzymał się i zawołał:

— Hoy-ah! Vodan, ekh-hirr!

Jego choth-brat uniósł głowę, wyraźnie zaskoczony. Siedział przy drinku koło kobiety o wytartych piórach, która rzuciła przybyszom ponure spojrzenie.

— Dobrych lotów — powitał go Arinnian w Planha; lecz słowa, które nastąpiły po tym powitaniu, choć automatyczne, były zbyt oczywiste dla kogokolwiek, poza mówiącymi w Anglicu. — Nie spodziewałem się cię tu zastać.

— I tobie życzę udanego lądowania — odparł Vodan. — Za kilka godzin muszę stawić się na statek. Mój transportowiec odlatuje z bazy na Wyspie Halcyon. Przybyłem wcześniej, żeby nie ryzykować zatrzymania przez burzę; w pobliżu domu mieliśmy trzy trąby powietrzne z rzędu.

— Tęsknisz za walką, łowcze — powiedziała Tabitha z najwyższą uprzejmością.

To prawda, pomyślał Arinnian. „Płonie żądzą walki. Tylko... jeśli nie mógł zostać do ostatniej chwili z Eyath, sądziłbym raczej, że wyruszy w lot pod księżycem, medytując - albo przynajmniej będzie bawił się wśród przyjaciół.” Przedstawił ich sobie.

Vodan wskazał pazurem na swoją towarzyszkę.

— Quenna — oznajmił. Jego brak formalności stanowił obojętną zniewagę. Skuliła się między skrzydłami, z piórami uniesionymi w geście żalostnej próby wzmocnienia swej pewności siebie.

Arinnian nie mógł wymyślić żadnego pretekstu, żeby do nich nie dołączyć. On i dziewczyna znaleźli sobie najlepsze możliwe miejsca do siedzenia. Kiedy robot podjechał, zamówili gęste, mocne piwo z Nowej Afryki.

— Jak wieją twe wiatry? — spytała Tabitha, mocno pykając z fajki.

— No cóż; tak jak bym tego życzył i tobie — odpowiedział poprawnie Vodan. Odwrócił się do Arinniana i, choć jego entuzjazm był nieco wymuszony, to jednak szczery. — Z pewnością wiesz, że ostatnie tygodnie spędziłem na manewrach szkoleniowych.

„Tak. Eyath mówiła mi o tym nie raz.”

— To był krótki urlop. Mój statek wymaga dużych umiejętności. Opowiem ci o nim. To jeden z nowych kutrów torpedowych, trochę

podobny do terrańskiego Meteora, ach, jaki piękny, prawdziwa włócznia! Byłem dumny, że ozdobiłem jego kadłub trzema złotymi gwiazdami.

„Eyath oznacza „Trzecia Gwiazda”.”

Vodan kontynuował. Arinnian zerknął na Tabithę. Ona i Quenna utkwiły w sobie spojrzenia. Mimika falowała i drgała na upierzeniu; nawet on potrafił odczytać większość z niewypowiedzianych półsłów.

„Tak, moja słodka, ty długa żółta, urodzona Wędrowniczko, Quenna jest tym, kim jest, a kim ty jesteś, żeby spoglądać na mnie z góry tym swoim wystającym pyskiem? Kim innym mogłabym być, skoro gdy dorosłam od szczeniaka do panny, odkryłam że mój okres godowy przychodzi za każdym razem, kiedy o nim pomyślałam i wiedziałam, że nigdy nie będzie dla mnie żadnego przyzwoitego miejsca w całym wszechświecie? Och, tak, tak, słyszałam to już wcześniej, daj spokój: „leczenie; terapia”. — No cóż, pulchne ciało, dla twojej informacji, choć rzadko trzymają słabeuszy, a ja nie będę skamleć o pomoc. Quenna podąża swoją własną drogą, lepszą niż twoja; ty, która jesteś tak naprawdę taka sama jak ja... prawda, kobieto-człowieku?

Tabitha pochyliła się do przodu, poklepała ją po jednym z ramion, nie zwracając uwagi na szpony, uśmiechnęła się do zaczerwienionych oczu i mruknęła:

— Dobrej pogody dla ciebie, dziewczyno.

Zdumiona Quenna cofnęła się. Przez chwilę zdawało się, że zaraz rzuci się na dziewczynę, i ręka Arinniana opadła na nóż. Potem zwróciła się do Vodana:

— Lepiej chodźmy.

— Jeszcze nie. — Ythrianin całkiem nieźle skrył zażenowanie. — Tylko chmury decydują, kiedy znowu zobaczę mojego brata.

— Lepiej pójdźmy — powiedziała ciszej. Arinnian poczuł pierwszy delikatny zapach piżma. Przy sąsiednim stole inny samiec uniósł czubaty czub i obrócił głowę w ich stronę.

Arinnian wyobrażał sobie konflikt kłębiący się w Vodanie - odprawić ją, zlekceważyć, odepchnąć; nie zabijać, skoro jest nieuzbrojona - a jednak samo to byłoby poddaniem się, nie tyle tradycji, co zwykłej konwencjonalności.

— No cóż, my sami musimy sobie pójść, zaraz jak tylko skończymy to piwo — powiedział Arinnian. — Cieszę się, że wpadliśmy na ciebie. Niechaj zawsze sprzyjają ci wiatry.

Ulga Vodana była niewątpliwa. Wymamrotał kilka uprzejmości i odleciał z Quenną. Zniknęli gdzieś w płataninie miasta.

Arinnian zastanawiał się, co powiedzieć. Był wdzięczny za przyćmione światło; twarz paliła go w chłodnym powietrzu. Wpatrywał się gdzieś w dal.

Tabitha w końcu cicho powiedziała:

— Ta biedna, zagubiona dusza.

— Kto, ta nocna lotniczka? — Nagle wpadł we wściekłość. — Spotykałam już takich jak ona. Degeneratów, drobnych przestępców. Módl się, żeby Vodanowi nie poderżnęła gardła w jakiejś obskurnej chacie, do której go zabiera. Wiem, co się tu musiało wydarzyć. Włóczył się

samotnie, bez celu, góral, który prawdopodobnie nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego jak ona. Zapolowała w niego, strzeliła mu feromonem, żeby go podniecić... uff!

— Czemu miałyby cię to obchodzić? To znaczy, oczywiście, że to twój przyjaciel, ale wątpię, żeby ta żałosna kreatura śmiała spróbować czegoś więcej niż wyciągnąć od niego trochę grosza. — Tabitha zaciągnęła się dymem. — Wiesz — powiedziała zamyślona — to jest ewidentny przykład zacofania ythriańskiej kultury. Są tak mocno przesiąknięci ludzkimi ideami, że nie potrafią dać swoim anormalnym szybkiej śmierci. Lecz nadal nie są zainteresowani finansowaniem ich rehabilitacji, badaniami nad lekami dla nich, ani zwykłą dobroczynnością. Pewnego dnia...

Ledwo dosłyszał ostatnią uwagę.

— Vodan ma poślubić Eyath — powiedział pokonując wewnętrzny uścisk na gardle.

Tabitha uniosła brwi.

— Och? Tę, o której mi wspominałeś? No cóż, nie sądzisz, że gdyby o tym usłyszała, ucieszyłaby się, że miał trochę mało ważnej zabawy, o której szybko zapomniał?

— To nieprawda! Ona jest zbyt czysta. Ona..." — Arinnian przełknął ślinę. Nagle pomyślał: „Czemu więc nie zaryzykować? Teraz ja sam muszę się zapomnieć.” — Czy to dla ciebie taka mało ważna sprawa? — wyrzucił z siebie. — W takim razie zrobmy to samo.

— Hm? — Przyglądała mu się przez chwilę, która się przeciągała. Na porywach wiatru zbliżały się błyskawice. Jego wściekłość opadła i musiał walczyć, żeby nie spuścić wzroku, żeby się nie skrzywić.

W końcu:

— Z pewnością czujesz ogromne rozgoryczenie, prawda, Chris? — Chichot. — Ale jesteś też pełen nadziei.

— Przepraszam — wydusił z siebie. — N-n-nigdy nie miałem zamiaru okazać ci braku szacunku. Chciałem ci dać, zmyślony przykład - żebyś zrozumiała, dlaczego czuję zdenerwowanie.

— Mogłabym mieć pretensje za nazwanie tego zmyśleniem — uśmiechnęła się, choć jej ton stał się obecnie bardziej współczujący niż żartobliwy — ale zakładam, że wcale tak nie było. Odpowiedź brzmi: nie, dziękuję.

— Spodziewałam się tego. My, ptaki... — Nie mógł dokończyć, ale wpatrywał się w kubek, aż uniósł go, by wziąć szybki, głęboki łyk.

— Co masz na myśli, mówiąc „my”? — spytała wyzywająco.

— No cóż, my... a przynajmniej nasze pokolenie...

Kiedy skinęła głową, w jej włosach odbiło się światło.

— Wiem — odparła poważnie. — Ten cały wzorzec zachowania, rozwiązłość jak u kakkelaki, pod warunkiem, że nie okazuje się zbyt szacunku swoim partnerom, a jednocześnie ledwo potrafi się dotknąć ptaków płci przeciwnej. Jesteś bystrym chłopcem, Chris; Avalończycy nie są specjalnie skłonni do introspekcji, ale musisz mieć jakieś pojęcie o jego przyczynach. Nie chcesz nigdy mieć żony i dzieci?

— Oczywiście. Ja... oczywiście. Będę ją miał.

— Większość z nich będzie miała, jestem pewna. Większość z tych wcześniejszych w końcu też to zrobiła, kiedy pogodzili się z samymi sobą. Poza tym sytuacja nie jest uniwersalna. My, ptaki, mamy jedną wspólną cechę, że tolerujemy mniej wścibstwa niż przeciętny człowiek. Dlatego nie ma dostępnych żadnych statystyk porównawczych. Poza tym problem stał się w ostatnich czasach bardziej widoczny, choćby z tego prostego powodu, że ruch ku chłoh zaczął nabierać tempa rozpędzającej się kuli śnieżnej. I wreszcie, Chris, twoje doświadczenie jest ograniczone. Ilu z tysięcy członków chłoh znasz na tyle dobrze, żeby opisać ich życie prywatne? Naturalnie najlepiej znasz swój własny gatunek, zwłaszcza że my, ptaki, nabraliśmy wprawy w wychwytywaniu sygnałów twarzy i ciała.

Fajka Tabithy zgasła. Opróżniła ją i dokończyła:

— Mówię ci, twój przypadek nie jest ani tak typowy, jak ci się wydaje, ani tak poważny. Ale żałuję, że zmiana w ptaka sprawiła, że rozsądni ludzie stracili lata na psuciu sobie życia.

Znów poczuł ukłucie gniewu. Jakim prawem mogła się tak wywyższać?

— Chwila, zaczekaj... — rozpoczął.

Tabitha dopiła piwo i wstała.

— Idę do hotelu — oznajmiła.

Wpatrywał się w nią.

— Co?

Potargała mu włosy.

— Przepraszam. Ale obawiam się, że jeśli będziemy to kontynuować przez resztę wieczora, zrobimy z tego prawdziwą awanturę. Mam o tobie zbyt dobre zdanie, żeby tego chcieć. Jeśli chcesz, wkrótce znajdziemy sobie jakiś inny wolny wieczór. A teraz zamierzam położyć się do łóżka i poprosić Centralę Biblioteczną o wyświetlenie mi trochę tego Homera.

Nie mógł jej odwieść od tego. Chyba najbardziej uraziło go to, jak spokojna była po poznaniu jego argumentów. Kiedy pożegnał się z nią chłodno, powlókł się do najbliższego pulpitu telefonicznego.

Pierwsza kobieta, do której zadzwonił, była w pracy. Produkcja w sektorze obronnym prowadzona była przez siedem godzin dziennie, potem piętnaście plus parę minut wolnego, plus nadgodziny. Druga znajoma gorączkowo oznajmiła, że jej mąż jest w domu, jeśli chce takiej imprezy; przeprosił za pomyłkę. Trzecia była dostępna. Była nico zbyt pulchna, paplała bez przerwy i miała mózg baryzauroida. Ale co z tego?

...Obudził się o następnego dnia, w okolicy zachodu słońca. Pociła się przez sen, miała oddech zatęchły od alkoholu. Zastanawiał się, dlaczego powietrze zrobiło się gorące i lepkie. Awaria klimatyzatora? A może, hm, ogłoszono, że jeśli trzeba podnieść osłony siłowe i pobór mocy będzie wymagał wyłączenia kontroli środowiska...

Osłony siłowe!

Arinnian zerwał się z łóżka. Deszcz ustąpił miejsca niskim ciężkim chmurom, lecz na tej szarej poświacie dostrzegł migotanie. Przeszukał, macając rękoma, zakurzony bałagan panujący w pokoju i włączył holovid. Nagranie odtwarzało się w kółko, piskliwy głos mężczyzny o wykrzywionej twarzy:

— ...wojna została wypowiedziana. Kurier z Ythri dostarczył wiadomość do Gray, że Terra przesłała wypowiedzenie wojny.

VII

— **N**asza podstawowa strategia jest prosta — wyjaśnił admirał Cajal.
— Wolałbym, co prawda, jeszcze prostszą: bitwa między zmasowanymi flotami, w której zwycięzca bierze wszystko.

— Ale Ythrianie raczej nie będą aż tak uprzejmi — zauważył gubernator Saracoglu.

— Nie. Przede wszystkim nie są do tego dobrze zorganizowani. Centralizacja operacji nie leży w ich charakterze. Poza tym muszą zdawać sobie sprawę z tego, że w każdej walce wręcz są skazani na porażkę. Nie mają też dostatecznie licznych sił. Spodziewam się, że będą próbowali utrzymać pozycje obronne w formie szeregu umocnionych jeży. Będą z nich przeprowadzać wypadki, nękać, niszczyć nasze mniejsze jednostki, które uda im się zlokalizować, atakować nasze linie zaopatrzenia. Nie możemy uderzać prosto na centrum Dominium, z takim zagrożeniem na tyłach. To mogłoby być dla nas horrendalnie kosztowne. Gdybyśmy dali się złapać między ich siły wewnętrzne i zewnętrzne, mogłoby się to skończyć prawdziwą katastrofą.

— Tak więc, zaczynamy od zdobycia ich wysuniętych baz.

— Tych głównych. Nie musimy się przejmować małymi nowymi koloniami ani zacofanymi sojusznikami, utrzymującymi po kilka statków na każdej planecie.

Cajal przesunął wskaźnik laserowy. Zagłębił się on w ciemność trójwymiarowego wyświetlacza, w której błyszczały punkty świetlne symbolizujące gwiazdy tego regionu. Kłębiły się one całymi tysiącami na tych paru parsekach, odwzorowanych w zmniejszonej skali, niczym rój ogników, z którego niewielu ludzi potrafiłoby wskazać jakąś jedną konkretną. Cajal zdawał sobie sprawę, że jego talent do robienia tego rodzaju rzeczy miał sam w sobie bardzo niską wartość. Przechowywanie i przetwarzanie tego rodzaju danych było domeną komputerów. Lecz była to tylko zewnętrzna oznaka, jego wewnętrznych zdolności strategicznych.

— Najbliższa jest Laura — oznajmił. — Dalej, Hru i Khrau, tworzące wraz z nią trójkąt. Jeśli je dostanę, będę mógł podjąć bezpośrednie natarcie na Quetlan. To powinno zmusić ich do użycia wszystkich posiadanych sił, w obronie swej macierzystej gwiazdy! A ponieważ moje tyły i linie zaopatrzeniowe będą wtedy w miarę bezpieczne, stoczę decydującą bitwę, którą chcę wymusić.

— Hm-m-m. — Saracoglu potarł potężny podbródek. Odrastający zarost wydał drapiący dźwięk; mimo że bardzo się starał, ciągle zapominał nałożyć świeży inhibitor po depilacji. — Najpierw uderzysz na Laurę?

— Tak, oczywiście. Nie całą armadą. Podzielimy się, na trzy mniej więcej równe części. Dwa wydzielone zespoły będą powoli zmierzać w

kierunku Hru i Khrau, ale nie zaatakują ich, dopóki Laura nie zostanie zajęta. Siły powinny być wystarczające we wszystkich trzech układach, ale chcę poznać taktykę Ythrian - i upewnić się, że nie mają w rękawie jakiejś nieprzyjemnej niespodzianki.

— Mogą mieć — zgodził się Saracoglu. — Wiesz, że nasze informacje wywiadowcze na ich temat pozostawiają wiele do życzenia. Problemy ze szpiegowaniem nie ludzi... Znalezienie Ythriańskich zdrajców jest prawie niemożliwe, a jeszcze do tego kompetentnych - niemożliwe zupełnie.

— Nadal nie rozumiem, dlaczego nie mogłeś wysłać agentów do tej w większości ludzkiej osady na orbicie Laury.

— Zrobiliśmy to, drogi admirale, zrobiliśmy to. Ale w małych, zżytych społecznościach nie mogli niczego działać poza raportowaniem tego, co było publicznie dostępne do zobaczenia. Musisz zrozumieć, że Avalonianie nie myślą już, nie mówią, a nawet nie chodzą tak jak ludzie z Imperium. Naśladowanie ich jest niemożliwe. I, znów, żałosnie niewielu z nich można kupić. Co więcej, avalońska Admiralicja doskonale radzi sobie ze środkami bezpieczeństwa. Zastępca dowódcy, facet o nazwisku Holm, zdaje się że w dawnych czasach odbył kilka dłuższych podróży po Imperium, oficjalnych i nieoficjalnych. Z tego co wiem, skończył zaawansowane studia na jednej z naszych akademii. Zna nasze sposoby działania.

— Słyszałem, że w ciągu ostatnich lat doprowadził nie tylko do ogromnego wzmocnienia floty Laury, ale i obrony planet — powiedział Cajal. — Tak, z pewnością musimy przede wszystkim zająć się nim.

Ta rozmowa miała miejsce kilka tygodni temu. Do dzisiejszego dnia (to pojęcie zegara w nieskończonej gwiazdziej nocy) Terranie zbliżali się do nieprzyjaciela.

Cajal siedział samotnie w sercu superdreadnaughta *Valenderay*. Otaczały go ekrany komunikacyjne, brzęcząca cisza i kilometry metalu - maszynierii, uzbrojenia, pancerza - oraz energii, w obrębie których krążyło kilka tysięcy istot żywych. Lecz w tej chwili skupiony był tylko na tym, co znajdowało się na zewnątrz. Ekran wizyjny ukazywał mu: ciemność, krocie diamentowych punkcików i Laurę, maleńką gwiazdkę w odległości dwiętnastu jednostek astronomicznych, ale złotą i lśniąca, błyszczącą.

Okręty wyszły z hipernapędu i przyspieszały ku gwiazdzie na ciągu grawitacyjnym. Większość z nich znajdowała się daleko przed okrętem flagowym. Spotkanie z obrońcami mogło nastąpić w każdej chwili.

Usta Cajala wykrzywiły się do dołu w prawym kącie. Był wysokim mężczyzną, chudym, z ostrym nosem, bez śladu zakoli nad czołem i ze spiczastą czarną brodą, choć zbliżał się do sześćdziesiątki. Jego mundur był na tyle prosty, na ile pozwalał mu na to stopień.

Palił jednego papierosa po drugim. Właśnie wyciągnął ostatniego papierosa z odymionych ust i zgniótł go jak robaka. „Czemu nie potrafię znieść tych ostatnich chwil oczekiwania?“, pomyślał. „Bo będę siedział tutaj bezpiecznie, wysyłając ludzi na wojnę?”

Jego spojrzenie powędrowało ku zdjęciu zmarłej żony, stojącej przed ich domem wśród wysokich drzew Vera Fé. Ruszył, aby je animować, ale zamiast tego włączył magnetofon.

Zabrzmiała muzyka - utwór, który kochali, niemal zapomniany na Ziemi, ale ponadczasowy w swoim triumfalnym spokoju - Passacaglia Bacha. Odchylił się do tyłu, zamknął oczy i pozwolił, aby muzyka go uzdrowiła. „Obowiązkiem człowieka na tym świecie”, pomyślał, „jest wybierać mniejsze zło.”

Brzęczyk sprowadził go na ziemię. Na ekranie pojawiła się twarz jego kapitana flagowego, który oznajmił:

— Panie admirale, otrzymaliśmy i potwierdziliśmy raport Trzeciej Eskadry Straży Przedniej, o wstępnych działaniach nieprzyjaciela. Brak szczegółów.

— Bardzo dobrze, obywatelu Feinberg — odparł Cajal. — Proszę mi natychmiast przekazywać wszelkie konkretne informacje.

Wkrótce napłyną one lawiną, przekraczającą możliwości żywego mózgu. Najpierw będą musiały zostać przefiltrowane przez zawiły system jego podwładnych i ich komputerów, a on mógł jedynie mieć nadzieję, że raporty, które do niego dotrą, będą miały jakiś istotny związek z rzeczywistością. Ale te najwcześniejsze bezpośrednie relacje zawsze były subtelnie pomocne, jakby ton bitwy był ustalany już u jej początku.

— Aye, aye, panie admirale. — Ekran ściemniał.

Cajal wyłączył muzykę.

— Żegnaj na razie — wyszeptał i wstał. W pomieszczeniu znajdował się jeszcze jeden osobisty przedmiot - krucyfiks. Zdjął beret, uklęknął i przeżegnał się. — Ojcze, wybacz nam to, co zaraz zrobimy — błagał. — Ojcze, zmiłuj się nad wszystkimi, którzy zginą. Wszystkimi.

— Odebrano wiadomość, Strażniku Marchii — oznajmił ythriański głos. — Kontakt z Terranami, około 12 a.u. stąd, w kierunku Włóczni. Rozpoczął się obustronny ostrzał, ale najwyraźniej nie ma jeszcze strat.

— Dziękuję. Proszę o informacje. — Daniel Holm wyłączył interkom.

„Jakby to, czy się cokolwiek dowiem, miało jakiegokolwiek znaczenie!” jęknął.

W myślach sprawdził obliczenia. Światło, radio, neutrino potrzebują około ośmiu minut, aby pokonać jednostkę astronomiczną. Wiadomość nadeszła ponad półtorej godziny temu. Ten wstępny, rozpoznawczy kontakt ogniowy kilku małych statków mógł już się zakończyć, fragmenty pokonanych wirując rozlatywały się po szalonych orbitach, podczas gdy zwycięzcy spalali paliwo, jakby ich silniki były miniaturowymi słońcami, próbując odzyskać prędkość kinetyczną, która pozwoliłaby im się przegrupować. Albo, jeśli inne jednostki po obu stronach nie były zbyt daleko, mogły włączyć się do walki, rozsiewając głowice coraz szerzej po całym kosmosie.

Rzucił przekleństwo i uderzył pięścią w otwartą dłoń.

— Gdybyśmy mieli hiperkomunikację...

Ale to nie było praktyczne rozwiązanie. „Natychmiastowe” pulsy skoku kwantowego statku wokół naturalnej granicy prędkości, można było modulować, aby wysłać wiadomość na odległość roku świetlnego lub coś koło tego... ale nie tak głęboko w zniekształcającym polu grawitacyjnym gwiazdy, w którym każda próba podróży nierelatywistycznej oznaczałaby ryzyko zagłady - oczywiście, można by je oddalić mając absolutną pewność swojego dostrojenia, lecz nikt nie mógł mieć takiej pewności w czasie wojny - a zresztą, biorąc pod uwagę taką możliwość, Terranie byłiby jeszcze trudniejszym wrogiem, walka z nimi byłaby kompletnie beznadziejna, a nie na wpół beznadziejna - „Po co ja to wszystko miedzę w kółko w głowie?”

— I tam jest Ferune, a ja tu!

Zerwał się od biurka, podszedł do okna i wpatrywał się w widok za nim. Cygaro między jego wargami dymiło jak wulkan. Dzień za oknem był wręcz oburzająco piękny. Jesienny wiatr niósł zapach soli znad zatoki, której powierzchnia mieniła się i tańczyła w blasku wiszącej na niebie Laury; niósł również zapachy z mijanych ogrodów, błyszczących jasną barwą wokół domów swych właścicieli. Wzgórza północnego wybrzeża spowijała błękitna mgiełka odległości. Nad głową błysnęły skrzydła. Nie zauważył ich nawet.

Podeszła do niego Rowena.

— Wiedziałeś, że będziesz musiał tutaj zostać, mój drogi — powiedziała. Wciąż miała kasztanowe włosy, nadal była szczupła i wyprostowana, stojąc tak w swym kombinezonie.

— Tak. Zaplecze. Logistyka, komputery, wsparcie komunikacyjne. I chociaż Ferune może lepiej rozumie wojnę kosmiczną, ale to ja tak naprawdę zbudowałem obronę planetarną. Uzgodniliśmy to już miesiące temu. Nie będzie mi wstyd, że postępuję rozsądnie. — Holm odwrócił się w stronę żony. Złapał ją w talii. — Ale, Boże, Ro, nie myślałem, że to będzie takie trudne!

Położyła jego głowę na swoim ramieniu i pogłaskała go po siwych włosach.

Ferune z Mistwood planował zabrać ze sobą swoją partnerkę. Wharr podróżowała z nim przez jego całą długą karierę w marynarce, rodziła i wychowywała dzieci na statkach macierzystych, które towarzyszyły każdej ythriańskiej flocie, szkoliła i dowodziła załogami dział. Ale zachorowała, a medycy nie byli w stanie doprowadzić jej do zdrowia przed czasem bitwy. Człowiek się starzeje, i to w zagadkowy sposób. Tęsknił za jej surowością.

Był jednak za bardzo zajęty, aby rozpamiętywać ich pożegnanie. Na jego okręt flagowy napływało coraz więcej meldunków. Zaczynał się z nich wyłaniać pewien wzorzec.

— Zwróć uwagę — powiedział. Komputery właśnie skorygowały wyświetlany obraz zgodnie z najnowszymi danymi. Widać było na nim słońce, planety i kolorowe iskry, które oznaczały statki. — Walki mają miejsce tu, tu, tu. W innych miejscach do naszych detektorów docierają emisje neutrin, oblicza się korelacje krzyżowe, uzyskuje się poprawki.

— Cholernie skąpe informacje — oznajmiły pióra i postawa jego adiutanta.

— Z powodu odległości, to prawda, na dystanse międzyplanetarne. Możemy jednak wypełnić pewne luki przy pomocy rozumowania, jeśli założymy, że ich admirał jest kompetentny. Jestem w miarę pewien, że kleszcze, w które chce nas pochwyć, mają tylko dwie flanki, wyrastające niemal naprzeciw siebie, z północy i południa płaszczyzny ekliptyki... tutaj — wskazał Ferune. — Ponadto, musi mieć rezerwy w większej odległości. Aby uniknąć szerokiego okrążenia z ryzykiem przedwczesnego wykrycia, muszą one lecieć niemal prosto, mniej więcej z kierunku Pax. I gdybym to ja dowodził ich siłami, umieściłbym je w pobliżu ekliptyki. Dlatego spodziewamy się ich ataku, kiedy kleszcze zaczną się zamykać, właśnie stąd. — Wskazał na właściwy obszar.

Stali sami na mostku dowodzenia, choć pomieszczenie było duże. Ythrianie potrzebowali miejsca, żeby móc rozłożyć skrzydła. Byli jednak w pełni połączeni ze statkiem za pomocą interkomów, kalkulatorów, oficerów, załogi, a jeszcze bardziej subtelnie z tą wspaniałą scenerią, która przyćmiewała i ozdabiała klejnotami ekran wizyjny, na którym rozpoczęło się zabijanie. Szmer i stukot aktywności docierały do nich przytłumione, przesłonięte głębokim pulsowaniem energii. Powietrze wiało ciepłym strumieniem, lekko strosząc ich pióra, przesiąknięte zapachem cynamonowca i bursztynowego smoka. Zapach krwi nie zostanie dodany, dopóki statek nie wejdzie do prawdziwej walki; załoga szybko by się wyczerpała, gdyby była zbyt intensywnie stymulowana.

Plan Ferune nie zakładał wystawiania superdrednaughta na niebezpieczeństwo tak wcześnie. Jego potęga potrzebna była do ostatecznej rozgrywki. W tym czasie zamierzał pokazać Terranom, dlaczego nazwano go na cześć miejsca starożytnej bitwy na Ythri. Kazał szeroko namalować na burtach wersję w Anglicu nazwy: *Hell Rock*.

Na wyświetlaczu pojawiło się nowe skupisko plamek. Ich jasność wskazywała na typ statku, równie dokładnie, jak pozwalała na to analiza emanacji neutrin. Adiutant drgnął. Jego grzebień się zjeżył.

— Tak wielu wrogów, tak szybko? Wujku, szanse wyglądają marnie.

— Wiedzieliśmy, że tak będzie. Nie daj się zahipnotyzować tej zabawce. Przeżyłem gorsze rzeczy. Połowa mnie to zregenerowana tkanka po ranach w boju. I wciąż latam w powietrzu.

— Wybacz, wujku, ale większość twoich bitew to działania policyjne wewnątrz Domeny. Tu nadciągają siły Imperium.

Ferune wyraził swoją opinię układami piór:

— Nie jestem tego nieświadomy. Ja również studiowałem zaawansowaną technikę wojskową, zarówno praktyczną, jak i teoretyczną. — Na głos powiedział: — Komputery, roboty, maszyny to tylko połowa tworząca dziwactwo zwane wojną. Są też mózgi i serca.

Pazury zastukały o pokład kiedy podszedł do ekranu wizyjnego i popatrzył do przodu. Jego doświadczone oko wyłowiło błysk wśród gwiazd - jeden ze statków. Poza nim jego flota ginęła z oczu w bezkresie, w którym się rozstawiła.

— Rozpoczyna się nowe starcie — oznajmił interkom.

Ferune czekał w bezruchu na szczegóły. Przez jego umysł przelatywały słowa z jednej ze starych terrańskich ksiąg, które czytywał z przyjemnością. Strach króla jest jak ryk lwa: kto go rozgniewa, grzeszy przeciwko własnej duszy.

Godziny zmieniały się w dni, w czasie których floty, w swoich ogromnie rozproszonych szykach, szperały i szukały nawzajem gardła strony przeciwnej.

Pomyślcie: przy liniowym przyspieszeniu równym jednemu terrańskiemu g , statek może, z „nieruchomego startu”, pokonać jedną jednostkę astronomiczną - około 149 milionów kilometrów - w niecałe pięćdziesiąt godzin. Po upływie tego okresu nabierze prędkości 1060 kilometrów na sekundę. Po dwukrotnie dłuższym czasie będzie poruszał się z dwukrotnie większą prędkością i pokona czterokrotnie większy dystans. Niezależnie od tego, jak dużą moc zapewniają silniki termojądrowe, niezależnie od tego, jak dużą zwrotność zapewnia ciąg grawitacyjny, oddziałujący bezpośrednio na strukturę relacji, którą nazywamy przestrzenią, nie da się szybko zmienić wartości o takim rzędzie wielkości.

Do tego dochodzi ogrom nawet międzyplanetarnych przestrzeni. Sfera o promieniu jednej jednostki astronomicznej ma objętość około trzynastu milionów Terr; pomnożenie tego promienia przez dziesięć oznacza pomnożenie objętości przez tysiąc. Niezależnie od czułości instrumentów, nie da się szybko przeskanować tych otchłani kosmosu, ani nigdy nie robi się tego z dużą dokładnością, poza najbliższym sąsiedztwem. Nie wiadomo również, gdzie dokładnie znajduje się każdy oddzielny obiekt w obecnej chwili, skoro prędkość przesyłania sygnałów jest ograniczona do prędkości światła. Wraz z rozrostem szaleńczo niekompletnego zasobu danych zmieniają się nie tylko parametry obliczeń bitewnych; zmieniają się również same równania. Odkrywa się, że straciło się godziny w podróży, która okazała się bezużyteczna lub nawet gorzej, i trzeba stracić kolejne godziny, a nawet dni, próbując zaradzić tej sytuacji. Ale wtedy, z szybkością eksplozji, może nastąpić bardzo szybkie podejście z prędkościami wyrównanymi niemalże na tyle, aby stoczyć walkę, która mogła zakończyć się w kilka sekund.

— Numer Siedem, start! — ostrzegł robot koordynujący i wyrzucił *Hooting Star* do walki.

Silniki łodzi ruszyły. Philippe Rochefort, przypięty do fotela pilota, poczuł przeszywające wszystkie kości pulsowanie. Nad jego pulpitem przyrządów, nad hełmem, po bokach aż do ramion, ekrany widokowe wypełniały gwiazdy z całej ćwiartki kuli niebieskiej. Laura, której blask został przygaszony aby go nie oślepić, jaśniała pośród nich niczym miniaturowy dysk otoczony dwoma perłowymi skrzydłami zodiakalnego światła.

Alarm radarowy łodzi zagwizdał i rozjaśnił się, ustawiając odpowiednio strzałkę wewnątrz przezroczystej kuli. Serce zabiło mu mocniej. Nie mógł się powstrzymać od rzucenia okiem we wskazywanym przez strzałkę radaru kierunku. I dostrzegł cylindryczny obiekt, pędzący w stronę wielkiej burty Ansy.

Podczas startu łodzi, ekran negagrav w tej części statku-matki musi być wyłączony. Nie było tam niczego, co mogłoby odbić zbliżającą się torpedę. Jeśli torpeda trafi i eksploduje... W próżni kilka kiloton nie spowoduje aż tak przerażająco niszczycielskich skutków jak w powietrzu czy wodzie; a okręt flagowy jest opancerzony i zabezpieczony przed wstrząsami i gorącem, grubo ekranowany, aby ograniczyć działania wszelkich silnych wiązek promieniowania, dostających się do środka. Mimo to zostanie ciężko zraniony, być może okaleczony, a wielu ludzi zostanie rozerwanych na strzępy, ugotowanych żywcem, wrzeszcząc wniebogłosy w pragnieniu jak najszybszej śmierci.

Błysnęła wiązka energii. Po niej miała miejsce chwila światła. Czujniki przekazały odebrane dane do odpowiedniego komputera. Po kilku milisekundach od wybuchu rozległ się dźwięk „Czysto”. Jedno z dział Wa Chaou trafiło prosto w torpedę.

— Dobra robota! — krzyknął Rochefort przez interkom. — Świetne strzelanie, Wa Chaou! — Obrócił detektory w poszukiwaniu łodzi, która musiała być na tyle blisko, aby wystrzelić tamten pocisk.

Zauważona. Namierzona. *Hooting Star* ruszyła naprzód. Ansa zniknęła pośród konstelacji.

— Podaj mi przybliżony czas wejścia w zasięg, Abdullah — polecił Rochefort.

— Wydaje się, że wie o nas — odpowiedział kamiennym, spokojnym głosem Helu. — Zależy od tego, czy spróbuje uciec, czy się zbliżyć... Hmm, tak, odskakuje, szukając ochrony. („Ja też bym tak zrobił, uczciwie mówiąc”, pomyślał Rochefort, „kiedy ciężki krążownik wyrzuca łodzie. Odważny kapitan, podkradł się tak blisko.”). Możemy go przechwycić za jakieś dziesięć minut, zakładając, że leci z maksymalnym przyspieszeniem. Ale nie sądzę, żeby ktokolwiek inny mógł nam pomóc, a jeśli będziemy czekać na pomoc, ucieknie.

— Nie czekamy — zdecydował Rochefort. Przesłał laserem swoje zamiary do dowództwa eskadry na pokładzie statku i otrzymał zgodę. Jednocześnie pragnąłby, aby pot nie lał się z niego tak mocno i nie był taki mokry i kwaśny. Nie bał się jednak; puls bił mu szybko, ale równo i nigdy wcześniej nie widział gwiazd z taką jasnością i wyrazistością. Dobrze było wiedzieć, że ma wrodzone pokłady odwagi, którą mógł rozwinąć w nim jeszcze psychotrening Akademii.

— Jeśli wygracie — przekazało DE — kierujcie się do... — i dalej ciąg liczb zapamiętanych przez maszyny — i zachowujcie się dyskretnie. Zidentyfikowaliśmy tam lekki pancernik. My i *Ganimede*, razem, spróbujemy przebić się przez jego obronę. Powodzenia.

Głos urwał. Łódź leciała, z każdą sekundą coraz szybciej, do chwili gdy mierniki balistyczne zaleciły hamowanie. Rochefort posłuchał i wystukał odpowiednie polecenia. Kompletnie nieadekwatnie, przemknęło mu przez

głowę wspomnienie wykładu instruktora. „Żywi piloci, strzelcy, cały personel, mają podejmować decyzje. Maszyny wykonują większość z tych decyzji, wyznaczają kursy i sterują statkiem, naprowadzają i strzelają z broni, szybciej i precyzyjniej niż ludzkie nerwy czy mięśnie. Możliwe jest zbudowanie maszyn, świadomych komputerów, które również mogłyby podejmować decyzje. Tak było w przeszłości. Ale choć ich zdolności logiczne mogły znacznie przewyższać wasze i moje, zawsze brakowało im pewnego elementu, nazwijmy to intuicją, przeczuciem czy czymkolwiek innym. Co więcej, były zbyt drogie, aby używać ich na wojnie choćby w niewielkich ilościach. Wy, panowie, jesteście wielofunkcyjnymi komputerami, które mają powód, do tego by walczyć i przetrwać. Komputery waszego rodzaju dostępne są w olbrzymich ilościach i mogą zostać wyprodukowane, pomijając kwestię programowania, w dziewięć miesięcy przez niewykwalifikowaną siłę roboczą”. Rochefort wspominał, jak mówił młodszym klasom, że ci, którzy nie zaśmieją się z tego oklepanego żartu, dostaną trzy punkty karne.

— Zasięg — oznajmił Helu.

Strzelili wiązki energetyczne. Rozproszone, zmarnowane fotony, które zapłonęły na ich torze, stanowiły nikły ułamek energii w nich zawartej.

Jedna z nich dotknęła *Hooting Star*. Automatyka łodzi zmieniła kurs, zanim wiązka przebiła cienki pancerz. Rozległ się ryk uderzenia bocznego ciągu. Wewnętrzne pola siłowe nie były w stanie w pełni skompensować nagłego, dużego przyspieszenia. Rochefort został wciśnięty w uprząż, aż zatrzeszczała, a kierunek ciężkości pod stopami przesunął się w zawrotny sposób.

Wszystko minęło. Wróciło normalne jeden-gie-w-dół. Byli żywi. Wydawało się, że nie potrzebują nawet płyty do złożenia łaty; jeśli kadłub został przebity, otwór był wystarczająco mały, aby się samoczynnie uszczelnić. A na zewnątrz, widoczny gołym okiem, był wróg!

Rękoma i głosem Rochefort nakazał swojej łodzi ruszyć prosto na ten rekini kształt. Rósł on potwornie szybko. Dwa promienie dźgnęły z niego jak lance i uderzyły. Rochefort utrzymał stały wektor kierunku. Miał nadzieję, że Wa Chaou będzie w dzięki temu w stanie namierzyć ich źródła pochodzenia i wyeliminować je, zanim zdążą wyrządzić poważne szkody. Błysk! Błysk! Blask promieni zgaś.

— Och, wspaniale! Torpedy gotowe.

Ythrianin podszedł bliżej, aż człowiek dostrzegł namalowany emblemat, koło, którego szprychy miały być płatkami kwiatów. Zgadza się, nadawali osobiste odznaki swoim pomniejszonym statkom, tak samo jak my nadajemy im nieoficjalne nazwy. Ciekawe, co to znaczy. Powiedziano mu, że niektóre z ich ścigaczy miały działa kulowe. Ale różne twarde przedmioty rzucone im na drogę, nie były zbyt niebezpieczne, dopóki ich prędkości względne nie osiągały dziesiątek kilometrów na sekundę.

Przeciwnicy wystrzelili torpedę. Wa Chaou roztrzaskał ją niemal w samej wyrzutni. W odpowiedzi *Hooting Star* trafiła prosto w cel.

Wybuch nastąpił tak blisko, że ogniste gazy wypełniły ekran Terranina. Uderzył ich jakiś odłamek. Terrańska łódź zadrżała i zawyla. Po chwili minęła przeciwnika i znalazła sama w czystej przestrzeni. Jej przeciwnik

zmienił się w chmurę, która rozszerzała się na zewnątrz, aż stała się niewidzialna – pozostało z niego kilka nadpalonych kawałków metalu i zapewne kości, stygnących, by stać się meteorami, pozostającymi coraz dalej za rufą i po kilku sekund znikającymi z pola widzenia.

— Wybaczcie mi tę reakcję — oznajmił drżącym głosem Rochefort. — Juuuuuuu!

— Było blisko — stwierdził Helu. — Lepiej, jak wrócimy, poprośmy o wzmacniacze antyradowe.

— Acha. Na razie jednak mamy niedokończone sprawy. — Rochefort polecił łodzi zmienić wektory kierunku lotu. — Bez obaw, po tym, jak się zachowaliście, chłopaki.

Nie dotarli jeszcze na miejsce, gdy radosne komunikaty i kolejny krótki rozkwit światła powiedziały im, że rój niebezpiecznych jak szerszenie, łodzi i pocisków, użądlił wrogi pancernik na śmierć.

VIII

Powoli regiony przestrzeni, w których toczyła się wojna, kurczyły się i zbliżały się do siebie nawzajem. Przez cały czas statki nie przyjmowały żadnych szyków. Nie mówiąc już o tym, że utrzymywanie ścisłych i sztywnych formacji było po prostu niemożliwe, byłoby to zaproszenie do ostrzału nuklearnego. W luźnej formacji mogła przez pewien czas się poruszać co najwyżej jakaś eskadra niewielkich jednostek. Jeśli dwie główne jednostki flotylli zbliżyły się do siebie na mniej niż sto kilometrów, uznawano to za bardzo bliską odległość. Jednak na skutek generalnego zacieśniania się obszaru walk, opóźnienie w łączności spadało ku zeru, wiarygodność wykrywania rosła, a starcia kończące się śmiertelnym wynikiem, były coraz częstsze.

Stało się możliwe dosyć dokładne rozpoznanie, co i gdzie ma do dyspozycji przeciwnik. W konsekwencji można było też planować i kierować przebiegiem kampanii.

Cajal zauważył w nagrany na taśmie raporcie dla Saracoglu: „Gdyby każdy system Ythrian był tak silny jak Laura, potrzebowalibyśmy całej Marynarki Wojennej Imperium, żeby ich złamać. Tutaj posiadają, lub raczej posiadali, mniej więcej połowę liczby okrętów, jaką dysponuję ja - czyli jedną szóstą tych sił, które uznaliśmy za wystarczające do opanowania całej Domeny. Oczywiście, nie oznacza to, że ich rzeczywista siła jest do tego proporcjonalna. Według naszych standardów są słabsi w ciężkich jednostkach. Lecz co do niszczycieli, a tym bardziej korwet i łodzi torpedowych, mają ich zdumiewającą liczbę. Bardzo się cieszę, że żadne inne wrogie słońce, poza samym Quetlanem, nawet w przybliżeniu nie może równać się z Laurą!”.

„Pomimo to czynimy zadowalające postępy. Mówiąc prostym językiem - techniczne podsumowanie zostanie dołączone - możemy powiedzieć, że około połowy jednostek, które im pozostały, wycofuje się na Avalon. Zamierzamy podążać tam za nimi, zniszczyć ich, i w ten sposób planeta znajdzie się na naszej łasce.”

„Reszta ich floty wycofuje się, w grupach, w głąb kosmosu. Niewątpliwie zamierzają rozproszyć się po niezamieszkanym planetach, księżycach i asteroidach układu, gdzie muszą mieć bazy, i prowadzić wojnę podjazdową. Powinno to być raczej bardziej uciążliwe niż groźne, a gdy już w pełni zajmiemy ten obszar, ich rząd ich odwoła. Prawdopodobnie większe jednostki, wyposażone w hipernapęd, zostaną przerzucone jako wsparcie w inne miejsca: ponownie, nie jest to specjalnie istotne.”

„Nie lekceważę tych ludzi. Walczą umiejętnie i zaciekle. Muszą liczyć na możliwość użycia sił obrony planetarnej w połączeniu ze statkami

wycofującymi się w kierunku macierzystej planety. Daj Boże, bardziej dla nich niż dla nas, a zwłaszcza dla niewinnych kobiet i dzieci obu ras, daj Boże, aby ich przywódcy wykazali się rozsądkiem i skapitulowali, zanim wyrządzimy im zbyt wielką krzywdę.”

Połowa tarczy Avalonu lśniła pośród gwiazd wirującym srebrem szafirem, mała i droga. Morgana podążała wokół ciemnej strony. Ferune przypomniał sobie nocne loty w jej świetle, razem z Wharr, i wyszeptał:

— O mój zachwycający księżycu, który nie znikasz...

— Hoy? — spytała twarz Daniela Holma na ekranie.

— Nic. Odpłynąłem myślami. — Ferune wziął oddech. — Mamy mało czasu. Nadlatują szybko. Chciałbym się upewnić, że nie znalazłeś żadnych poważnych zastrzeżeń, do szczegółowego planu bitwy.

Promień lasera migotał przez kilka sekund między okrętem flagowym a kwaterą główną. Ferune wrócił do wspomnień.

— Do diabła, pewnie że mam! — warknął Holm. — Już ci to mówiłem. Sprowadziłeś *Hell Rock* za blisko. Zrobiłeś ze statku główny cel.

— A mówiłem ci — odpowiedział Ferune — że nie potrzebujemy już jego możliwości dowódczych. — Chciałbym żebyśmy potrzebowali, ale nasze straty były zbyt wielkie. — Potrzebujemy jego siły ognia i, zgadza się, jego atrakcyjności dla wroga. Dlatego nigdy tak naprawdę nie liczyłem na to, że uda nam się odesłać go na Quetlan. Tam byłby tylko jedną z wielu jednostek. Tutaj jest filarem naszej obrony. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, przetrwa. Wiem, że plan nie daje gwarancji jego przetrwania, ale to było najlepsze, jak sam również wiedziałeś z góry, co mój sztab, komputery i ja mogliśmy stworzyć w tak krótkim czasie. Spory lub też wprowadzanie jakichkolwiek zmian w ostatniej chwili, to proszenie się o katastrofę.

Cisza. Morgana odsuwała się coraz dalej od Avalonu, w miarę jak statek leciał dalej.

— No cóż... — Holm zgarbił się. Schudł tak bardzo, że kości policzkowe uwydatniły mu się niczym grzbiety górskie na wyżynnej pustyni. — Pewnie masz rację.

— Wujku, meldunek o wstępnym kontakcie — przekazał adiutant Ferune.

— Już? — Pierwszy Strażnik Marchii Avalonu odwrócił się do ekranu komunikatora. — Słyszałeś, Danielu Holm? Niech wiatry zawsze będą dla ciebie pomyślne.

Przerwał połączenie, zanim człowiek zdążył odpowiedzieć.

— Teraz — powiedział do adiutanta — chcę przeliczenia optymalnej orbity dla tego statku. Zaproponuj najlepsze ruchy Terran... z ich punktu widzenia, w świetle posiadanych przez nas informacji... i odpowiednio dostosuj nasze.

Kosmos skrzył się fajerwerkami. Nie każda eksplozja, ani nawet nie większość, oznaczała trafienie; ale były one coraz gęstsze.

Three Stars wystartował ostro z krążownika. Detektory natychmiast zgłosiły znajdujący się w pobliżu obiekt. Analiza nastąpiła w ciągu kilku sekund – terrański Meteor, możliwy do przechwycenia, brak widocznych w pobliżu towarzyszy.

— Zdobycz! — zawołał Vodan. — Pięć minut do zasięgu ognia.

Przez cały statek przeszedł głośny krzyk. Dwa tygodnie, a może i więcej, manewrów, nużącego zamknięcia w metalowym kadłubie, poza rzadkimi, krótkimi godzinami, kiedy flotylla wchodziła do bitwy, były dla wszystkim ciężkim łańcuchem do zniesienia.

Nowy wektor kierunku lotu okrętu wskazywał prosto na Avalon. Planeta rosła; lecieli w stronę Eyath. Nie miał wątpliwości co do swojego zwycięstwa. *Three Stars* była dobrą jednostką. Statek był z konieczności większy od swojego imperialnego odpowiednika - ythriańskie wymagania co do przestrzeni - i dlatego miał nieco mniejsze przyspieszenie. Lecz jego siła ognia mogła być dzięki temu większa i tak też było.

Vodan oderwał stopy od podłogi i zawisł w uprząży. Rozpostarł skrzydła. Powoli uderzał nimi, pompując pełną tlenu krew, a jego ciało nabierało pełni siły i szybkości. Mrowiło, śpiewało. Usłyszał szelest na rufie, gdy czwórka pozostałych członków załogi zrobiła to samo. Gwiazdy migotały nad nim i wokół niego.

Trzy wizualizacje wypełniały biuro Daniela Holma, a teraz i jego umysł. Mapa Avalonu pokazywała instalacje naziemne. Większość była zakamuflowana i, jak miał nadzieję – modliłby się o to, gdyby wierzył w Boga – ich lokalizacja była nieznana wrogowi. Wokół holograficznego globusa, po niezliczonych orbitach krążyły różnobarwne punkciki. Wiele z tych stacji zostało tam umieszczonych zaledwie parę dni temu, po przetransportowaniu ich na wyrzutnie startowe z podziemnych, zautomatyzowanych fabryk, które również powinny być tajne. Wreszcie wyświetlacz ekspozycyjny pokazywał również wszystko co było wiadome o przemieszczających się ku planecie statkach.

Holm miał ochotę na cygaro, ale jego usta były za bardzo zmęczone nadmiarem dymu w niedalekiej przeszłości. „Cholera, jakże chętnie bym wypił drinka!”, pomyślał. To też nie było możliwe; jedynymi dozwolonymi narkotykami były te, które utrzymywały go w stanie czuwania, nie obciążając nadmiernie jego metabolizmu.

Wpatrywał się w wyświetlacz. „Taaa. Z pewnością chcą przygwoździć nasz okręt flagowy. Naprawdę się koncentrują wokół niego.”

Spojrzał w okno. Podczas gdy samo Gray wciąż leżało w cieniu, pierwsze promienie świtu zaczynały podświetlać niektóre domy i sprawiały, że woda lśniła jasnością. Niebo nad nimi wyginało się w fioletowy łuk, a gwiazdy na nim rozmywane były przez ekrany negagrawitacyjne. Musiały stale zmieniać swój wzorzec działania, aby zapewnić odpowiednią obronę, a jednocześnie umożliwić cyrkulację powietrza. To wznicało niespokojne, lekkie wiatry, zimne i odrobinę wilgotne. Ale ogólnie rzecz biorąc, kraj stał się spokojny. Burze szalały ponad niebem i w ludzkich ciałach.

Holm był sam, był bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem w życiu, choć wszystkie siły planety czekały tylko na jego rozkazy. To on musiał je wydać; komputery mogły jedynie doradzać. Pomyślał sobie, że czuje się jak piechur szykujący się do ataku.

— Tam! — krzyknął Rochefort.

Dostrzegł ruchomy punkt świetlny na ekranie ustawionym na maksymalne powiększenie. Powiększał się, w miarę jak go obserwował - igła, wrzeciono, mały drobiazg, smukły łowca o ostrym pysku, na którego boku lśniły trzy złote gwiazdy.

Ich wektory ruchu były niemal identyczne. Łodzie zbliżały się do siebie wolniej, niż pędziły w stronę planety. „Dziwne”, pomyślał Rochefort, „jak blisko Ansa do niej podeszła, nie napotykając żadnego przeciwdziałania. Czy zamierzają stawić jedynie opór symboliczny? Nie chciałbym nikogo zabijać dla symbolu.” Avalon był absolutnie piękny. Zbliżał się w taki sposób, że po swej lewej stronie wielki dysk planety był w pełni dnia - lazurowy, turkusowy, indygo, tysiąc różnych odcieni błękitu pod przeplatającą się mgiełką chmur, masa lądu migotała zielenią, brązem i brązem. Po prawej stronie panowała ciemność nocy, ale światło księżyca tajemniczo migotało nad oceanami i atmosferą.

Wa Chaou wysłał sondę świetlną. Nie pokazała niczego. Zasięg był ekstremalnie duży. Ta sytuacja nie utrzyma się długo. Obecnie Rochefort nie potrzebował już powiększenia, żeby zobaczyć wrogi statek. Na ekranach wciąż był jeszcze błyszczącym punkcikiem. Ale prześlizgiwał się po rozgwieżdżonym tle i był bardziej stały niż migoczące wokół punkciki ognia.

Kosmos płonął wokół gigantycznej sferoidy *Hell Rock*, na odległość tysiąca kilometrów. Okręt nie próbował wykonywać uników; biorąc pod uwagę jego masę, byłoby to daremne. Krążył wokół swojej planety. Wrogie statki nurkowały na niego, strzelały, mijały go i manewrowały, aby powrócić do ataku. Było ich wiele, on był tylko jeden, poza chmurą towarzyszących mu Meteorów i Komet. Jego siła ognia była jednak imponująca; jeszcze większe znaczenie miały możliwości jego przyrządów i komputerów. Nie był uszkodzony. Kiedy jakaś sekcja ekranu musiała zostać wyłączona, aby mógł wystrzelić przez nią serię pocisków, broń energetyczna przechwytywała wszystko, co było skierowane w ten wrażliwy w danej chwili punkt.

Wiązki promieni uderzały w jego kadłub. Ale żadnej z nich nie dało się utrzymać w miejscu przez czas wystarczający, aby przebić się przez ciężkie płyty pancerza. Bomby które emitowały śmiertelną dawkę promieniowania, eksplodowały wzdłuż granicy jego obrony. Ale kwanty gamma i neutrony były pochłaniane przez kolejne warstwy wewnętrznych osłon. Ich resztki, przedzierające się do tych głęboko położonych, wewnętrznych sekcji, w których pracowały istoty organiczne, były tak nieliczne, że zwykłe leki były w stanie zniwelować ich działanie. Okręt

został zbudowany w kosmosie i nigdy nie miał dotknąć powierzchni ziemi. Jako planetoida sama w sobie, niszczył wyładowaniami energii statek za statkiem, które ośmieliły się przeciwko niemu wystąpić.

Statek Cajala, klasy Supernowa, był silniejszy. Ale *Valenderaya* nie można było narażać na ryzyko. Celem tego mnóstwa uzbrojenia i pancerza było chronienie dowództwa floty. Kiedy do Cajala dotarły informacje o sytuacji, przyjrzał się wyświetlaczowi holograficznemu.

— Marnujemy słabsze jednostki. On je zjada na śniadanie — powiedział, głównie do siebie. — Nie chcę wysyłać dużych okrętów. Wróg wydaje się mieć o wiele więcej urządzeń obronnych, niż się spodziewaliśmy, i na pewno wkrótce otworzy do nas ogień. Ale na tym krótkim dystansie, prędkość i zwrotność nie liczą się tak bardzo, jak powinny. Potrzebujemy czystej siły, żeby pokonać tego potwora; i musimy to zrobić, zanim będziemy mogli stworzyć poważne zagrożenie dla planety. — Pociągnął się za brodę. — A więc t-t-tak... *Persej, Ursa Minor, Regulus, Jupiter* i ich jednostki pomocnicze, powinni być w stanie wykonać to zadanie... dostatecznie szybko i z wystarczająco dużej odległości, aby poradzić sobie z tym, co planeta może przeciwko nim rzucić.

Komputery taktyczne zatwierdziły i dopracowały jego decyzję. Wydał rozkazy.

Vodan zobaczył przelatującą obok torpedę.

— Haj, dobrze! — krzyknął. Gdyby zastosował o kilka megadyn mniej siły hamowania, głowica by trafiła. Pocisk wyhamował i zawrócił, namierzając ich, ale jeden z jego działonowych go zniszczył.

Terrańska łódź sunęła do przodu, w górę, po lewej stronie. Instrumenty Vodana raportowały, że wysyła większy ciąg boczny niż przedni. Pilot musiał mieć zamiar przeciąć trajektorię lotu Ythrian przed dziobem, zaledwie kilka kilometrów z przodu, wypuścić chmurę zakłócającą radary i mieć nadzieję, że skoordynowany ogień jego dział energetycznych przebiję się, zanim przeciwnicy zdążą go namierzyć. Ponieważ Ythrianie, w przeciwieństwie do Terran, nie walczyli w skafandrach kosmicznych - jak którykolwiek z nich mógłby nie zwariować po kilku godzinach w tych ohydnych, ciasnych warunkach? - wielka dziura w przedziale załogowym spowodowałaby ich śmierć.

„Ten syn zirraukha był dobry”, przyznał z radością Vodan. Choć większość kosmicznych starć była ociężała i niezdarna, ta walka przypominała powrót w powietrze. Pojedynek trwał, aż Avalon wisiał ogromnym kręgiem za osłonami dziobowymi. W rzeczywistości byli bliżej atmosfery, niż byłoby to rozsądne przy ich prędkości. Lepiej by było zakończyć tę walkę.

Vodan wiedział, jak.

Zwalniał w jednostajnym tempie, jakby zamierzał za chwilę odskoczyć. Liczył, że Terranin pomyśli sobie: „On wie, co planuję. Kiedy oślepię jego radar, skręci w nieprzewidywalnym kierunku, uchylając się przed moim ogniem. Ach, ale nie jesteśmy w hipernapędzie. Nie może poruszać się z

prędkością wiązek energii. Mój statek jest w stanie pokryć ogniem cały stożek jego możliwych, pozycji chwilowych.”

Aby jednak tak się stało, podstawa działa potrzebowała utrzymania stałego wektora prędkości. W przeciwnym razie w równaniach znalazłoby się zbyt wiele niewiadomych, i cel miałby doskonałą szansę na ucieczkę. Przez ułamek minuty, o ile Vodan dobrze odgadł jego zamiary, Meteor straci przewagę w postaci większej mobilności. A... on miał lepsze uzbrojenie.

Terranin mógł się spodziewać torpedy i przypuszczać, że łatwo się jej pozbędzie. Mógł nie docenić, jak ogromną koncentrację energii jego przeciwnik mógł wygenerować przez krótką chwilę, gdy wszystkie emitery pracowały pod przeciążeniem.

Vodan wykonał obliczenia. Artylerzyści dokonali odpowiednich ustawień.

Meteor przeleciał przed nim, wyglądając karłowato nad rozświetlonym Avalonem. Nagle wystrzeliła z niego błyszcząca mgła. Z błyskawiczną prędkością rozprzestrzeniła się, tworząc zasłonę. Ukryła zarówno jeden, jak i drugi statek.

Wiązki promieni przecinały ją, szukając celu. Vodan wiedział dokładnie, gdzie wycelować swoje. Buchały przez 30 sekund.

Metaliczny pył rozproszył się. Avalon znów lśnił potężnym i spokojnym blaskiem. Vodan wstrzymał ogień, zanim jego emitery się wypaliły. Z Meteora nie padały żadne strzały. Użył powiększenia i zobaczył otwór, który ział za jego stożkami napędowymi. Biło z niego powietrze, widoczne dzięki kondensującej się parze wodnej, aż wreszcie niknęło w próżni. Przyspieszenie kompletnie ustało.

Joy podleciał do Vodana.

— Trafiliśmy w niego! — krzyknął.

— Mógł wystrzelić torpedy w całej salwie — martwił się inżynier.

— Nie. Chodź zobaczyć, jeśli chcesz. Jego generator energii został trafiony. Nie zostało mu nic poza baterią kondensatorów. Nawet jeśli uda mu się użyć ich z pełną mocą, w co wątpię, to i tak nie nada żadnemu obiektowi wystarczająco dużej prędkości początkowej, żebyśmy mieli się tym przejmować.

— Kh'hng. Wykończymy go?

— Zobaczmy, czy się nie podda. Standardowe pasmo... Wzywam imperialny Meteor. Wzywam imperialny Meteor.

„Jeszcze jedno trofeum dla ciebie, Eyath!”

Hell Rock zadrżał i zawibrował. Przez jego wnętrze przetoczyła się seria huków. Powietrze robiło się coraz cięższe od ostrego dymu, i było głośnie od krzyków i wrzasków, tupotu biegnących stóp i trzepoczących skrzydeł. Przedział za przedziałem wybuchał w przestrzeń kosmiczną. Grodzie zasuwały się, odcinając poskręcany metal i poszarpane ciała od żywych. Statek walczył. Mógł walczyć dalej korzystając z pozostałych mu resztek automatów, nawet długo po tym, jak ostatni członkowie załogi, których odwrót osłaniał, opuszczą jego pokład.

To byli Ferune, jego najbliższy sztab i kilku marynarzy z Mistwood, którym ich Wyvan obiecał prawo do powrotu. Przemierzali drżące, dudniące korytarze. Całe sekcje, gdzie fluoropanele i okładziny, zostały oderwane od potężnego szkieletu, spowijała ciemność.

— Jak długo jeszcze, zanim go rozwalą na kawałki? — spytał ktoś za plecami Ferune.

— Może godzina — zgadywał. — Ci, którzy go zbudowali, dobrze wykonali swoją robotę. Oczywiście, Avalon uderzy wcześniej.

— Dokładnie kiedy?

— Daniel Holm musi to ocenić.

Wcisnęli się do łodzi ratunkowej. Ferune przejął stery. Statek uniósł się, na wewnętrznych polach; uchwyty odsunęły się z łomotem na boki; wysunął się na zewnątrz, by ujrzeć gwiazdy, i pomknął do domu.

Ferune zerknął za siebie. Okręt flagowy był poszarpany, pognieciony, podziurawiony kraterami wybuchów. W niektórych miejscach metal stopił się rak mocno, że aż zastygł powyginany w koszarne kształty, w innych zaś świecił. Gdyby bombardowanie mogło skoncentrować się na miejscach, w których siły obrony były osłabione, nawet megatonowa głowica lub dwie zniszczyłaby okręt zmieniając go w opary gazu i popiołów. Prawdopodobieństwo precyzyjnego trafienia ze średniego dystansu, było jednak zbyt małe, aby ryzykować użycie superpocisków, które mogłyby umknąć pozostałemu jeszcze uzbrojeniu przechwytyjącemu statku. Lepiej było trzymać się z dala i niszczyć go słabszymi uderzeniami energii.

— Żegluj dzielnie po morzach i oceanach — wyszeptał Ferune. W tej chwili odłożył na bok swoje nowe, obce zwyczaje i stał się Ythri, z Mistwood, mężem Wharr, członkiem łańcucha przodków i dzieci.

Avalon uderzył. Szalupa zatoczyła się. Pod nieznosnym zalewem światła ekrany zgasły. Na chwilę zgasło również oświetlenie. Lecący przycupnęli, stłoczeni, w ryku, upale i ślepcie.

Skończyło się. Szalupa nie została poważnie uszkodzona. Włączyły się systemy awaryjne. Widoczność powróciła, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Na rufie, *Hell Rock*, rysował się ciemną sylwetką na tle słabnącej, jaskrawej kuli ognia, która rozprzestrzeniła się na pół nieba.

Jeden z marynarzy wyszeptał:

— Ile... megaton?

— Nie wiem — odparł Ferune. — Prawdopodobnie wystarczająco dużo, by pozbyć się tych imperialnych, których wciągnęliśmy w atak na nas.

— Cud, że to przeżyliśmy — powiedział jego adiutant. Każde pióro stało na nim dęba i drżało.

— Gazy rozprzestrzeniły się na kilometry — przypomniał Ferune. — To prawda, że nie mamy tu generatora pola osłonowego. Ale zanim front fali uderzeniowej do nas dotarł, nawet prędkość równa kilku milionom stopni nie byłaby w stanie znacznie podnieść naszej temperatury.

Zapadła cisza, podczas gdy mniejsze detonacje migotały i cichły gdzieś dalej w przestrzeni, a miecze energii strzelały w górę. Oczy szukały oczu. Mózgi kryjące się za nimi miały wykształcenie techniczne.

Ferune powiedział to za nich.

— Promieniowanie jonizujące, pierwotne i wtórne. Nie potrafię określić, jak dużą dawkę otrzymaliśmy. Wskaźnik wyszedł poza skalę. Ale przynajmniej zameldujemy się z powrotem w domu.

Zajął się pilotowaniem. Wharr czekała na niego.

Rochefort macając rękoma poruszał się wzdłuż kadłuba *Hooting Star*. Generatory wewnętrznej grawitacji zostały rozbite; swobodnie spadając, znajdował się obecnie w stanie nieważkości. Na zewnątrz otaczającego go skafandra nie było powietrza. Cisza wdzierła się do środka jego pancerza kosmicznego tak natarczywie, że słyszał bicie swego serca równie dobrze, jak je czuł. Krople potu odrywały mu się od czoła, nosa, policzków i tańczyły między oczami a szybą czołową hełmu, odbijając światło oleistymi błyskami. To światło rozlewało się dziwnie w próżni, nierozpraszcane przez powietrze, tworząc ostre cienie.

— Wa Chou! — wychrypiął do radia. — Wa Chou, jesteś tam?

— Obawiam się, że nie — oznajmił w słuchawkach głos Helu z maszynowni.

Rochefort znalazł małe ciało unoszące się za panelem częściowo wyrwane z utrzymującej je upręży. Ta sama wiązka promieniowania przepaliła przód skafandra i ciało, aż w końcu przeszła przez skafander z tyłu, kauteryzując po drodze ranę, tak że dokoła unosiło się tylko kilka kropel krwi.

— Wa Chaou nie żyje? — spytał Helu.

— Tak. — Rochefort przytulił Cynthianina do piersi, z trudem powstrzymując się od płaczu.

— Zostały jeszcze jakieś możliwości kontroli ognia?

— Nie.

— No cóż, myślę, że uda mi się wycisnąć energię z kondensatorów do zasilania jednostek napędowych. Nie wyrwiemy się w ten sposób z uścisku grawitacji planety, ale może uda nam się wylądować, nie wyparowując w trakcie przejścia przez atmosferę. Potrzebny będzie naprawdę znakomity pilotaż. Lepiej niech pan wraca na stanowisko, kapitanie.

Rochefort otworzył hełm Wa Chou, żeby zamknąć wyłupiaste oczy, ale powieki nie chciały się opuścić. Przywiązał ciało zwojem luźnego drutu i wrócił na dziób, żeby się zapiąć w swojej upręży.

Lampka sygnalizacyjna migała. Mechanicznie, na wpół świadomy z żalu, podłączył wtyczkę do swojego skafandra i nacisnął przycisk „Odbiór”.

Anglic, z akcentem, w jakiś sposób jednocześnie gardłowy i dźwięczny:

— ...imperialny Meteor. Żyjecie? Tu Avalończyk. Potwierdź albo strzelamy.

— Po... po... — Zanim dźwięk w jego gardle zdążył przerodzić się w szloch, Rochefort opanował się i odparł: — Tak, tu mówi kapitan.

— Zabierzemy was na pokład, jeśli chcecie.

Rochefort kurczowo wcisnął się w oparcie fotela, z nogami zapartymi do tyłu. W uszach brzęczało mu i trzeszczało.

— Ythri przestrzega konwencji wojennych — mówił dalej nieludzki głos.
— Zostaniecie przesłuchani, ale nie będziecie traktowani niezgodnie z nimi. Jeśli odmówisz, musimy podjąć środki ostrożności i was zniszczyć.

„H-h-h-h... m-m-m-m...”

— Odpowiedz natychmiast! Jesteśmy już zbyt blisko Avalonu. Niebezpieczeństwo wpadnięcia w krzyżowy ogień urządzeń obronnych rośnie z minuty na minutę.

— Tak — usłyszał swój głos Rochefort. — Oczywiście. Poddajemy się.

— Dobrze. Zauważyłem, że nie uruchomiliście ponownie silnika. Nie róbcie tego. Wyrównujemy prędkości. Zwiążcie się razem i wyskoczcie w kosmos. Namierzmy was promieniem ściągającym i sprowadzimy tak szybko, jak to możliwe. Zrozumiano? Powtórz.

Rochefort zrobił to, czego od niego żądano.

— Walczyliście dzielnie — oznajmił Ythrianin. — Okazaliście dumę aż do śmierci. Będę zaszczycony, mogąc powitać was na pokładzie. — I cisza.

Rochefort zawołał Helu. Mężczyźni przywiązali końce liny wokół talii, otworzyli osobową śluzę powietrzną i przygotowali się do wyskoczenia. Kilka kilometrów dalej zobaczyli statek z trzema gwiazdami, nadlatujący niczym orzeł.

Niebo rozbłysło morzem blasku.

Kiedy postrzępiona, czerwona łuna zniknęła im z oczu, Helu wykrztusił:

— Allah Akbar, Allah Akbar... Nie ma ich. Co się stało?

— Bezpośrednie trafienie — wyjaśnił Rochefort. Szok jakby otworzył w nim jakiś otwór, przez który spłynęło odrętwienie. Poczuł, jak rosną w nim siły. Jego umysł ruszył, szybko jak te błyskawice wojenne, ale jednocześnie chłodno. — Wiedzieli, że jesteśmy bezradni i nie mamy w pobliżu żadnych przyjaciół. Ale pomimo uwagi ich kapitana, musieli zapomnieć o własnych przyjaciółach. Obrona planetarna otworzyła ogień. Wyobrażam sobie, że wśród wystrzelonych pocisków było całe mnóstwo samonaprowadzających się torped. Nasze silniki były wyłączone. Jego nie. Torpeda namierzyła ich emisję.

— A co, nie mają obwodów rozpoznawczych?

— Najwyraźniej nie. Aby zaatakować na taką skalę, jaką zdają się stosować, Avalończycy musieli poświęcić jakoś na rzecz ilości i polegać na znajomości rozmieszczenia swych jednostek. Nierozsądne było spodziewać się ich tak blisko. Walki toczą się dalej. Śmiem twierdzić, że ta torpeda zmierzała gdzieś dalej, w stronę jakiejś konkretnej koncentracji jednostek imperialnych, i akurat przelatowała w pobliżu nas.

— Acha. — Wisieli między ciemnością i blaskiem, oddychając z ulgą. — Zgubiliśmy nasz statek — zauważył Helu.

— Musimy więc temu jakoś zaradzić — odpowiedział Rochefort. — Dalej.

Pod skorupą świeżo odzyskanego spokoju, był wstrząśnięty skalą z jaką, jak się wydawało, odpowiedział Avalon.

IX

Kiedy łódź zatrzymała się w końcu w bezruchu, grzmoty i drgania blach kadłuba ustały, pozostawiając jedynie żar gorąca i zapach spalenizny, Rochefort stracił przytomność.

Wynurzył się z nicości kilka chwil później. Stał nad nim Helu.

— Wszystko w porządku, panie kapitanie? — Początkowo głos mechanika zdawał się dochodzić z jakiejś jęczącej otchłani, a pot i sadza na jego twarzy zlewały się z mgłą, która zasnuwała mu całe pole widzenia.

— Dobrze — mruknął Rochefort. — Przynieś mi... kolejną pigułkę stymulacyjną...

Helu przyniósł mu ją, razem ze szklanką wody do popicia, która zdziałała cuda z jego drewnianym językiem i pergaminowym podniebieniem.

— Ręko Fatimy, co za lot! — powiedział urywanym głosem. — Byłem pewien, że już po nas. Jak się panu udało sprowadzić nas na dół?

— Nie pamiętam — odpowiedział Rochefort.

Narkotyk zadziałał, przywracając mu jasność myśli oraz zmysłów, a także odrobinę energii. Potrafił odtworzyć jedynie, co musiał robić w tych ostatnich, szalonych minutach. Ergi energii zmagazynowanej w kondensatorach, nie wystarczyłyby do tego, aby wytracić całą prędkość łodzi względem powierzchni planety. Użył ich do sterowania, by zapobiec wypaleniu się kadłuba przez wyhamowujące ich tarcie atmosferyczne. *Hooting Star* przeleciała pół globu po tropopauzie, niczym kamień skaczący po tafli jeziora, a następnie z wizgiem powietrza zeszła długim, skośnym ześlizgiem, co skończyłoby się jej zatonięciem - bo dziury na rufie nie dało się załatać, a zamknięta maszynownia, po zalaniu wodą, stałaby się zbyt ciężka - gdyby nie to, że on, Philippe Rochefort, w jakiś sposób dostrzegł w dole (teraz sobie to przypomniał) łańcuch wysp i wyłądował awaryjnie na jednej z nich...

Spędził chwilę na delektowaniu się prostym faktem życia. Potem wypiął się z uprząży i on oraz Helu, każdy na swój sposób, złożyli podziękowania opatrznosci; dodając wyrazy żalu za duszę Wa Chaou. W tym czasie kadłub ostygł do tego stopnia, że odważyli się dotknąć śluzy. Wkrótce odkryli, że jej zewnętrzne wrota uległy wyrwaniu, kiedy łódź sunęła po ziemi.

— Dobre powietrze — stwierdził Helu.

Rochefort z wdzięcznością wciągnął powietrze do płuc. Nie chodziło tylko o to, że w kabinie było gorąco i śmierdziało. Żaden system regeneracji na żadnym statku kosmicznym nie byłby w stanie wykonać całości pracy żyjącej planety. Atmosfera, która wlewała mu się do płuc,

pachniała ozonem, jodem, zielenią, aromatem kwiatów; była łagodna, lecz rześka od wiatru.

— Musi tu panować ciśnienie zbliżone do standardu ziemskiego — kontynuował Helu. — Jak taka planeta mogła magazynować tyle gazu?

— Na pewno już kiedyś widywałeś podobne — powiedział Rochefort.

— Tak, ale nigdy nie zastanawiałem się nad tym. Teraz, kiedy odzyskałem dla siebie wszechświat, chciałbym, eee... poznać go lepiej.

— No cóż, pomaga w tym magnetyzm — wyjaśnił Rochefort roztargnionym tonem. — Jądro planety jest małe, ale z drugiej strony ma wysoką prędkość obrotową, co daje całkiem rozsądną wartość natężenia pola magnetycznego. Poza tym pole ma w sobie mniej naładowanych cząstek, których trzeba się wystrzegać, a zatem mniej z nich wydostaje się poza nie, aby odbijać się od cząsteczek gazu. Podobnie, całkowite promieniowanie ultrafioletowe i rentgenowskie jest niższe. To słońce jest dosyć blisko - otrzymujemy około 10 procent więcej światła niż Ziemia - ale jest chłodniejsze niż Sol. Krzywa rozkładu energii osiąga szczyt przy niższej częstotliwości, zaś wiatr słoneczny jest słaby.

Mówiąc to, starał się wyczuć siłę grawitacji. Jego ciężar wynosił cztery piąte tego, jaki miał, gdy pole wewnętrzne łodzi było ustawione na przyciąganie standardowe. Zrzucenie szesnastu kilogramów od razu dawało się zauważyć - dawało ono skoczność, energię ciała, której nie ugasiły całkowicie utrata przyjaciela oraz duże prawdopodobieństwo wyładowania w niewoli - choć dosyć szybko zaczął uważać to wrażenie za oczywiste.

Wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się. Ekrany wizyjne, które wciąż jeszcze działały, pokazywały mu, że obszar dokoła jest bezludny. W głębi lądu teren wznosił się stromo. Po drugiej stronie opadał ku plaży, na której przybrzeżne fale załamywały się z silnymi białymi bałwanami, a ich huk docierał do niego z odległości ponad kilometra. Dalej, lapisowe morze rozlewało się ku horyzontowi, który pomimo promienia Avalonu, nie wydawał się zauważalnie bliższy niż na Terrze czy Esperance. Niebo nad ich głowami miało barwę błękitu, jaśniejszą i głębszą niż ta, do której był przyzwyczajony. Słońce było nisko, chyląc się ku zachodowi dwa razy szybciej niż na rodzinnym globie ludzkości. Jego tarcza wydawała się nieco większa, a jej barwa miała odcień złota. Za nim wznosił się sierpowaty księżyc, wielkości jednej czwartej średnicy katowej Księżyca widzianego z Ziemi. Rochefort wiedział, że w rzeczywistości jest on mniejszy, ale będąc bliżej, dwukrotnie silniej podnosił pływy.

Od czasu do czasu w górze migotały iskry i smugi - monstrualne eksplozje w kosmosie. Rochefort odwrócił od nich swą uwagę. Dla niego wojna prawdopodobnie się skończyła. Niech skończy się dla wszystkich, jak najszybciej, zanim zginie więcej świadomych istot.

Skupił uwagę na otaczających go formach życia. Jego statek wyłobził i wypalił gęstą warstwę nisko rosnącej, berylowo-zielonej materii organicznej, pokrywającej wyspę.

— To chyba wyjaśnia, dlaczego na planecie nie ma rodzimych lasów — mruknął — co z kolei może pomóc wyjaśnić, dlaczego życie zwierzęce jest tutaj tak słabo rozwinięte.

— Etap dinozaurów? — spytał Helu, obserwując stado przelatujących w pobliżu niezdarnie uskrzydłonych stworzeń. Każde z nich miało cztery nogi; podstawowy schemat budowy kręgowców na Avalonie był sześćcionożny.

— No cóż, gadów, choć u niektórych rozwinęły się takie cechy jak owłosienie czy efektywne serce. Ogólnie rzecz biorąc, nie miałyby szans w starciu z ssakami ani ptakami. Koloniści musieli włożyć sporo pracy, aby stworzyć stabilną, mieszaną kolonię i zachowali znaczną część ziemi w rezerwie, w tym cały kontynent równikowy.

— Naprawdę ich pan przestudiował, co?

— Byłem nimi zainteresowany. I... wydawało mi się niewłaściwe, żeby traktować ich tylko jak cele. Wydawało mi się, że powinienem mieć jakieś pojęcie o ludziach, z którymi będę walczył.

Helu popatrzył w głąb lądu. Rozproszone krzewy i drzewa rzeczywiście istniały. Te ostatnie były albo niskie i gęste, albo smukłe i giętkie, aby przetrwać silne wiatry, które często muszą być wywoływane przez szybką rotację. Jesień czy nie, wiele kwiatów nadal kwitło – jaskrawe szkarłaty, żółcie i fiolety. Owoce gromadziły się gęsto na kilku innych gatunkach roślin.

— Czy możemy jeść miejscowe jedzenie? — spytał Helu.

— Tak, oczywiście — odparł Rochefort. — Nigdy nie udałoby im się odnieść takiego sukcesu w zakresie kolonizacji, w tym czasie, jaki mieli do dyspozycji, gdyby nie mogli czerpać z miejscowych zasobów. Brakuje im niektórych niezbędnych składników, różnych witamin i tak dalej. Z tego powodu trzeba było zmodyfikować genetycznie importowane zwierzęta hodowlane. Gdybyśmy próbowali jeść wyłącznie pożywienie avalońskie, zapadlibyśmy na choroby niedoborowe. Jednakże nie byłby to szybki proces, a jak czytałem, wiele z miejscowej żywności jest bardzo smaczne. Niestety, czytałem też, że wiele z niej ma trujący charakter i nie wiem, która jest która.

— Hm. — Helu pociągnął węża i zmarszczył brwi. — Lepiej więc wezwijmy kogoś, żeby nas zabrał.

— Nie śpieszmy się — odparł Rochefort. — Najpierw dowiedzmy się wszystkiego, czego tylko zdołamy. Pamiętaj, że łódź ma zapasy na kilka tygodni. Może uda się nam... — Urwał. Poczuł ukłucie przypomnienia. — Teraz mamy obowiązek do spełnienia.

Z konieczności zaczęli od zmaistrowania z kawałków rozbitej łodzi szpadla. Pokrywa roślinna była mocna, a gleba pod nią twarda i gliniasta. Zachód słońca zgaś już w płomieniach, zanim udało im się pogrzebać Wa Chaou.

Księżyc w pełni dawałaby mnóstwo światła; miał wyższe albedo, a ponadto jego rozmiary kątowe i oświetlenie Laury nadawały mu ponad trzykrotnie większą jasność niż Lunie. Jednak dzisiejszy cienki sierp, wkrótce zaszedł. Lecz modlitwę można było odczytać w świetle dwu białych jak lampy planet towarzyszących, i niezliczonych gwiazd. Większość ich konstelacji była taka sama jak te, na które Rochefort spoglądał wraz z Eve Davisson na Esperance. Trzy lub cztery parseki w galaktyce liczą się niewiele.

A czy życie się liczy więcej? Muszę w to wierzyć.

— ...Ojcie, Tobie, w jakiegokolwiek postaci on Cię czcił, powierzamy to, że pozostało z naszego towarzysza; i modlimy się, abyś dał mu spoczynek, równie mocno jak modlimy się za siebie. Panie, zmiłuj się, Panie, zmiłuj się, Panie, zmiłuj się.

Potworne błyski nad ich głowami gasły w oddali.

— Przerwać walkę — polecił Cajal. — Wycofać się. Przegrupować się na dalekich orbitach.

— Ale, ale, panie Admirale — zaprotestował kapitan z jego sztabu — ich statki... skorzystają z okazji, żeby uciec - znikną w głębokim kosmosie.

Spojrzenie Cajala wędrowało z ekranu na ekran, na jego konsoli łączności. Spoglądały z nich twarze, niektóre ludzkie, inne nieludzkie, ale każda z nich była twarzą oficera Imperialnej Terry. Z trudem odrywał od nich wzrok.

— Musimy się z tym pogodzić — oznajmił im. — Nie możemy zaakceptować obecnego tempa strat. Laura to tylko prolog. Jeśli koszt jej zdobycia okaże się tak wysoki, że będziemy musieli czekać na posiłki, dając Ythri czas na reorganizację, cała nasza strategia legnie w gruzach. Wojna zrobi się długa i kosztowna.

Westchnął.

— Bądźmy szczerzy, obywatele — stwierdził. — Nasze informacje wywiadowcze na temat tego systemu były bardzo słabe. Nie mieliśmy pojęcia, jak silne fortyfikacje zostały zbudowane na Avalonie...

Na orbicie znajdowały się setki zautomatyzowanych stacji, których generatory energii zasilały wyłącznie ekrany obronne i ofensywne emiterzy, a nie silniki; a więc okazały się one śmiertelnie niebezpieczne, kiedy się do nich zbliżyli. Między nimi a planetą, a więc strzeżone przez nie, krążyły statki zaopatrzeniowe, dostarczające wszystkiego, co było potrzebne do utrzymania prowadzonego przez roboty ognia.

Na powierzchni i na księżycu zbudowana została globalna sieć detektorów, wyrzutni rakiet i broni energetycznej, zbyt potężna aby statki kosmiczne mogły znieść jej ostrzał; część jej wkopana została głęboko w skałach lub na dnie oceanów, inne elementy znajdowały się na powierzchni gruntu lub nad nią. Szansa na to, by statek lub pocisk z kosmosu, przedostał się przez nią nieprzechwycony, była naprawdę niewielka; a negapola osłaniały każdy newralgiczny punkt.

Powietrze patrolowały całe roje pojazdów pościgowych, gotowych dziesiątkami rzucić się na każdego, kto był na tyle nierozważny, aby spróbować ataku.

— ...a obrońcy bardzo inteligentnie wykorzystali naszą ignorancję. Zwabili nas na pozycje, które pozwoliły tym urządzeniom zadać nam oszałamiające ciosy. Jesteśmy uwięzieni między planetą a ich statkami.

Choć flota wroga jest słabsza, w obecnych okolicznościach działa ona nieproporcjonalnie skutecznie.

— Nie mamy wyboru. Musimy szybko zmienić te okoliczności. Jeśli wycofamy się poza zasięg systemu obrony Avalonu, ich flota znów stanie się słabsza i, jestem pewien, że wycofa się na obrzeża tego układu, jak powiedział kapitan K'thak.

— A wtedy, panie admirale? — spytał jeden z ludzi. — Co wtedy zrobimy?

— Dokonamy ponownej oceny sytuacji — odpowiedział mu Cajal.

— Czy zdołamy przeciążyć ich możliwości obronne tym, co mamy tu na miejscu? — zastanawiał się inny.

— Nie wiem — przyznał Cajal.

— Jak oni zdołali tego dokonać? — krzyknął inny z mężczyzn zza bandaży, które przesłaniały mu twarz. Jego statek był wśród tych zniszczonych. — Nędzna kolonia... ilu liczy mieszkańców, czternaście milionów, głównie farmerów? ... jak to możliwe?"

— Powinieneś to rozumieć — zganiał go Cajal, choć delikatnie, bo wiedział, że środki znieczulające otepiają nie tylko ból, ale i umysł. — Biorąc pod uwagę powszechność energii jądrowej, obfite zasoby naturalne, wyrafinowaną technologię automatyczną, nie potrzeba było niczego więcej, poza wolą. Maszyny produkują maszyny w tempie wykładniczym. Za kilka lat produkcja osiągnie pełną wielkość, ograniczoną jedynie dostępnymi surowcami mineralnymi; a słabo zaludniony, w dużej mierze wiejski świat, taki jak Avalon, będzie miał ich pod dostatkiem.

— Wyobrażam sobie — rozmyślał na głos - bo każda myśl była lepsza niż myśl o tym, jak bardzo ucierpiała marynarka wojenna tego dnia — że ta sama pasterska ekonomika uprościła im zadanie utrzymania w tajemnicy, jak wielki wysiłek został podjęty. Bardziej rozwinięte społeczeństwo korzystałoby z istniejącego przemysłu, w którym wszystko jest widoczne jak na dłoni. Avalońskie władze, kiedy otrzymały *carte blanche* od elektoratu, zbudowały większość swoich obiektów od zera, w regionach, gdzie nikt nie mieszka. — Skinął potwierdzająco głową. — Tak, obywatele, przyznajmy, że złapano nas na wykroku. — Prostując się: — Teraz ratujemy, co się da.

Dalsza dyskusja zeszła na temat sposobów i środków. Zniszczone, a nawet zdziesiątkowane, siły Terran, wciąż były gigantyczne. Rozrzucone były jednak po olbrzymich obszarach kosmosu, a ich jednostki ani przez chwilę nie znajdowały się w miejscu. Zorganizowanie uporządkowanego odwrotu było samo w sobie poważną operacją. Do tego dochodziła niepewność, niewiadome i nieuniknione niemożliwe do przewidzenia katastrofy pola walki. Avalońskim dowódcom kosmicznym trzeba było oferować oczywiste szanse na przerwanie walki - nie tylko taktyczne okazje, ale wyraźne dowody, że ich wycofanie nie będzie zdradą ich ludu - aby nie kontynuowali dalszej walki na śmierć i życie i nie zabrali ze sobą zbyt wielu jednostek imperialnych.

W końcu jednak komputery i podwładni zaczęli pracę nad szczegółami, rozpoczęto pierwsze działania mające na celu wycofanie się. Cajal mógł pozostać sam.

„Na pewno mogę?”, pomyślał. „Znów, jak zawsze. Duchy się zbierają.”

Nie. Ta katastrofa nie była jego winą. Działał w oparciu o błędne informacje. Saracoglu - nie, gubernator był cywilem, który był co najwyżej śladowo zaangażowany w gromadzenie faktów i sumiennie pracował, aby pomóc w przygotowaniach. Sam wywiad marynarki wojennej - ale Saracoglu mówił prawdę. Prawdziwe działania wywiadowcze przeciwko Ythri były niemożliwe. Poza tym, wywiad... cała flota, całe Imperium... było rozproszone zbyt mocno, na zbyt rozległym obszarze, nieludzkim, wrogim; w końcu być może wszelkie dążenia do utrzymania Pokoju Ludzkiego były próżne.

Zrobiłeś, co mogłeś. Cajal zdał sobie sprawę, że nie poszło mu jakoś bardzo źle. Tych wydarzeń nie można było nazywać katastrofą, a jedynie rozczarowaniem. Dzięki dyscyplinie i sprawnemu dowództwu, jego flota poniosła znacznie mniejsze straty, niż mogłoby się to wydarzyć; pozostała nadal przytłaczająco potężna; dostał nauczkę, z której skorzysta później w trakcie tej wojny.

Mimo to duchy nie chciały odejść.

Cajal przyklęknął. „Chryste, który przebaczyłeś więzących Cię żołnierzom, pomóż mi przebaczyć samemu sobie. Święci, bądźcie przy mnie, dopóki moja praca nie zostanie zakończona.” Jego wzrok przesunął się z krucyfiksu na obraz. „Przede wszystkim, ty, Eleno, która w Niebie musisz mnie ciągle kochać, skoro nikt nigdy nie był zbyt mały dla twej miłości, Eleno, czuwaj nade mną. Prowadź mnie za rękę.”

* * *

Pod lecącymi rozpościerał się lśniący, czarny Ocean Środkowy. Nad nimi widniały gwiazdy i Droga Mleczna, której mroźny blask przebijał się przez ciepło powietrza. Przed nimi wznosiła się otoczona burzowymi chmurami masa wyspy. Tabitha słyszała fale przyboju na jej plażach, jak nieustanna palba ognia na jej powierzchni.

— Czy oni są pewni, że to coś wylądowało tutaj? — spytał jeden z sześciu Ythrian, którzy podążali za nią i Draunem.

— Albo tu, albo w morzu — warknął jej partner. — Po co jest obrona terytorialna, jeśli nie do tego, aby sprawdzać wskazania detektorów? A teraz bądźcie cicho. I zachowajcie ostrożność. Jeśli to była imperialna łódź...

— To, są uwięzieni — dokończyła za niego Tabitha. — Bezradni.

— Dlaczego więc nie wezwali pomocy?

— Może ich nadajnik uległ zniszczeniu.

— A może mają jakiś swój mały planik. Ja bym miał. Tej nocy zginęło wielu z nas. Im więcej zginie Terran, niech piekielne wichry spadną na ich głowy, tym lepiej.

— Wykonuj swoje rozkazy i zamknij się — rzuciła ostro Tabitha.

Czasami poważnie rozważała zerwanie swojego związku z Draunem. Przez lata doszła do wniosku, że tak naprawdę nie wierzył w bogów Starej

Wiary ani nie odprawiał ich rytuałów tylko z zamiłowania do tradycji, jak większość mieszkańców Highsky; nie, on lubował się w tych krwawych ofiarach. I nie raz zabijał w pojedynku, po wyzwaniu przeciwnika, bez względu na to, jak wiele kłopotów mógł mieć później z zebraniem złota zwycięzcy, dla pogrążonych w żałobie. I choć rzadko znęcał się nad swoimi niewolnikami, niektórych z nich utrzymywał w niewoli, co jej zdaniem było fundamentalnym znęcaniem się.

A jednak - był lojalny i, na swój arogancki sposób, hojny dla przyjaciół; jego umiejętności żeglarskie doskonale łączyły się z jej talentem menedżerskim; potrafił być dobrym towarzyszem, kiedy chciał; jego żona była słodką istotą; najmłodsze dzieciaki były wręcz nieodparte i kochały swoją Krewną - Hriil, która brała je w ramiona...

„A czy ja jestem taka idealna? Nie, nawet w minimalnym stopniu, zważywszy na to, jak pozwoliłam swym myślom błądzić po manowcach!”

Oni przeszybowali na skrzydłach, ona przeleciała ponad plażą i znaleźli się wysoko nad wyspą. Google foto-wzmacniające pokazywały srebrzystoszare tereny, tu i ówdzie nakrapiane wyższej wyrastającymi roślinami; na głazach rosa zaczęła odbijać światło gwiazd. („Jak idzie tam w kosmosie? W wiadomościach mówili, że wróg został odrzucony, ale...”) Żałowała, że nie lata nago w tym pieszczącym, upojnie pachnącym powietrzu. Ale jej funkcja wymagała kombinezonu, kirysu, hełmu i butów. Statek, który został wykryty kiedy schodził w dół, mógł być zniszczonym i zniekształconym statkiem avalońskim, ale równie dobrze mógł być... Zaraz!

— Patrz! — Wskazała mu ręką. — Świeży ślad. — Zawrócili, przekroczyli grzbiet, i zobaczyli leżący pod nimi wrak.

— Rzeczywiście Terranin — stwierdził Draun. Zobaczyła, jak jego grzebień i pióra ogonowe drżą z niecierpliwości. Odwrócił się, przykładając powiększacz do oczu. — Dwóch jest na zewnątrz. Hya-a-a-ah!

— Stój! — krzyknęła Tabitha, ale on już nurkował.

Przekląła niezdarność pasów grawitacyjnych, przestawiła kontrolki sterujące i rzuciła się za nim. Za nimi podążali inni Ythrianie, z blasterami przyciśniętymi do piersi, wymachując skrzydłami aby przyśpieszyć ruchy swych ciał. Draun zostawił pistolet w pochwie i wyciągnął zamiast niego półmetrowy, ciężki, zakrzywiony nóż Fao.

— Stójcie! — krzyknęła Tabitha wśród gwizdu rozdzieranego powietrza. — Dajcie im możliwość poddania się!

Ludzie, stojący na skrawku świeżo ruszonej ziemi, usłyszeli to. Ich głowy uniosły się. Draun zawył w okrzyku bojowym. Jeden z ludzi wyszarpnął schowaną w kaburze broń boczną. Wtedy rzucił się na niego prawdziwy huragan. Skrzydła zatrzepotały, aż powietrze zawył na lotkach. Dwa metry nad ziemią Draun zmienił swoje nurkowanie w pęd w górę. Jego prawa ręka zatoczyła ostrzem w krótkim łuku; lewa, przyłożona do pleców przeciwnika, pchnęła go do przodu. Głowa Terranina oderwała się od szyi, uderzyła w zielony susin i makabrycznie podskoczyła na nim. Ciało na chwilę stało, tryskając krwią, po czym upadło jak marionetka, której odcięto sznurki.

— Hya-a-a-a-ah! — wrzasnął Draun. — Piekielne wiatry zdmuchną cię przed moimi choth-braćmi! Powiedz bogini Illarian, że oni nadchodzą!

Drugi z Terran cofnął się, potykając. Wyciągnął własną broń boczną. Wystrzelił, błysk i huk w ciemności.

„Zaraz zabiją i jego...”. Tabitha nie miała czasu na planowanie. Była w awangardzie swojego oddziału. Szalone spojrzenie człowieka i jego pośpieszny strzał skierowane były w Drauna, którego szerokoskrzydły cień nie zdążył jeszcze zaatakować po raz drugi. Zanurkowała od tyłu, zaatakowała go nisko i przetoczyła się, mocno go przytrzymując. Przewrócili się; pas nie był w stanie unieść ich obojga. Poczują, jak jej czoło uderza o jakiś korzeń, a policzek ociera się ostro o susin.

Przestał młócić rękoma. Wyłączyła swoją jednostkę i przykucnęła obok niego. Ból, zawroty głowy i ciężka praca jej płuc były jedynie jakimiś odległymi wrażeniami. Nie był martwy, jak zauważyła, jedynie na wpół ogłuszony uderzeniem skronią o kamień. Krew sączyła się w jego kręconych czarnych lokach, lecz poruszył się, a jego gałki oczne wypełniły się blaskiem gwiazd. Był wysoki, śniady jak na warunki avalońskie... ludzie z takimi chromosomami zazwyczaj osiedlali się pod silniejszymi słońcami niż Laura...

Ythrianie pikowali coraz bliżej. Wiatr huczał na ich piórach. Tabitha pozbierała się na nogi. Usiadła okrakiem na Terraninie. Z bronią w ręku wydyszała:

— Nie. Zatrzymać się. Koniec z zabijaniem. On jest mój.

X

Ferune z Mistwood zameldował się w Gray, w ciągu kilku dni załatwił sprawy i pożegnał się ze wszystkimi.

Również z Danielem Holmem:

— Niech ci sprzyja szczęście, Pierwszy Strażniku Marchii.

Usta człowieka były rozciągnięte i drżące.

— Musisz mieć przed sobą więcej czasu niż... niż...

Ferune pokręcił głową. Grzebień mu opadał, postrzępiony; większość piór, które mu pozostały, zrobiła się matowobiała; był w stanie mówić tylko szeptem. Lecz jego uśmiech się nie zmienił.

— Nie, obawiam się, że w tym przypadku medycy nie będą w stanie stymulować regeneracji. Nie, skoro zniszczeniu uległa każda komórka. Szkoda, że Imperialni nie spróbowali ostrzelać nas oparami rtęci. Chociaż dla ciebie byłoby to niezbyt miłe.

„Tak, wy macie większą tolerancję na metale ciężkie niż ludzie”, Holm bezskutecznie próbował się z tym jakoś uporać, „ale mniejszą na silne promieniowanie.”

Głos Ferune z trudem do niego dochodził:

— W obecnej sytuacji, w kupie trzymają mnie tylko prochy, klej i drut do wiązania. Słyszałem, że większość z tych, którzy byli ze mną, już nie żyje. Ale przecież musiałem przekazać ci moją władzę i wiedzę, prawda, zanim spocznę na wieki.

— Mnie? — człowiek nagle nie mógł powstrzymać cisnących mu się słów. — Mnie, który cię zabił?

Ferune zeszywniał.

— Zmień tę grzędę, Danielu Holm. Gdybym myślał, że naprawdę się o to obwiniasz, nie zostawiłbym cię na tym stanowisku – a prawdopodobnie nawet przy życiu; każdy na tyle głupi byłby niebezpieczny. Realizowałeś mój plan i ten, do diabła, zadziałał cholernie dobrze, kh'hng?

Holm przyklęknął i położył głowę na kości mostkowej przyjaciela. Zrobiła się twarda, teraz gdy ciało roztopiało się od góry, a skóra rozpalona była gorączką, i mógł wyczuć, jak nierówno wali tamtemu serce. Ferune przesunął się, by stanąć na rękach. Skrzydła objęły człowieka, zaś usta złożyły na nim pocałunek.

— Wzleciałem wyżej dzięki tobie — oznajmił Ferune. — Jeśli pozwolą na to koleje wojny, zaszczyć nas przybyciem na mój obrzęd pożegnalny. Pomyślnych wiatrów na zawsze.

Odszedł. Adiutant pomógł mu wsiąść do samochodu i zawiózł go na północ, do lasów jego choth i do Wharr, która na niego czekała.

— Pozwólcie panowie, że się przedstawię. Jestem Juan de Jesús Cajal y Palomares z Nuevo México, dowodzący siłami Marynarki Wojennej Jego Cesarskiej Mości, w obecnej kampanii. Mają panowie moje słowo, jako terrańskiego oficera, że wiązka jest zabezpieczona, przekaźniki automatyczne, ta rozmowa będzie nagrywana, ale nie monitorowana, a taśma zostanie objęta klauzulą tajności.

Dwaj rozmówcy, którzy spoglądali z ekranów, milczeli, dopóki w Cajalu nie narosła świadomość otaczającego go wszechobecnego metalu, pulsowania maszynierii w tle i lekkiego chemicznego posmaku powietrza wydobywającego się z wentylatorów. Zastanawiał się, jakie wrażenie na nich robi. Nie sposób było tego poznać po starym Ythrianinie - Liawie? Tak, Liawie - który najwyraźniej reprezentował władzę cywilną. Ta istota siedziała niczym posągowe wyobrażenie ponurości, z wyjątkiem lekko błyszczących żółtych oczu. Daniel Holm bez przerwy się poruszał, z cygarem w ustach, bębniąc palcami o blat stołu, z tikiem na lewym policzku. Był wychudzony, zaniedbany, zarośnięty, brudny, bez śladu imperialnej schludności. Ale wyglądał niezbyt pokornie.

To on w końcu zapytał:

— Dlaczego?

— Por qué? — odpowiedział zaskoczony Cajal. — Dlaczego wysłałem panom do panów na dół sygnał z propozycją spotkania? Oczywiście, żeby omówić warunki.

— Nie, chodzi mi o tę całą tajemnicę. Nie żebym wierzył panu w jej zachowanie, czy w cokolwiek innego.

Cajal poczuł, jak jego policzki czerwienieją. „Nie wolno mi wpaść w złość.”

— Jak pan sobie życzy, admirale Holm. Proszę jednak o zachowanie odrobiny zdrowego rozsądku. Abstrahując już od moralności związanej z pozwoleniem na rzeź i marnotrawstwo bogactw, musi pan zrozumieć, że wolałbym uniknąć dalszych strat. Dlatego orbitujemy wokół daleko od Avalonu i Morgany i nie podjęliśmy żadnych agresywnych działań od czasu, gdy walka ustała w zeszłym tygodniu. Teraz, kiedy oceniliśmy nasze opcje, jestem gotów do rozmów; i mam nadzieję, że panowie również dobrze się nad tym zastanowili. Nie interesuje mnie pompa ani rozgłos. Takie rzeczy tylko utrudniają znalezienie praktycznych rozwiązań. Stąd poufny charakter naszych rozmów. Mam nadzieję, że skorzystają panowie z okazji, by mówić tak szczerze, jak zamierzam to robić ja, wiedząc, że panów słowa nie muszą panów do niczego obligować.

— Nasze słowa są zobowiązujące — stwierdził Holm.

— Proszę — nalegał Cajal. — Jest pan zły, zabiłby mnie pan, gdyby tylko mógł, niemniej jednak jesteśmy profesjonalistami. Obaj mamy obowiązki do wykonania, jakkolwiek niektóre z nich mogą wydawać się niesmaczne.

— No to, do rzeczy. Czego pan chce?

— Omówić warunki poddania, jak powiedziałem. Rozumiem, że my trzej nie możemy autoryzować ani zdecydować o kapitulacji, ale...

— Myślę, że może pan — przerwał mu Liaw: niskim, suchym głosem, w szorstko akcentowanym anglicu. — Jeśli obawia się pan później sądu wojennego, udzielimy panu azylu.

Cajal otworzył usta ze zdumienia.

— Co pan powiedział?

— Musimy tylko mieć pewność, że to nie jest jakiś podstęp. Proponuję, żebyście wprowadzali swoje statki jeden po drugim na bliską orbitę, gdzie będą mogły być abordażowane. Transport do domu dla załóg zostanie zapewniony później.

— Czy pan... czy pan... — Cajal przełknął ślinę. — Proszę pana, podobno pański tytuł tłumaczy się mniej więcej na „Sędzia” lub „Reprezentant Prawa”. Panie sędzio, nie czas na żarty.

— Jeśli nie chcecie się poddać — stwierdził Holm, — to o czym mamy tu rozmawiać?

— O waszej kapitulacji, por Díos! — Cajal uderzył pięścią w poręcz fotela. — Nie będę się bawił w gierki słowne. Już za długo nas opóźniacie. Ale wasza flota została rozbita. Jej resztki są rozproszone. Niewielkie oddziały wydzielone z naszych sił mogą je dopaść w dowolnej chwili. Kontrolujemy całą przestrzeń wokół was. Nie macie możliwości uzyskania pomocy z zewnątrz. Jakiegokolwiek siły, które mogłoby zostać lekkomyślnie wysłane z innych układów, zostałyby unicestwione do cna; i tamtejsze admiralicje o tym wiedzą. Jeśli gdziekolwiek się udadzą ze swymi żałosnymi siłami, to na Quetlan. — Pochylił się do przodu. — Nie chcielibyśmy bombardować waszej planety. Proszę, nie zmuszajcie nas do tego.

— Proszę spróbować — odpowiedział Holm. — Nasze siły przechwytyjące chętnie by trochę poćwiczyły.

— Ale... czy spodziewa się pan, że ktoś przełamie blokadę... że... Och, wiem, jak duża jest planeta. Zdaję sobie również sprawę, że od czasu do czasu jakiś mały statek mógłby przemknąć obok naszej sieci detektorów, naszych jednostek patrolowych i stacji strażniczych. Ale wiem też, jak bardzo małe muszą być takie statki i jak rzadko będzie się to im udawać.

Holm zaciągnął się gwałtownie cygarem, zanim rzucił w chmurę dymu.

— Jasne — warknął. — Standardowa technika. Trzeba zlikwidować flotę kosmiczną, a planeta, z której ona pochodzi, musi się poddać, bo inaczej rozniesie ją pan na radioaktywny żużel. Niezła rzecz, do zrobienia dla przyzwoitego człowieka, co? No cóż, moi koledzy i ja przewidywaliśmy wybuch tej wojny już lata temu. Wiedzieliśmy, że nigdy nie uda nam się zbudować tak potężnej floty, jak wasza, choćby dlatego, że wy, dranie, macie o wiele więcej ludności i terytorium. Ale obrona... Panie admirale, jest pan na końcu długiej linii komunikacyjnej i zaopatrzeniowej. Planety graniczne nie są przygotowane do produkcji nawet w przybliżeniu takiej ilości towarów, jakiej pan potrzebuje; muszą one pochodzić z głębi Imperium. My jesteśmy przygotowani, by wyprodukować wszystko, co jest nam potrzebne, tak szybko, jak to będzie konieczne. Nie możemy pana ścigać. Ale jesteśmy, do cholery, w stanie odeprzeć wszystko, co pan na nas rzuci.

— Absolutnie wszystko?

— No cóż, od czasu do czasu, nawet zwykłym szczęściem, bez wątpienia uda się panu dotrzeć na powierzchnię głowicą, a może ona być duża i brudna. Przetrywamy to, a Obrona Terytorialna obejmuje zespoły dekontaminacyjne. Szanse na trafienie w cokolwiek ważnego dla nas, są mniej więcej takie, jak dobranie z trójki do pokera królewskiego. Żaden pański statek, z dostatecznie potężnym emiterem energii, nie zbliży się do nas na tyle, żeby choćby zaróżowić pupcię niemowlaka. A my nie mamy żadnych ograniczeń co do rozmiaru i masy naszej naziemnej broni fotonowej; możemy używać całych rzek do chłodzenia generatorów, podczas gdy lufy naszych dział zdmuchną was z naszego nieba. A teraz, proszę mi powiedzieć, dlaczego, niech mnie piekło pochłonie, mielibyśmy się poddać?

Cajal odchylił się w fotelu. Czuł się, jakby ktoś mu przyłożył od tyłu.

— Nie zaszkodzi dowiedzieć się, jakie warunki zamierzał pan zaoferować — zauważył beznamiętnie Liaw.

„Ocalenie twarzy? Ci Ythrianie podobno są szatańsko dumni, ale przecież nie do granic szaleństwa.” Cajal poczuł nadzieję.

— Oczywiście, na honorowych warunkach — powiedział. — Wasze statki muszą zostać zajęte, ale nie zostaną użyte przeciwko Ythri, a personel może wrócić do domu, oficerowie - z bronią krótką u boku. Podobnie będzie z waszymi instalacjami obronnymi. Musicie zaakceptować okupację i współpracować z władzami wojskowymi, ale dołożymy wszelkich starań, aby przestrzegać waszych praw i zwyczajów. Obywatele będą mieli prawo do składania petycji o naprawienie szkód, a Terranie naruszający statuty będą karani równie surowo, jak Avalończycy. Właściwie, jeśli ludność będzie się zachowywać właściwie, wątpię, aby znaczna część z nich kiedykolwiek zobaczyła imperialnego marine.

— A po wojnie?

— No cóż, to decyzja Korony, ale zakładam, że zostaniecie włączeni do zreorganizowanego Sektora Pacis, a musicie wiedzieć, że gubernator Saracoglu to efektywny i humanitarny człowiek. W miarę możliwości Imperium zezwala na samorządność i kontynuację lokalnego stylu życia.

— Pozwala. Kluczowe słowo. Ale zostawmy to. Założmy, że panuje demokracja. Czy moglibyśmy powstrzymywać napływ imigrantów, aby nas w końcu nie przegłosowali?

— No cóż... no cóż, nie. Obywatele mają zagwarantowaną swobodę przemieszczania się. To jeden z celów istnienia Imperium. Do licha, nie możecie egoistycznie blokować postępu tylko dlatego, że preferujecie jakieś tam archaizmy.

— Nie ma już więcej spraw do przedyskutowania. Dobrego dnia, panie admirale.

— Nie, zaczekajcie! Zaczekajcie! Nie możecie... sami skazywać całego swojego ludu na wojnę!

— Jeśli Khruathy i Parlament zmieniają swoje poglądy, zostaniecie o tym poinformowani.

— Ale posłuchajcie, pozwalacie im ginąć za nic — powiedział gorączkowo Cajal. — Ta granica zostanie uporządkowana. Wy, cała Domena Ythri, nie macie mocy, aby to powstrzymać. Możecie tylko

przedłużać tę morderczą, niszczącą farsę. I zostaniecie ukarani gorszymi warunkami pokoju, niż moglibyście uzyskać teraz. Słuchajcie, to nie jest jednostronna sprawa. Wchodźcie do Imperium. Zyskacie możliwości handlowe, kontakty, ochronę. Współpracujcie teraz, a przysięgam, że rozpoczniecie jako uznane państwo klienckie, ze wszystkimi przywilejami, jakie to oznacza. Już po kilku latach mieszkańcy zaczną otrzymywać terrańskie obywatelstwo. W końcu, cały Avalon może stać się częścią Wielkiej Terry. Na miłość boską, bądźcie realistami!

— My jesteśmy — odparł Liaw.

Holm rzucił kose spojrzenie. Oba ekrany ściemniały.

Cajal siedział przez kilka minut, wpatrując się w nie. Nie mogli mówić poważnie. Nie mogli. Dwukrotnie wyciągnął rękę do interkomu. Trzeba ich wywołać; może to tylko jakiś dziecinny upór, aby to Imperium błagało ich o negocjacje...

Ręka Cajala cofnęła się. „Nie. Odpowiadam za naszą własną godność.”

Decyzja zapadła. Niech zostanie wdrożony plan numer dwa. Trzeba zostawić tu dobrze skalkulowane siły, aby utrzymać w szachu Avalon. Nie muszą być one jakoś specjalnie imponujące. Jedynym prawdziwym celem tej blokady było powstrzymanie znacznych zasobów tej planety przed przepływem do Ythri oraz uniemożliwienie tym bazom stworzenia zagrożenia dla linii zaopatrzeniowych Cajala, prowadzących do Imperium. Utrzymanie oblężenia będzie wymagało więcej ludzi i statków niż okupacja, ale mógł sobie na to pozwolić.

Ważne było, aby nie utracić impetu. Aby temu zapobiec, jego uwolnione stąd statki będą musiały natychmiast wyruszyć, aby wspomóc jednoczesne ataki na Khrau i Hru. Pierwszym będzie dowodził on sam, drugim jego zastępca. To, czego się tutaj nauczyli, będzie bardzo przydatne.

I tam, był pewien szybkich zwycięstw. Wywiad nie zdołał rozpoznać zasięgu uzbrojenia Avalonian, ale udało mu się odkryć sam fakt jego istnienia; tego nie dało się ukryć. Z tego samego powodu wiedział, że żadna inna planeta w Domenie nie miała do dyspozycji drugiego Daniela Holma, który by przez lata namawiał ją do budowy okrętów, aby oprzeć się nadciągającej burzy. Wiedział, że inne floty kolonialne Ythrian były małe i słabo skoordynowane, a planety nieuzbrojone.

Quetlan, ich gwiazda macierzysta, był groźniejszy. Ale jeśli pozwolą mu dostatecznie spektakularnie przebić się przez przestrzeń między układami słonecznymi, to śmiało mieć nadzieję, że jego wrogowie będą na tyle mądrzy, aby skapitulować, zanim zada im cios prosto w serce.

„A potem kilka zniekształconych cząsteczek, przy pomocy których zostanie zarejestrowany rozejm, da nam Avalon. Bardzo dobrze. Lepsze to niż walka... Czy oni zdają sobie z tego sprawę? Czy tylko chcą po prostu przez kilka kolejnych tygodni zachować iluzję wolności? No cóż, mam nadzieję, że cena, jaką za to zapłacą - podatki, ograniczenia, przemodelowanie całego ich społeczeństwa, które w innym wypadku mogłyby zostać uznane za niekonieczne - nie okaże się dla nich nieznośnie wysoka - bo muszą ją znieść.”

Przed wschodem słońca Ferune opuścił Mistwood.

Tego dnia jego kraj rodzinny nosił tę nazwę całkowicie zasłużenie. Od morza zawiewała wiała zimna, wilgotna i oślepiająca mgła. Tumany snuły się w mrokach lasu, wokół grubych występów połamanych konarów, strzelistych pni piorunowych drzew; wilgoć kapłała z gałęzi na leżące na ziemi liście, a w miejscach, gdzie uderzała w tworzące się między pierścieniowatymi łodygami mieczy-smutku bajora, wydawała cichy, dźwięczny odgłos. Lecz dalej w głębi lądu, gdzie pozostawiono Stary Avalon, huczące drzewa płoszyły zwierzęta, które mogły się nimi pożywiać, i ten właśnie dźwięk rozbrzmiewał pod domem Ferune oraz odbijał się echem od wiszących na ścianach tarcz jego przodków.

Skrzydła się zebrały. W mroku nocy rozebrzmiała trąbka. Jego synowie wyszli na spotkanie swoich choth-towarzyszy. Nieśli ciało na noszach między sobą. Jego uhoth trzepotały dokoła, zdziwione spokojem swojego pana. Wdowa poprowadziła kondukt. Po bokach szły jego córki, ich mężowie i dorosłe dzieci, niosąc płonące pochodnie.

Uderzyły skrzydła. Kondukt poderwał się do lotu. Gdy wzbił się ponad mgłę, ta zmieniła się w pełne błękitnych cieni morze bieli, rozpościerające się pod bladą jak lód, wschodnią poświatą. Na zachodzie, nad morzem, ostatnie gwiazdy błyszczały królewską purpurą.

Kondukt wciąż wносił się coraz wyżej, aż osiągnęli niemal szczyty tego czego mogło dokonać niewspomagane niczym ciało. Tutaj powietrze było mocno rozrzedzone i zimne; lecz na skraju zanurzonego w mroku świata ośnieżone szczyty Matki Pogody zaczynało rozpalać wciąż skryte pod horyzontem słońce.

Przez cały ten czas kondukt mknął na północ. Daniel Holm i jego rodzina, podążający za nim w ciężkich szatach i maskach oddechowych, widzieli skrzydła błyszczące na niebie niczym jeden potężny grot włóczni. Ledwo byli w stanie dostrzec ognie pochodni, tryskające w jego czubku, niczym iskry gasnących gwiazd. Wyraźniej dolatywał do nich pulsujący odgłos bijący spod tych skrzydeł. Poza tym cisza była kompletna.

Dotarli do dzikich terenów, krainy urwisk, głazów i rwących strumieni. Tam synowie Ferune zatrzymali się. Z rozpostartymi skrzydłami unosili się w pierwszym, słabym cieple poranka, a przed nimi ich matka. Wokół krążyli bliscy krewni; a jeszcze dalej, zataczając krąg, otoczyły ich choth. Jednocześnie nad górami wzeszło słońce.

Do Ferune podleciał nowy Wyvan Mistwood. Raz jeszcze zadał w róg i trzykrotnie wywołał imię zmarłego. Wharr przemknęła obok, aby ucałować męża na pożegnanie. Potem Wyvan wypowiedział słowa Nowego Wyznania, które liczyły dwa tysiące lat.

— Twój duch unosił się wysoko na wielu wiatrach; lecz w końcu zstąpił na ciebie na skrzydłach Bóg Łowca. Spotkałeś Go z dumą, walczyłeś z Nim dzielnie, dzięki tobie zdobył kolejne zaszczyty. Odejdź stąd, to, co pozostawiły szpony, niech stanie się wodą i liśćmi, wznies się na wietrze; a twój duch, niech będzie zawsze w pamięci.

Synowie Ferune przechylili lektykę. Ciało spadło, a za nim pochodnie.

Wharr spłynęła stopniowo w dół, w pierwszych taktach niebiańskiego tańca. Setka ludzi podążyła za nią.

Wisząc w oddali, między pustką a bezkresem, Daniel Holm powiedział do Christophera:

— A ten Terranin myślał, że my się poddamy.

XI

Liaw z The Tarns zabrał głos.

— Spotkaliśmy się na Wielkim Khruath Avalonu, gdzie wolni ludzie mogą wybrać swoją drogę. Nasz wróg zabrał w inne miejsce większość sił, które przeciwko nam skierował. To nie jest zwycięstwo, ponieważ te statki zniosą wojnę do reszty Domeny. W międzyczasie Terranie pozostawili tutaj wystarczająco dużo okrętów, aby nas odciąć. Mało prawdopodobne, by zaatakowali naszą planetę. Będą jednak starali się znaleźć i zniszczyć nasze bazy na innych planetach naszego układu i nieliczne z naszych okrętów bojowych, które pozostały jeszcze w kosmosie. Poza wszelkimi środkami obrony, jakie zdołają wymyślić nasi bracia na ich pokładach, nie mamy możliwości podjęcia ofensywy. Naszą obronę jesteśmy w stanie utrzymać w nieskończoność. Nie można jednak dać gwarancji, że Terranie nie wyrządzą wielkich szkód Avalonowi, jeśli wróg podejmie zdecydowany atak. Oświadczyli przecież, że z pewnością w końcu zostaniemy podporządkowani. To jest prawdopodobnie możliwe. Następnie oznajmili, że możemy oczekiwać lepszego traktowania, jeśli poddamy się już teraz, niż jeśli będziemy walczyć dalej, choć nawet przy najlepszym rozwoju sytuacji będziemy musieli poddać się imperialnemu prawu oraz zwyczajom. To jest absolutnie pewne.

— Ci, którzy przemawiają w waszym imieniu, odrzucili to żądanie, tak jak było to ich obowiązkiem, dopóki nie zostaniecie wezwani do podjęcia decyzji. Przypominam wam o niebezpieczeństwie ciągłej wojny i groźbie trudnego pokoju, jeśli przegramy. Przypominam wam ponadto, że jeśli stawimy opór, wolni mieszkańcy Avalonu będą musieli zrzec się wielu swoich praw i podporządkować się dyktatowi dowódców wojskowych tak długo, jak długo będzie trwał konflikt.

— Co mówią choth?

On i jego koledzy stali w dawnym miejscu, na Pierwszej Wyspie na Morzu Hesperyjskim. Za nimi wznosił się dom Davida Falkayna; przed nimi zielona murawa opadała w stronę plaży i fal. Ale nie rozstawiono żadnych szałasów ani namiotów, nie zakotwiczono żadnych statków, nie zleciały się roje delegatów, by ustawić się w szeregach pod drzewami. Brakowało czasu na uroczyste zgromadzenia. Osoby wybrane na spotkaniach regionalnych i osoby, które wyraziły chęć zabrania głosu, były obecne elektronicznie.

Wewnątrz domu ciężko pracował personel wyposażony w komputery. Choć przeciętny Ythrianin był małomówny, choć nie chciał ośmieszyć się, deklamując oczywistości, to jednak, kiedy około dwa miliony dorosłych, którym przyznano prawa wyborcze, uwikłało się w sprawę tak doniosłej wagi, pytania i komentarze, które napływały, musiały zostać

przefiltrowane. Ci, którzy mieli zostać wysłuchani, musieli czekać na swoją kolej.

Arinnian wiedział, że zostanie wezwany. Usiadł obok Eyath przed ogromnym ekranem. Byli sami na przedniej, a więc najniższej ławce. Za nimi wznosiły się rzędy krzeseł, na których tłoczyła się rodzina Lythrana i Blawsy, aż do miejsc pana oraz jego żony. Powolne słowa Liawa tylko pogłębiały ciszę w tej szerokiej, ciemnej komnacie, obwieszanej bronią; podobnie jak szelest piór, skrobanie pazurów lub alatanów, gdy ktoś lekko się poruszył. Powietrze wypełniał zapach dymu drzewnego charakterystyczny dla ciał Ythrian. Lekki powiew, wpadający przez otwarte okno razem z deszczem, przynosił zapach wilgotnej ziemi i poruszał sztandarami zwisającymi z wysokich krokwi.

— ...raport o faktach dotyczących...

Obraz na ekranie zmienił się na postać ranczera. Za nim widać było prerię Północnej Korony, w oddali pasące się stado, rząd czworonożnych zirraukhów niosących ciężary, prowadzonych przez trzepoczącego młodzieńca, i bardziej odpowiadającą nowoczesnemu życiu ciężarówkę przelatującą w górze. Ranczer stwierdził:

— Produkcja żywności na Równinach Long Reach była w tym roku zadowalająca. Prognozy na przyszły sezon są optymistyczne. Udało nam się osiągnąć 75% poziom magazynowania konserw mięsnych w bunkrach zabezpieczonych przed skażeniem radioaktywnym i spodziewamy się ukończyć to zadanie w pełni, do połowy zimy. Szczegóły znajdują się w Bibliotece Centralnej. Skończyłem.

Obraz na ekranie powrócił do widoku Wysokich Wyvanów, którzy natychmiast wezwali kolejnego przedstawiciela regionu.

Eyath chwyciła Arinniana za ramię. Poczuł puls w jej palcach, a pazury na dwóch otaczających jej dłoń kciukach wbiły mu się w mięśnie. Popatrzył na nią. Jej spizowo-brązowy czub był sztywno uniesiony, bursztynowe oczy płonęły jak latarnie. Kły błyszczały jej między wargami.

— Czy oni muszą gadać, aż wieczność zgnije? — wyszeptała.

— Potrzebują przedstawienia prawdy, zanim podejmą decyzję — wyszeptał i poczuł na sobie między łopatkami pełne dezaprobaty spojrzenia.

— A co tu decydować - skoro Vodan jest w kosmosie?

— Najlepiej mu pomożesz zachowując cierpliwość.

Zastanawiał się, kim był, by udzielać rad. No cóż, Eyath była młoda („ja też, ale dziś czuję się stary”) i okrutne było to, że nie mogła liczyć na żadne wieści o narzeczonym, prawdopodobnie aż do końca wojny. Żaden statek-matka nie mógł zapuścić się w pełen broni energetycznej zasięg obłożonego Avalonu.

Przynajmniej wiadomo było, że statek Vodana był wśród tych, które uciekły. Zbyt wiele orbitowało jako wraki. Oczywiście, przez pułapkę zastawioną przez Ferune i Holma zostało zniszczonych więcej Terran. Ale nawet jeden zabity Ythrianin to za dużo, pomyślał Arinnian, a milion Terran to za mało.

— ...wzywam dowódcę Obrony Terytorialnej Zachodniej Korony.

Poderwał się na równe nogi, zdając sobie natychmiast sprawę, że to było niepotrzebne, lecz stwierdził, że lepiej będzie, jeśli pozostanie na stojąco, niż pogłębi niezręczne zachowanie, siadając ponownie, zanim zdąży przemówić.

— Eee, Arinnian ze Stormgate. Jesteśmy w dobrej formie, wyposażamy, szkolimy i przydzielamy rekrutów tak szybko, jak tylko pojawiają się nowi. Ale chcielibyśmy więcej. Eee, skoro nikt o tym nie wspomniał, chciałbym przypomnieć, że poza oficerami wyższego szczebla, służba w obronie terytorialnej odbywa się w niepełnym wymiarze godzin, a harmonogram ochotnika można ustalić tak, aby zminimalizować zakłócenia w jego codziennej pracy. Współpraca naszej sekcji z Północnymi Oronezyjczykami rozszerza się teraz na cały archipelag i zamierzamy postępować podobnie na kierunku południowym i wschodnim, dopóki, eee, nie będziemy mieli zintegrowanego dowództwa nad Wyspami Brendana, Fiery i Shielding, aby chronić cały obwód Korony.

— Eee, w imieniu mojego ojca, Pierwszego Strażnika Marchii, chcę zwrócić uwagę na znaczną lukę w obronie Avalonu, a mianowicie brak straży Ekwatorii, gdzie nie ma nic poza kilkoma emiterami i wyrzutniami pocisków. To prawda, kontynent jest niezamieszany, lecz Terranie o tym wiedzą i jeśli rozważają możliwość inwazji, prawdopodobnie nie będzie im zależało na zachowaniu nienaruszonego fragmentu naszej rodzimej ekologii. Ja, hm, przyjmę sugestie w tej sprawie i przekażę je właściwymi kanałami. — Język miał suchy. — Skończyłem.

Usiadł. Eyath ujęła go za rękę, tym razem delikatniej. Na szczęście nikt nie chciał go dokładniej wypytywać. Potrafił zachować rzeczowy sposób zachowania, omawiając ściśle techniczne kwestie z kilkoma osobami orientującymi się w temacie, ale dwa miliony to było trochę za dużo dla człowieka bez politycznego instynktu.

Przemowy zdawały się nie mieć końca. A jednak, do czasu gdy wreszcie ogłoszono głosowanie i kiedy Liaw ogłosił rzeczowo, że bank danych odnotował 83 procent głosów za kontynuowaniem oporu, minęło zaledwie sześć godzin. Ludzie nie byliby w stanie tego zrobić.

— No cóż — stwierdził Arinnian, przekrzykując hałas rozpościerających się skrzydeł, — żadnych niespodzianek.

Eyath pociągnęła go.

— Chodź — powiedziała. — Weź pas. Chcę rozruszać mięśnie przed kolacją.

Deszcz siekł przez mrok, zimny i o smaku nieba. Kiedy wyszli ponad chmury, oboje skręcili na wschód, aby uciec od swych towarzyszy, którzy również szukali odrobiny ruchu. Śnieżne szczyty i lodowce wyłaniały się z bieli, w błękitno-czarnej toni, nad którą błyszczały wczesne gwiazdy i kilka ruchomych iskier orbitalnych fortect.

Lecieli przez chwilę w milczeniu, aż powiedziała:

— Chciałabym zaciągnąć się do obrony terytorialnej.

— Hm? Ach. Jasne; witaj.

— Ale nie do patroli lotniczych. To fundamentalne, wiem, i przyjemne, jeśli pogoda jest w miarę dobra; ale nie chcę zbyt wielu przyjemności. Spójrz, popatrz na Camelot wznoszący się tam. Vodan może siedzieć

przyczajony na jednym z jego martwych księżyców, czekając i czekając na okazję, aby zaryzykować życiem.

— A co byś wolała robić? — spytał.

Jej skrzydła biły bardziej miarowo niż brzmiał głos.

— Musisz mieć na głowie nawał pracy, który z pewnością jeszcze wzrośnie. Chyba masz za mały sztab, bo inaczej, czemu byłbyś tak bardzo zmęczony? Nie mogłabym pomóc?

— M-m... no cóż...

— Jako twoja asystentka, dziewczyna od przyniesić, wynieść, pozamiatać, a nawet twoja osobista sekretarka? Mogę wkuć elektro-kurs z odpowiednią wiedzą i umiejętnościami, i za kilka dni będę gotowa do pracy.

— Nie. To trudne sprawy.

— Jakoś przeżyję. Wypróbuj mnie. Jeśli nie dam rady, to mnie zwolnisz, a i tak nadal będziemy przyjaciółmi. Myślę jednak, że dam radę. Może nawet lepiej niż ktoś inny, kto nie zna cię od lat i komu można dać inną pracę. Jestem bystra i energiczna. Prawda? I... Arinnianie, tak bardzo potrzebuję twojej bliskości, dopóki ten paraliżujący czas nie przeminie.

Wyciągnęła ku niemu rękę. Chwycił ją za dłoń.

— Dobrze, wietrzna siostrze.

W bladym świetle leciała tak pięknie jak zawsze, czy to w blasku słońca czy księżyca.

— Tak, jutro wezwę do głosowania — powiedział Matthew Vickery.

— Jak myślisz, jak się ono skończy? — spytał Daniel Holm.

Prezydent westchnął.

— A jak myślisz? Och, frakcja wojenna nie będzie miała aż takiej większości w parlamencie, jaką miała na Khruath. Kilku parlamentarzystów zgłosuje raczej zgodzie ze swoimi przekonaniem, a nie rozesłanymi materiałami. Ale widziałem analizę tych materiałów, rozmów telefonicznych z posłami i... Tak, dostaniesz tę swoją cholerną rezolucję, aby kontynuować wojnę. Otrzymasz swoje uprawnienia nadzwyczajne, oznaczające praktyczne zawieszenie rządu cywilnego, których się domagałeś. Chciałbym, żebyś przeczytał kilka z tych listów albo obejrzał kilka z tych taśm. Bijący z nich fanatyzm mógłby cię przerazić, tak jak mnie. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że mamy w duszy tyle ukrytego szaleństwa.

— Walka o swój dom to szaleństwo?

Vickery przygryzł wargę.

— Tak, skoro niczego nie można zyskać.

— Powiedziałbym, że zyskujemy całkiem sporo. Wywaliliśmy sporą dziurę w terrańskiej armadzie. Zatrzymujemy ciągle jej większą część, która pierwotnie miała polecieć na Ythri.

— Naprawdę wierzysz w to, że Domena może pokonać Imperium? Holm, Imperium nie może sobie pozwolić na kompromisy. Przyjrzyj się jego punktowi widzenia, jeśli potrafisz. Samotny strażnik pokoju wśród tysięcy niezwykle zróżnicowanych ludów; samotny strażnik granic przed barbarzyńskimi i cywilizowanymi, lecz drapieżnymi obcymi, którzy

posiadają broń jądrową. Imperium musi być bardziej niż wszechmocne. Musi utrzymać wiarygodność, powszechne przekonanie że jest nieodparte, inaczej wszystkie kotły piekieł wybuchną mu w twarz.

— Płaczę krwawymi łzami, z powodu Imperium — odparł Holm — ale Jego Wysokość będzie musiał rozwiązać swoje problemy kosztem kogoś innego. Od nas nie dostanie nic za darmo. Poza tym, zauważ łaskawie, że Terranie nie rzucili się z wrzaskiem na Avalon.

— Nie musieli — zauważył Vickery. — Jeśli zajdzie taka potrzeba, wrócą z większymi siłami. Tymczasem my jesteśmy odcięci. — Nabrał powietrza w płuca. — Przyznaję, że twoje ryzyko opłaciło się wręcz nadzwyczajnie...

— Proszę, „inwestycja”. I nie moja. Nasza.

— Ale czy nie rozumiesz, że teraz nie możemy tego użyć w żaden inny sposób niż jako kartę przetargową? Możemy uzyskać doskonałe warunki, a ja rozmawiałem z gubernatorem Saracoglu, wiem, że dopilnuje, żeby umowy zostały dotrzymane. Rozsądnie rzecz biorąc, co takiego strasznego jest w przejściu pod panowanie Imperium?

— No cóż, zaczęlibyśmy od złamania przysięgi złożonej Ythri. Przepraszam, kolego. Duma aż do śmierci, na to nie pozwala.

— Siedzisz tu i wygłaszasz te przestarzałe słowa, ale mówię ci, wieją wiatry zmian.

— Rozumiem, że to też strasznie stare powiedzenie — powiedział Holm. — Ferune miał jeszcze starsze, które lubił cytować. Jak to szło? „...najlepsza chwila ich życia...”

Tabitha Falkayn odbiła od nabrzeża i szybko wybrała dwie liny jedna po drugiej. Fok i grot trzeszczały, łapały wiatr i napinały się. Lekka, otwarta łódź przechylała się, aż wzdłuż jej prawego relingu zaczęła syczeć piana, a następnie przyspieszyła. Mijając fale przyboju, wyszła na otwarte morze, zaczęła prześlizgiwać się po falach.

— Płyniemy ślizgiem! — krzyknął Philippe Rochefort.

— Oczywiście — odpowiedziała Tabitha. — To wodolot. Uwaga na bom! Puściła ster. Reja przeleciała, kadłub przeskoczył na przeciwny hals.

— Nie ma miecza? A co robisz, aby skompensować boczny znos?

Wskazała na dziwnie wygięte deski, które unosiły się nad relingiem, obracając się w odpowiedzi na stery.

— To. Projekt Ythrian. Wiedzą o wiatrach więcej, niż ludzie i ludzkie komputery są w stanie sobie wyobrazić.

Rochefort usiadł, aby kontemplować widok. Był wspaniały. Fale sunęły, jak okiem sięgnąć, błękitne z fioletowymi i zielonymi smugami, pełne słonecznego blasku, misternie zwieńczone białą pianą. Huczały i szumiały. Wzbijały się z nich mniejsze rozbryzgi, słone w ustach, pobudzające krew w miejscach, w których uderzały o nagą skórę. Powietrze było chłodne, nie zimne, i tętniące radością życia. Za rufą szmaragdowe szczyty St. Li kurczyły się w oddali z zadziwiającą szybkością.

Musiał przyznać, że najlepszą częścią tego wszystkiego była ta roślina, śniada dziewczyna, która stała przy sterze, z fajką w zębach, podobnym

do jastrzębia zwierzakiem na ramieniu, z rozwianymi, spłowiałymi lokami. Miała na sobie jedynie kilt, który wiatr przyklejał do jej lędźwi, oraz - co ważne - nóż i blaster.

— Mówiłaś, że jak to daleko? — spytał.

— Jakies trzydzieści pięć kilometrów. Kilka godzin w tym tempie. Nie musimy wracać przed zachodem słońca, mamy mnóstwo gwiazd do sterowania, więc będziesz miał czas aby się rozejrzeć.

— Jesteś zbyt miła, Donna — powiedział ostrożnie.

Zaśmiała się.

— Nie, jestem ci wdzięczna za pretekst, żeby się wybrać na wycieczkę. Zwłaszcza że kępy tych wodorostów atlantis mnie fascynują. Tworzą całe ekosystemy, na obszarach, które mogą być większe niż przeciętna wyspa. A jeden z rybaków-zwiadowców powiedział mi, że na obrzeżach czegoś takiego widział pasącego się krakena. Mam nadzieję, że jakiegoś odnajdziemy. To rzadki widok. Są pokojowo nastawione, choć nie odważymy się zbliżyć do tak wielkiego stworzenia.

— Chodziło mi o coś więcej niż tylko o tę wycieczkę — powiedział Rochefort. — Przyjęłaś mnie, jeńca wojennego, jako gościa w swoim domu.

Tabitha wzruszyła ramionami.

— A dlaczego nie? Nie zawracamy sobie głowy trzymaniem w zamknięciu tych paru ludzi, które pochwyciliśmy. Nigdzie się nie wybiorą. — Jej wzrok spoczął na nim szczerze. — Poza tym, chcę cię poznać.

Czując szarpnięcie w sercu, zastanawiał się, jak dobrze.

Ogarnął ją cień smutku.

— I — dodała — mam nadzieję... wynagrodzić ci to, co się stało. Musisz zrozumieć, że Draun nie zamordował twojego przyjaciela bez powodu. Jest, no cóż, porywczy; ktoś wyciągnął broń; no i mamy przecież wojnę.

Odważył się uśmiechnąć.

— Nie zawsze tak będzie, Donna.

— Mam na imię Tabitha, Philippe; albo Hril, kiedy mówię w Planha. Ty oczywiście nie... To prawda. Kiedy wrócisz do domu, chciałabym, żebyś rozumiał, że my, Ythrianie, nie jesteśmy potworami.

— Ythrianie? Wy? — Uniósł brwi.

— A kto? Avalon należy do Dominium.

— To nie potrwa już długo — powiedział Rochefort. W pośpiechu dodał: — Do tego dnia zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby pokazać ci, że my, Terranie, również nie jesteśmy potworami.

Nie mógł pojąć, jak ona może tak beztrząsco się uśmiechać.

— Jeśli bawi cię takie myślenie, to proszę bardzo. Obawiam się, że co do rozrywek, nie znajdziesz ich tutaj zbyt wiele. Pływanie, wędkowanie, żeglowność, wędrówki... i, tak, czytanie; jestem uzależniona od kryminałów i mam ich całkiem pokaźny stos, niektóre prosto z Terry. Ale to już chyba koniec listy. Jestem jedynym człowiekiem na stałe mieszkającym na St. Li, a moje interesy i obowiązki oficera Obrony Terytorialnej często będą mnie trzymać daleko od tego miejsca.

— Dam jakoś radę — stwierdził.

— Jasne, przez jakiś czas — odparła. — Prawdziwi Ythrianie nie są do ciebie wrogo nastawieni. W większości traktują wojnę jako coś bezosobowego, jak głód; kiedy możesz kogoś zabić, żeby nakarmić nim swoje dzieci, ale nie nienawidzisz go z tego powodu. Nie przepadają za pogawędkami, ale jeśli grasz w szachy, znajdziesz kilku chętnych przeciwników.

Tabitha skróciła szot grota i zapięła go na knadze.

— Mimo to — mówiła dalej — Awalończycy, ani jednego, ani drugiego rodzaju, nie produkują rozrywki na masową skalę, tak jak słyszałam, że robią to ludzie w Imperium. Na ekranach nie znajdziesz niczego poza wiadomościami, usypiająco poważnymi programami edukacyjnymi i klasycznymi dramataми, które prawdopodobnie nic dla ciebie nie będą znaczyły. Więc... kiedy się znudzisz, powiedz mi, a załatwię ci zakwaterowanie w jakimś mieście, jak Gray albo Centauri.

— Nie spodziewam się aby do tego doszło — oznajmił i dodał z wyważonym spokojem: — Tabitho. — Mimo to, mówiąc szczerze, pokręcił głową, wpatrzył się w wodę i kontynuował: — Nie, czuję się winny, że nie odczuwam głębszej żałoby, że nie jestem nią tak przepełniony, jak świadomością swojego fantastycznego szczęścia.

— Ha! — zachichotała. — Pewnego dnia wyliczę ci, na ile różnych sposobów miałeś szczęście. Wylądowałeś na nieprzekonwertowanej wyspie, mój drogi, na czystym staroawalończyku, wliczając w to spory zestaw co paskudniejszych gatunków rodzimych zwierząt i roślin.

— Czy ja potrzebuję uzbrojonego człowieka, który będzie zachowywał czujność w obawie przed wszystkimi tutejszymi zwierzętami?

— No cóż, bez wątpienia dałbyś radę zastrzelić spathodonta, zanim by cię ukąsił, choć gady nie umierają tak łatwo. Nie dałabym ci jednak żadnej szansy w starciu ze stadem lykozauroidów; a gdyby rój kakkelaków zaczął ci wlażyć do spodni... — Tabitha skrzywiła się. — Ale to wszystko tropikalne bestie z kontynentu. Miałbyś kłopoty z roślinami, które są nieco szerzej rozpowszechnione. Wyobraź sobie, że podmuch wiatru poruszył gałęziami drzewa chirurga, kiedy akurat przechodzisz obok niego. Albo... tuż za grzbietem, na którym byłeś, zauważyłam dziurę pełną piekielnych krzewów. Nie jesteś Ythrianinem, żeby móc wdychać te opary i przeżyć.

— Brrr! — wzdrygnął się. — Jaki nieuleczalny romantyk nadał nazwę tej planecie?

— Wnuczka Davida Falkayna, kiedy ten zdecydował, że jest to miejsce, do którego należy się udać — odpowiedziała, znów poważnym tonem. — I oboje mieli rację. Problemem było raczej danie szansy na przetrwanie miejscowym formom życia. Jak centaury, które były głównym powodem ogłoszenia Ekwatorii strefą niedostępną, ponieważ używają kawałków skał i kości do tworzenia narzędzi i być może za milion lat mogłyby stać się inteligentne. A tak przy okazji, to Ythri nalegała na ich ochronę, ythriańscy myśliwi, a nie ludzcy pionierzy.

Wskazała naokoło gestem.

— Rozejrzyj się dokoła — oznajmiła. — To nasz świat. I pozostanie nasz.

„Nie”, pomyślał, a dzień dla niego zrobił się bardziej mroczny, „mylisz się, Tabitho-Hrill. Mój admirał będzie gniótł twoich Ythrian, aż nie będą mieli wyboru i będą musieli oddać was mojemu Cesarzowi.”

XII

Tydzień po tygodniu, wypełnionymi ogniem walki, armada Terran posuwała się naprzód.

Cajal zdawał sobie sprawę, że pomimo niepomyślnego początku, ta kampania stanie się podręcznikową klasyką. W istocie, jego decyzja dotycząca Avalonu była typowym tego przykładem. Każdy głupiec mógłby zmiażdżyć tę planetę, dysponując takimi siłami, jakie miał on. Zgodnie z przewidywaniami, żaden inny system kolonialny Ythrian nie dysponował uzbrojeniem choćby zbliżonym do tego, z czym zetknął się wokół Laury. To, co istniało, wykorzystywane było z akceptowalną jakością, ale po prostu nie miało szans na zwycięstwo.

Tak więc każdy rzeźnik mógłby, poświęcając ludzkie życie i statki, zgnieść swoich przeciwników na proch w ciągu kilku miesięcy. Dane wywiadowcze i własne szacunki Cajala pokazywały, że właśnie takiego podejścia oczekiwali od niego wrogowie. Oni z kolei planowali prowadzić działania opóźniające, wysłać rajdy do Imperium, próbować podburzać strony trzecie, takie jak Merseia, oraz ogólnie sprawiać, że wojna stanie się dla Terry na tyle kosztowna, iż negocjacje pokojowe staną się lepszym rozwiązaniem.

Cajal wątpił, czy to by zadziałało, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Znał ludzi zasiadających w Radzie Politycznej. Niemniej jednak czuł, że jego obowiązkiem jest, aby nie forsować zwycięstwa przez wyniszczenie – jego obowiązkiem wobec obu państw. Dlatego nie zaplanował ostrożnego natarcia, przy którym każde zwycięstwo musiało zostać skonsolidowane przed sięgnięciem po kolejne, lecz szybkie uderzenie, jak mieczem.

Khrau i Hru upadły zaledwie w kilka dni po tym, jak Terranie przecięli najdalsze orbity ich planet. Cajal pozostawił w obu układach kilka statków i parę oddziałów okupacyjnych, głównie techników, na zamieszkałych planetach.

Te siły wydawały się absurdalnie małe. Strażnik Marchii Rusa zebrał większe od nich i spróbował odbić Khrau. Terranie wysłali wiadomości i wytrwali. Wydzielony oddział z głównej floty zawrócił, zdumiewająco szybko, i unicestwił siły Rusy.

Na Hru III zbuntowały się choth. Zmasakrowały część garnizonu. Następnie z kosmosu spadły pociski. Niewiele ich było potrzeba, aby obłężenie wojsk Imperium zostało przerwane. Wyvani zostali schwytani i rozstrzelani. Zrobiono to z należyтым szacunkiem dla ich godności. Niektórzy z nich, w końcowych oświadczeniach, namawiali swoich ludzi do współpracy z ekipami ratunkowymi, które spędzono z Esperance na dotknięte zniszczeniami obszary.

Tymczasem najeźdźcy zbliżali się do Quetlanu. Z ich głównych sił wysuwały się kolejne macki, aby przejmować układ za układem. W przypadku większości z nich, Cajal w ogóle nie zadawał sobie trudu, aby je zajmować. Zadowolili się rozbiciem ich flot i wracali do kontynuacji głównego ataku. Po sześciu tygodniach główne słońce Ythri zostało otoczone przez utracone pozycje.

Armada znajdowała się obecnie głęboko w przestrzeni Domeny, ponad 50 lat świetlnych od najbliższej, wcześniej istniejącej bazy Imperium. Ornitoidzi nie mogliby mieć lepszej szansy na jej odcięcie. Nawet gdyby wszystko co mieli zgromadzili do decydującej batalii - oczywiście nie do pozycyjnej bitwy przy niskich prędkościach, ale do bitwy manewrowej, która mogłaby potrwać tygodnie - i tak byłiby nieco słabsi liczebnie. Mieliby jednak zapewnione stałe dostawy amunicji, których Imperium nie posiadało.

Cajal dał im wszelkie możliwe okazje. Posłusznie skorzystali z jego propozycji.

Bitwa o Gromadę Yarro trwała osiem standardowych dni, od pierwszego starcia, do ucieczki ostatnich pojedynczych ocalałych Ythrian. Pierwsze dwa dni miały jednak charakter wstępny, zaś ostatnie trzy związane były już tylko działaniami porządkującymi. Szczegóły podajemy tylko w największym skrócie. W gruncie rzeczy Cajal wykorzystał dwie podstawowe posiadane przewagi. Pierwszą z nich było zaskoczenie; dołożył wszelkich starań, aby utrzymać w tajemnicy istnienie dużej liczby transportowców z amunicją, które towarzyszyły jego flocie. Drugą była organizacja; potrafił grać na swojej flocie jak na instrumencie, wabiąc i żonglując źle skoordynowanymi jednostkami wroga, niszcząc je jedną po drugiej.

Być może posiadał jeszcze trzecią przewagę - geniusz. Kiedy ta myśl przemknęła mu przez głowę, wyznaczył sobie za nią pokutę.

Resztki potęgi Dominium wycofały się w kierunku Quetlana. Cajal leniwie podążał za nimi.

Ythri była nieco mniejsza od Avalonu, nieco bardziej sucha, z rzadszą pokrywą chmur, a co za tym idzie, masy lądu o rudawym odcieniu rysowały się z kosmosu wyraźniej, w świetle chłodniejszego i bardziej żółtego niż Laura słońca. Mimo to, unosząc się majestatycznie wśród gwiazd, wyglądała przepięknie. Cajal zostawił ten ekran włączony i od czasu do czasu zerkał na niego, odrywając się od twarzy na swoim pulpicie komunikacyjnym.

Wysoki Wywan Trauvay powiedział:

— Śmiało wkracza pan do naszego domu.

Mówił płynnie w Anglicu i używał wokalizera dla pełnej jasności wymowy.

Cajal popatrzył w jego nieruchome żółte oczy i odpowiedział:

— Zgodził się pan na negocjacje. Ufam pańskiemu honorowi. — „Pokładałam również ufność w mojej *Supernovej* i jej eskorcie. Lepiej mu to przypomnieć.” — Ta wojna była dla mnie czymś bardzo smutnym. Z

niechęcią przyjąłbym konieczność zniszczenia jakiejś części waszej planety albo pozbawienia życia pańskich dzielnych ludzi.

— To może nie być takie proste, panie admirale — oznajmił powoli Trauvay. — Mamy instalacje obronne.

— Zauważono je. Wywanie, czy mogę mówić prosto z mostu?

— Tak. Zwłaszcza że, rozumie pan, to nie jest wiążąca dyskusja.

„Nie, ale pół miliarda Ythrian obserwuje ją na bieżąco”, pomyślał Cajal. „Wolałbym, żeby było inaczej. Jakbym czuł na sobie ich spojrzenia.”

„Co to za rząd? Nie do końca demokratyczny - nie da się go określić żadną terrańską etykietą, tak naprawdę nie można go nawet nazwać „rządem”. Może my, ludzie, moglibyśmy się tu czegoś nauczyć? Wszystko, czego próbujemy, w końcu zawodzi, a jedynym rozwiązaniem, jakie zazwyczaj znajdujemy, jest brutalna prostota Cezara.”

„Stój, Juanie! Jesteś oficerem Imperium.”

— Dziękuję Wyvanowi — powiedział Cajal — i proszę go oraz jego ludzi, aby uwierzyli, że zaprzestaniemy dalszych ataków, chyba że zostaniemy do nich zmuszeni albo otrzymamy rozkazy ich podjęcia. W chwili obecnej nie mamy ku temu powodu. Nasze cele zostały osiągnięte. Jesteśmy obecnie w stanie zrealizować nasze uzasadnione roszczenia odnośnie kształtu granicy. Wszelki ewentualny opór może mieć tylko sporadyczny charakter i, wybaczenie mi to słowo, będzie żałosny. Stosunkowo niewielkie siły wystarczą aby zablokować Quetlan. Tak, oczywiście pojedyncze statki mogą od czasu do czasu przemknąć się przez blokadę. Lecz w praktyce będziecie odizolowani od waszych posiadłości poza systemem, sojuszników i współpracowników. Proszę, rozważcie, jak długo w takich warunkach Domena zdołała przetrwać jako byt polityczny.

— Proszę, rozważcie również, że wasza dalsza uporczywa obrona byłaby niekończącym się kosztem, niekończącym się powodem irytacji dla Imperium. Wcześniej czy później postanowi ono wyeliminować tę uciążliwość. Nie twierdzę, że to byłoby sprawiedliwe, mówię jedynie, że to nieuniknione. Ja osobiście, odwołałbym się od rozkazu wznowienia walk. Gdyby był zbyt drakoński, podałbym się do dymisji. Lecz Jego Wysokość ma wielu admirałów.

Wokół ukrzyżowanego Chrystusa zapadła cisza. W końcu Trauvay spytał:

— Czy wzywa pan do naszej kapitulacji?

— Do zawieszenia broni — odparł Cajal.

— Na jakich warunkach?

— Wzajemne przerwanie ognia, oczywiście... z definicji! Zdobyte statki i inne obiekty wojskowe zostaną zatrzymane przez Terrę, ale jeńcy po obu stronach zostaną repatriowani. Utrzymamy okupację układów, do których wkroczyliśmy, i zajmujemy te planety, które Imperium uznało za swoje, a które nie zostały jeszcze zdobyte. Miejscowe władze i ludność podporządkują się oficerom wojskowym stacjonującym na ich terenie. Ze swojej strony przyrzekamy poszanowanie prawa i zwyczajów, prawa do niebuntowniczej wolności słowa oraz do składania petycji, tymczasową pomoc gospodarczą, jak najszybsze wznowienie normalnego handlu oraz wolność dla każdej jednostki, która zechce sprzedać swoją własność na

wolnym rynku i opuścić układ. Niektóre okręty mojej floty pozostaną w pobliżu Quetlan i będą często przelatywać przez układ w ramach nadzoru; ale nie wylądują bez zaproszenia, ani nie będą zakłócać handlu, z wyjątkiem tego, że zastrzegamy sobie prawo do inspekcji statków, w celu sprawdzenia, czy nie są nimi przesyłane żadne wojska ani amunicja.

Przez pióra Ythrianina przeleciały niespokojne fale. Cajal żałował, że nie potrafi ich odczytać. Ton głosu Vyvana pozostał beznamiętny:

— Żądacie kapitulacji.

Człowiek pokręcił przecząco głową.

— Nie, proszę pana, nie żądam, a wręcz byłoby to przekroczenie moich rozkazów. Ostateczne warunki pokoju to kwestia dyplomacji.

— Jakie możemy mieć nadzieje, skoro z góry przyznamy się do porażki?

— Duże. — Cajal nabrał powietrza w płuca. — Z całym szacunkiem sugeruję, abyście skonsultowali się ze swoimi naukowcami zajmującymi się socjodynamiką. Mówiąc wprost, macie dwa czynniki nacisku negocjacyjnego: jeden negatywny, a drugi pozytywny. Negatywny to wasza możliwość wznowienia walki. Pamiętajcie również, że większość waszego przemysłu pozostaje ciągle nienaruszona w waszych rękach, że macie statki, które są obsadzone przez dzielne i sprawne załogi, i że wasza macierzysta planeta jest silnie broniona, a jej zdobycie drogo by nas kosztowało.

— Wywanie, ludu Ythri, składam wam najświętsze zapewnienie, że Imperium nie chce was sobie podporządkować. Po co mielibyśmy brać na siebie ten ciężar? Gorszą rzeczą od bezpośrednich kosztów i niebezpieczeństwa byłaby utrata wysoko rozwiniętej cywilizacji. Pragniemy, potrzebujemy waszej przyjaźni. Ta wojna została stoczona, by usunąć pewne przyczyny tarć. Teraz możemy iść razem.

— To prawda, nie mogę przewidzieć formy ostatecznego traktatu pokojowego. Zwracam jednak uwagę na liczne publiczne oświadczenia Imperium. Są one dosyć jednoznaczne. I całkiem szczere, ponieważ w oczywisty sposób leży w interesie Imperium, by jego słowo pozostało wiarygodne.

— Domena musi ustąpić z różnych terytoriów. Można jednak uzgodnić rekompensaty. A przecież wszędzie tam, gdzie wasze granice nie pokrywają się z naszymi, czeka na was cały wszechświat.

Cajal modlił się, by dobrze recytował. Jego przemówienia układali specjaliści, a on sam spędził całe godziny na próbach. Ale jeśli eksperci się pomylili, albo on popełnił błąd...

„O Boże, niech ta rzeź się skończy... i wybac mi, że gdzieś w głębi duszy fascynuje mnie techniczny problem zdobycia tej planety.”

Trauvay siedział bez ruchu przez kilka minut, zanim powiedział:

— Rozważymy to wszystko. Proszę, pozostać w pobliżu, w celu konsultacji.

Gdzieś w innym miejscu na statku, ksenolog, który poświęcił Ythrianom całe swoje życie, zerwał się z krzesła, śmiejąc się i płacząc, i krzyknął:

— Wojna się skończyła! Wojna się skończyła!

We Fleurville rozbrzmiewały dzwony, z katedry dobiegało potężne, spiżowe bicie, z mniejszych wież - lżejsze. W górę leciały gromady rac, by cicho eksplodować na tle letnich gwiazd. Na ulicach kłębiły się tłumy ludzi, bardziej upojone szczęściem niż jakimkolwiek trunkiem; dęli w trąby, krzyczeli, a każdą kobietę całowała setka nieznajomych mężczyzn, którzy nagle ją pokochali. W świetle dnia imperialni marines paradowali przy dźwiękach trąbek, a eskadry samolotów i małe statki kosmiczne ryczały niebezpiecznie nisko. Lecz do stolicy Esperance i Sektora Pacis radość dotarła nocą.

Wysoko na wzgórzu, w oranżerii pałacu gubernatora, Ekrem Saracoglu spoglądał na radość miasta. Wiedział, dlaczego wzbierała tak potężnie - hałas docierał do niego jak szum odległych uderzeń fal - i świeciła tak jasno. Przyczyną tego było po części pacyfistyczne dziedzictwo kolonistów; teraz ludzie mogli przestać nienawidzić swych braci, którzy nosili mundury Imperatora. „Chociaż”, mruknął w myśli, „podejrzewam, że głośniejsz przemawia zwykła, zwierzęca ulga.” Zapach strachu unosił się nad tą planetą już od czasu pierwszych incydentów granicznych, a wyraźnie zgęstniał od oficjalnego rozpoczęcia wojny. Najazd Ythrian, przebijający się przez nasze zaskoczony kordony graniczne... niebo rozżarzające się na moment...

— Pokój — powiedziała Luisa. — Nie mogę w to uwierzyć.

Saracoglu zerknął na stojącą obok niego drobną postać. Luisa Carmen Cajal y Gomez nie ubrała się wesoło po przyjęciu jego zaproszenia na kolację. Jej suknia była odpowiedniej długości i wzoru, ale uszyta była z szarego aksamitu. Poza małym złotym krzyżykiem między piersiami, jej całą biżuterię stanowiło tylko kilka syntetycznych diamentów we włosach. Lśniły wśród wysoko upiętych czarnych loków niczym nocne słońca przeświecające przez przezroczystość firmamentu w górze albo niczym łyż na jej rzęsach.

Gubernator, który okrył swą krągłą figurę koronkami, falbanami, krzykliwą kamizelką w tygrysie wzory, zielonymi pumpiastymi pantalonami, śnieżnobiałymi lśniącymi pończochami i, gdzie tylko znalazł wolne miejsce, klejnotami, odważył się poklepać ją po dłoni.

— Boisz się, pani, że walki zostaną wznowione? Nie. Niemożliwe. Ythrianie nie są szaleni. Przyjmując nasze warunki rozejmu, bardziej przed sobą, niż przed nami, przyznali się do porażki. Pani ojciec powinien wkrótce wrócić do domu. Jego praca została ukończona. — Westchnął, ufając, że nie zabrzmiało to zbyt teatralnie. — Moja, oczywiście, będzie trudniejsza.

— Z powodu negocjacji? — spytała.

— Tak. Nie żebym posiadał status pełnomocnika. Jestem jednak wysoko postawionym przedstawicielem Terry, a Imperium będzie w dużym stopniu polegać na radach mojego personelu i mnie samego. W końcu ten sektor nadal będzie graniczył z Domeną i obejmie nowe planety.

Jej spojrzenie wyglądało na niepokojąco ciężkie, z tak młodych oczu.

— Stanie się pan bardzo ważnym człowiekiem, nieprawdaż, Wasza Ekszelencjo? — Jej głos brzmiał, jeśli nie lodowato, to chłodno.

Saracoglu zabrał się do skubania zwiędłych płatków fuksji. Obok niej powietrze wypełniał swym zapachem krzew cynamonowca - ythriańskiej rośliny.

— No cóż, tak — przyznał. — Nie będę pani oszukiwał, Donna, udając fałszywą skromność.

— Sektor rozrośnie się i zreorganizuje. Pewnie zostanie pan wyniesiony do godności para, może nawet do tytułu szlacheckiego. W końcu, całkiem prawdopodobnie, zostanie pan wezwany do domu i zaproponują panu stanowisko Lorda Doradcy.

— Każdemu wolno marzyć.

— Pan przyczynił się do tej wojny, gubernatorze.

Saracoglu przesunął dłonią po gołej głowie. „Dobrze”, zdecydował. „Jeśli ona nie widzi albo nie obchodzi jej, że to z jej powodu odesłałem Helgę i Georgette (z pewnością plotki o tym już do niej dotarły, choć nie powiedziała ani słowa, ani nie dała żadnego znaku), no cóż, pewnie uda mi się je odzyskać; a jeśli nie, to nie brakuje innych. Niewątpliwie ten mój konkretny sen na jawie to po prostu wieczna, głupia odmowa przyznania się sobie, że starzeję się i tyję. Życie nauczyło mnie już, jakie są najlepsze przyprawy, gdy trzeba przełknąć rozczarowanie.”

„Ale jak pięknie ona wygląda wśród kwiatów.”

— Popierałem działania, aby położyć kres złemu stanowi rzeczy, zanim stanie się gorzej — oznajmił jej. — Ythrianie nie są żadnymi świętymi męczennikami. Bronili swoich interesów tak bezwzględnie, jak pozwalały im na to ich zasoby. Ludzie ginęli, Donna, przysięgam na Terrę.

Jej wzrok wciąż wbijał się w niego.

— Mimo to musiał pan zdawać sobie sprawę z tego, jak to wpłynie na pańską karierę — powiedziała, wciąż spokojnie.

Skinął głową.

— Oczywiście. Uwierzy pani, że to wcale nie uprościło, a wręcz przeciwnie, ogromnie skomplikowało mi sprawę? Uważałem, że ta korekta granic będzie najlepszym rozwiązaniem. I tak, myślę, że mogę wykonać pracę lepszą niż przeciętna, najpierw odbudowując to miejsce, a zwłaszcza budując pojednanie z Ythri; później, jeśli będę miał szczęście, w Radzie Politycznej, gdzie będę mógł zainicjować szereg reform. Czy powinienem odłożyć tę pracę, żeby zadowolić swoje sumienie? Czy jestem niegodziwym człowiekiem, dlatego że lubię tę pracę?

Saracoglu sięgnął do kieszeni po papierośnicę.

— Być może odpowiedź na te pytania brzmi: tak — dokończył. — Jaki śmiertelnik może być tego pewien?

Luisa zrobiła dwa kroki w jego stronę. Mimo szarpnięcia serca pamiętał przez cały czas, żeby utrzymać na twarzy swój pełen żalości półuśmiech.

— Och, Ekrem... — Urwała. — Przepraszam, Wasza Ekszelencjo.

— Nie, jestem zaszczycony, Donna — powiedział.

Nie poprosiła go wprost, żeby używał jej imienia, ale uśmiechnęła się przez łzy:

— Przepraszam też za to, co zasugerowałam wcześniej. Nie miałam tego na myśli. Z pewnością bym dziś tu nie przyszła, gdybym nie poznała cię jako... porządnego człowieka.

— Ledwie śmiałem mieć nadzieję, że się zgodzisz, Luizo — powiedział jej, całkiem szczerze. — Mogłabyś świętować z ludźmi w twoim wieku.

Diamenty na jej głowie błyszczały, gdy pokręciła nią przecząco.

— Nie, nie z powodu czegoś takiego. Słyszałeś może, że kiedyś byłam zaręczona? Zginął na polu walki dwa lata temu. Nazwano to akcją prewencyjną – likwidacją plemion, które odmówiły podążenia za „radą” rezydenta Imperium... No cóż. — Złapała oddech. — Dziś wieczorem nie mogłam znaleźć słów, aby podziękować Bogu. Pokój to zbyt wielki dar, by go opisać słowami.

— Luizo, jesteś córką admirała — zauważył. — Wiesz, że pokój nigdy nie jest dany za darmo.

— Czy wojny pojawiają się niezasłużenie?

Dyskretne kasznięcie przerwało im rozmowę. Saracoglu odwrócił się. Spodziewał się, że to lokaj zapowie koktajle, a widok munduru marynarki wojennej go zirytował.

— Tak? — rzucił.

— Proszę o wybaczenie, panie gubernatorze — powiedział nerwowo oficer.

— Proszę mi wybaczyć, Luizo. — Saracoglu skłonił się nad cudownie szczupłą dłonią Luisy i poszedł za mężczyzną na korytarz.

— Co tam? — spytał.

— Kurier z naszych sił w układzie Laury, proszę pana. — Oficer zadrżał i zbladł. — Wie pan, ta graniczna planeta, Avalon.

— Wiem. — Saracoglu zebrał się w sobie.

— No cóż, panie gubernatorze, otrzymali tam wiadomość o zawieszeniu broni. Tylko, że ją odrzucają. Upierają się, że będą walczyć dalej.

XIII

Koścista, brodata twarz na ekranie, oznajmiła z nutą bliską desperacji:

— Panowie, zachowujecie się... jak szaleńcy.
— Nie jesteśmy w tym sami — odpowiedział Daniel Holm.
— Czy zatem oświadczacie, że dokonujecie secesji z Domeny? — wykrzyknął admirał Cajal.

— Nie. Chodzi nam o to, żeby w niej pozostać. Jest nam tu dobrze. Nie ma potrzeby wzywania imperialnych biurokratów.

— Ale porozumienie o zawieszeniu broni...

— Jasne, dotrzymamy obecnie obowiązującego zawieszenia broni. Avalon nie chce nikogo krzywdzić.

Wargi Cajala zeszywniały.

— Nie możecie wybierać sobie dogodnych dla was klauzul porozumienia. Wasz rząd ogłosił, że Imperium może okupować ten system do czasu ostatecznego zawarcia pokoju.

Liaw z The Tarns skierował swą błyszczącą od lodu głowę w stronę skanera, który przesyłał jego obraz do biura Holma i dalej do orbitującego statku wojennego Cajala.

— Ythriańskie uregulowania są inne niż terrańskie — powiedział. — Planety Domeny są powiązane ze sobą głównie przysięgami wzajemnej wierności. To, że nasi towarzysze nie są nam już w stanie pomóc, nie daje im prawa do nakazywania nam zaprzestania naszej obrony. Wręcz na odwrót, duma aż do śmierci wymaga, abyśmy kontynuowali walkę o możliwość wysłania każdej pomocy, jaką możemy zaoferować im.

Cajal uniósł pięść, tak by była widoczna na przekazywanym obrazie.

— Panowie — wychrypiał — zdaje się, że uważacie, iż wróciła era Kłopotów, a wasi przeciwnicy to jacyś barbarzyńcy, którzy utracą swój cel oraz organizację, i znikną, jeśli na jakiś czas utkną w martwym punkcie. Prawda jest taka, że walczyście z Imperialną Terrą, która myśli w kategoriach wieków i panuje nad tysiącami planet. Nie znaczy to, że aż takie zasoby czasu i potęgi trzeba poświęcać na was. Praktycznie wszystkie siły, które zniszczyły Domenę, mogą teraz zostać skierowane na wasz jeden glob. I tak się stanie, panowie. Jeśli zmusicie nas do tego, tak się stanie.

Jego oczy ciskały ogień w ich stronę.

— Macie silne instalacje obronne — stwierdził — ale musicie zrozumieć, że mogą one zostać przełamane siłą. Opór nie przyniesie wam niczego poza zniszczeniem waszych domów, śmiercią tysięcy istot żywych, a może nawet milionów. Czy skonsultowaliście się z nimi?

— Tak — odpowiedział Liaw. — Pomiędzy wieściami o kapitulacji Ythri a waszym przybyciem, Khruath i Parlament ponownie głosowały. Większość opowiada się za dalszą obroną.

— Jaka duża większość, tym razem? — spytał przenikliwie Cajal. Zobaczył, że pióra jego rozmówców poruszają się, a mięśnie na twarzach drgają, i skinął głową. — Nie podoba mi się pomysł wojny z potencjalnie cennymi poddanymi Jego Cesarskiej Mości — powiedział — a już na pewno nie z kobietami i dziećmi.

Holm przełknął ślinę.

— Eee, panie admirale. A może... dałoby się ewakuować wszystkich, którzy nie powinni lub nie chcą tutaj pozostać... zanim ponownie podejmiemy walkę?

Cajal siedział bez ruchu. Rysy jego twarzy stężały. Kiedy przemówił, czuł, jakby bolało go gardło.

— Nie. Nie mogę pomóc wrogowi w pozbyciu się ciężaru.

— Czy jest pan zobowiązany do wznowienia wojny? — spytał Liaw. — Czy zawieszenie broni nie może potrwać do czasu podpisania traktatu pokojowego?

— Jeśli ten traktat odda Avalon Imperium, czy będziecie posłuszni? — odparł Cajal.

— Być może.

— To niedopuszczalne. Najlepiej natychmiast zakończyć tę sprawę. — Cajal zawahał się. — Oczywiście, uporządkowanie spraw w innych miejscach i sprowadzenie floty tutaj zajmie trochę czasu. Zawieszenie broni de jure zakończy się, gdy mój statek powróci na uzgodnioną odległość. Ale oczywiście wojna pozostanie w obecnym status quo, łącznie z faktycznym zawieszeniem broni w odniesieniu do Avalonu i Morgany, jeszcze przez pewien krótki czas. Porozmawiam z gubernatorem Saracoglu. Błagam pana i wszystkich Avalończyków, abyście również naradzili się między sobą i wykorzystali ten czas na podjęcie jedynej mądrej decyzji. Jeśli będziecie mieli dla nas jakieś wiadomości, wystarczy, że nadacie prośbę o negocjacje. Im szybciej się to stanie, tym łagodniejszego - i bardziej honorowego - traktowania możecie się spodziewać.

— Przyjęte — powiedział Liaw. Nastąpiły rytualne uprzejmości, a ekran, na którym widniał Cajal, zgasł.

Holm i Liaw wymienili spojrzenia, pomimo dzielących ich kilometrów. Na tyłach biura człowieka, Arinnian poruszył się niespokojnie.

— On mówi poważnie — powiedział Holm.

— Jak trafna jest jego ocena względnych możliwości? — spytał Wyvan.

— Całkiem dobra. Nie dalibyśmy rady odeprzeć pełnego ataku na wyniszczenie. Biorąc pod uwagę liczbę statków, jakie ma do dyspozycji, podczas bombardowania, wiele ładunków z pewnością przebiłoby się przez nasze siły przechwytyjące. Wszystko zależy od niechęci Imperium do zniszczenia tak wielkiego pierwszorzędного majątku... i, tak, od osobistej niechęci tego człowieka do masowego zabójstwa.

— Mówiłeś mi wcześniej, że masz plan.

— Mój syn i ja nad nim pracujemy. Jeśli będą jakiekolwiek widoki na sukces, ty i inni właściwi ludzie dowiedziecie się o tym. Tymczasem, jak sądzę, jesteście równie zajęty jak ja. Pomyślnych wiatrów, Liaw.

— Wysokich lotów, Danielu Holm. — I ekran zgasł.

Strażnik Marchii zapalił cygaro i siedział marszcząc czoło, aż wreszcie wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz panował pogodny, zimowy dzień. Gray nie otrzymywał opadów śniegu równych tym w górach, czy też na północnych terytoriach, a susin przez cały rok pozostawał zielony na swych wzgórzach. Lecz szalały tutaj, zimne i niczym nie powstrzymywane wichry, białe grzywy fal tańczyły na spiżowej zatoce, płaszcze chodzących ludzi powiewały wokół nich i łopotały, Ythrianie w górze śmigali w zmiennych strumieniach powietrza.

Arinnian dołączył do niego, ale musiał zwilżyć usta, zanim zdołał się odezwać.

— Tato, czy mamy szansę?

— No cóż, nie mamy wyboru — odparł Holm.

— Mamy. Możemy przełknąć naszą cholerną dumę i powiedzieć ludziom, że wojna jest przegrana.

— Zastąpią nas innymi, Chris. Wiesz o tym. Ythri mogła się poddać, bo Ythri nie ma zostać oddana wrogowi. Inne kolonie mogą zaakceptować okupację, bo dla wszystkich jest oczywiste, że nie byłyby w stanie teraz pokonać chorego kociaka. Różnimy się od nich wszystkich pod obydwoma względami. — Holm mrużąc oczy, popatrzył na syna przez kłęby gęstego, błękitnego dymu. — Nie wystraszyłeś się, prawda?

— Nie o siebie, jak mam nadzieję. O Avalon - cała ta gadanina o wolności, którą wszędzie słyszeć. Jaką wolność mają trupy na wypalonej pustyni?

— Ale my nie przygotowujemy się na zagładę — zauważył Holm. — Przygotowujemy się na ryzyko zagłady, a to już zupełnie inna sprawa. Chodzi o to, żeby stać się dla naszych przeciwników zbyt kosztownym nabytkiem.

— Gdyby Avalon przeszedł do Imperium, a nam nie odpowiadałyby warunki, zawsze moglibyśmy wyemigrować gdzieś do Dominium.

Palec Strażnika Marchii zakreślił palcem łuk przed oknem.

— A gdzie znaleźlibyśmy partnera do takiego przedsięwzięcia? I co by zostało z tego wyjątkowego społeczeństwa, które nasi przodkowie i my sami zbudowaliśmy? — Zaciągnął się na chwilę dymem z cygara, po czym zaczął rozmyślać na głos: — Czytałem kiedyś książkę o historii kolonizacji. Autor poruszył interesującą kwestię. Stwierdził, że większość powierzchni nowej planety musi być pozostawiona pod okrywą roślinną, roślinnością korzeniową, fitoplanktonem i wszystkim innym, co się tam znajduje. Jest to niezbędne do utrzymania atmosfery. A te rośliny są częścią ekosystemu, więc trzeba też wyhodować wiele zwierząt, bakterie glebowe i tak dalej. No cóż, dopóki trzeba utrzymywać biosferę, tańsze - łatwiejsze, bardziej produktywnie - jest sprawienie, aby to ona dostarczała większości pożywienia i tym podobnych rzeczy, niż wszystko to syntetyzować. Dlatego koloniści na planetach lądowych to prawie zawsze rolnicy, hodowcy, leśnicy i tak dalej, a także górnicy i wytwórcy.

— I co z tego? — spytał w odpowiedzi jego syn.

— To z tego, że w swój świat wrasta się pokolenie po pokoleniu. To nie mury i maszyny są najważniejsze, lecz żywa natura, drzewo, na które człowiek się wspinał kiedy był mały, i pole, które wykarczował jego dziadek, i ten szczyt wzgórza, gdzie pocałował swoją pierwszą dziewczynę. Opiewali to poeci tego świata, malowali jego artyści, wydarzyła się na nim cała jego historia, przodkowie naszego hipotetycznego człowieka zwracali swoje kości ziemi tego świata i on też to robi, on też. Człowiek jest jego częścią. Nie można oddać go dobrowolnie, tak jak nie można wyrwać sobie serca z piersi.

Holm ponownie popatrzył na syna.

— Myślę, że czujesz to mocniej niż ja, Arinnianie — powiedział. — Co więc się z tobą dzieje?

— To ten człowiek — mruknął jego rozmówca. — Nie rzucał straszliwych grózb, lecz ostrzegał, błagał. To mnie poruszyło. Przed oczyma stanęliście mi... matka, dzieci, ty, moi choth-bracia...

„Eyath. Hrrill. Hrrill, która jest jednocześnie Tabithą. Przez te tygodnie, które razem przepracowaliśmy, ona, Eyath i ja... Trzy dni temu leciałem razem z nimi, na inspekcję podwodnej bazy pocisków rakietowych. Lśniące brązowe skrzydła, rozwiane jasne włosy; złote oczy, zielone oczy; twardy wyrostek kości mostka, ciężkie krągłości piersi... Ona jest czysta. Wiem, że jest. Wymyślam zbyt wiele wymówek, żeby się z nią zobaczyć, być z nią. Ale to ten cholerny, wygadany Terranin, którego trzyma w swoim domu, z tym swoim lśniącym, kosmopolitycznym urokiem, słyszy jej ochrypy śmiech częściej niż ja.”

— Daj im ich dumę do śmierci — odparł Holm.

„Eyath raczej umrze, zanim się podda.” Arinnian wyprostował ramiona.

— Tak. Oczywiście, tato.

Holm uśmiechnął się lekko.

— W końcu — zauważył — masz pierwszy załączek tej baaardzo intrygującej idei, którą musimy omówić.

— Właściwie to... nie było to dla mnie całkowicie oryginalne. Rozmawiałem z, hm, Tabithą Falkayn, znasz ją? Rzuciła tę uwagę pół żartem, pół serio. Myśląc o tym później, zastanawiałem się, czy...

— Hm. Wygląda na niezłą dziewczynę. Zwłaszcza jeśli nawet w takich czasach potrafi zachować pogodę ducha. — Holm najwyraźniej zauważył intensywność jego spojrzenia, bo szybko odwrócił głowę i powiedział: — Bierzmy się do roboty. Najpierw zobaczmy projekcję mapy, co?

Łatwo było odgadnąć jego myśli. Zdradzał je radosny ton, zmarszczki wokół oczu. No, no. Chris w końcu spotkał kobietę, która nie jest dla niego tylko maszynką do seksu albo ythriańską towarzyszką. Czy odważy się już powiedzieć o tym Ro? — na razie odważy się powiedzieć jej, że znów mamy z powrotem naszego syna.

W okolicach St. Li zima oznaczała deszcze. Lały one, huczały, obmywały i pieściły, dobrze było wyjść na nie bez ubrania, a kiedy na chwilę ich krople znikwały, pozostawiały za sobą tęcze.

Mimo to dużo czasu spędzało się w domu, rozmawiając lub słuchając muzyki. Pogodnego wieczoru nie można było jednak zmarnować.

Tabitha i Rochefort spacerowali po plaży. Ich palce były splecione. Ponieważ powietrze było łagodne, Rochefort miał na sobie jedynie kilt i sztylet, ofiarowane mu przez nią, i dlatego podobne do jej ubioru.

Morgana w pełni wyłaniała się z wód na wschodzie. Jej niemal nieskazitelna tarcza oślepiała bielą, tak że gwiazdy, które można było dostrzec na niebie, wydawały się małe i słabe. Blask ten rozlewał się drżącą taflą od horyzontu do najdalszych fal, których wierzchołki wyglądały jak zwieńczone bladym płomieniem; pod jej światłem jarzyły się również wydmy; szczyty drzew, tworzących ścianę cienia po lewej stronie, zdawały się jakby pokryte szronem. Nie było wiatru, a fale przyboju huczały jednostajnie w głąb ładu, niczym bicie serca. Zapach liści i ziemi przytłaczał oddech morza. Piasek oddawał ciepło dnia i lekko chrzęścił, zmysłowo dopasowując się do bosych stóp.

Rochefort stwierdził z bólem:

— I to wszystko ma ulec zniszczeniu? Ma zostać wypalone, zatrute, rozdarte na strzępy? I ty także!

— Przyjmujemy, że nic takiego się nie wydarzy — odparła Tabitha.

— Mówię ci: ja wiem, co się wydarzy.

— Czy wróg na pewno zdecyduje się na bombardowanie?

— Nie żeby tego chciał. Ale jeśli wy, Awalończycy, w swojej szalonej arogancji, nie pozostawicie żadnej alternatywy... — Rochefort urwał. — Wybacz mi. Nie powinienem tak mówić. Po prostu wieści są zbyt dotkliwe.

Zacisnęła dłoń na jego dłoni.

— Rozumiem, Phil. Ty nie jesteś naszym wrogiem.

— Co złego jest w dołączeniu do Imperium? — Machnął ręką w stronę nieba. — Spójrz. Słońce za słońcem. Wszystkie mogłyby być twoje.

Westchnęła.

— Chciałabym...

Słuchała z absolutnym zachwytem jego opowieści o tych niezliczonych planetach.

Nagle uśmiechnęła się, niczym rozbłysk w księżycowej poświacie, która ją otulała.

— Nie, nie będę tego chciała — oznajmiła. — Będę cię trzymać za słowo, że dotrzymasz obietnic i gdy tylko nastanie pokój pokażesz mi Terrę, Anse, Hopewell, Cynthię, Wodena, Diomedesa, Vixen, wszystkie najnowsze cuda, którymi mnie raczyłeś.

— Jeśli będziemy jeszcze mogli to zrobić.

— Będziemy. Ta noc jest zbyt piękna, żeby wierzyć w cokolwiek innego.

— Obawiam się, że nie jestem w stanie dzielić twojego ythriańskiego nastawienia — powiedział powoli. — A to też boli.

— Nie jesteś w stanie? To znaczy, wiem że jesteś odważnym człowiekiem, wiem, i wiem również, że potrafisz cieszyć się życiem takim, jakie jest. — Jej głos i rzęsy opadły. — Na tyle, na ile potrafisz.

Wstrzymał kroku, obrócił się i chwycił ją za drugą dłoń. Stali, spoglądając na siebie bez słowa.

— Spróbuję — powiedział — z twojego powodu. Pomożesz mi?

— Pomogę ci we wszystkim, Phil — odpowiedziała.

Całowali się już wcześniej, najpierw żartobliwie, kiedy poczuli swobodę panującą między nimi, ostatnio bardziej intensywnie. Dziś wieczorem nie powstrzymała jego dłoni ani swoich.

— Phil i Hrill — wyszeptała w końcu, przytulona do niego. — Phil i Hrill. Kochanie, znam pewien cypel, kilka kilometrów dalej. Osłaniają go drzewa, ale widać między nimi księżyc i wodę, a trawa jest gęsta i miękka, ziemska trawa...

Ruszył za nią, ledwo pojmując swoje szczęście.

Roześmiała się, z głębi piersi.

— Tak, to planowałam — zawołała. — Od wielu dni wypatrywałam swojej szansy. Nie masz nic przeciwko temu, że cię uwiodę? Być może pozostało nam naprawdę niewiele czasu.

— Całe życie z tobą, to za mało — głos mu się załamał.

— Teraz to ty musisz pomóc mnie, mój ukochany, mój jedyny — powiedziała mu. — Jesteś moim pierwszym. Zawsze czekałam na ciebie.

XIV

Arinnian zawołał z ziemi Eyath.

— Hoy-ah! Chodź na dół i wejdź do środka. — Uśmiechnął się szeroko, dodając w Anglicu: — My, Ważni Dyrektorzy, nie możemy zbijać bąków.

Zatoczyła jeszcze jeden krąg. Słońce zza pleców nadało jej skrzydłom brązowy kolor, obramowany złocistą mgiełką. „Tak lecąc ponad tą żelbetonową pustynią mogłaby być samym słońcem”, pomyślał, „albo wiatrem, albo wszystkim, co dzikie i piękne.” Potem śmignęła w stronę flittera, zahamowała w wirze powietrza i stanęła przed nim.

Jej wzrok padł na pojazd w kształcie torpedy wznoszący się za jego plecami.

— Czy musimy tym lecieć? — spytała.

— Skoro musimy przemierzyć pół planety, to tak — odpowiedział. — Przekonasz się, że to nic takiego. Zwłaszcza że skoki nie zajmują dużo czasu. Mniej niż godzina do St. Li. — „Do Tabby.” — Chodź, podaj mi rękę.

Posłuchała. Palce, których szpony mogłyby go obedrzeć ze skóry, były smukłe i ciepłe, spoczywając ufnie w jego dłoni. Poprowadził ją w górę po trapie. Oczywiście, już wcześniej często latała pojazdami, ale zawsze były to samochody powietrzne – delikatne i powolne, tak by ich kabiny mogły być budowane z witrażowych baniek.

— To problem, z którym będą musiały zmierzyć się choć takie jak Stormgate, których członkami są głównie łowcy — powiedział. — Klaustrofobia. Zbyt mocno ograniczasz swoje możliwości podróżowania, upierając się przy tym, by otaczała cię cienka przezroczysta osłonka.

Uniosła głowę.

— Jeśli Vodan jest w stanie znieść jeszcze gorsze warunki, to wstyd mi, że się zawahałam, Arinnianie.

— Właściwie, to miałem nadzieję, że polecisz aby zobaczyć to samo, co Vodan. Uwielbia kosmos, nieprawdaż?

— T-tak. Mówił mi to. Nie chodzi mu o to, by robić w nim karierę, ale po wojnie chcemy móc odwiedzać inne planety.

— Spróbujmy przekonać cię dzisiaj, że taka podróż, a także jej cel, są czymś wyjątkowym... H-m-m, wiesz, Eyath, dwie podobne pary podróżujące razem... No dobrze. Bierzmy się do roboty.

Pomógł jej wejść na fotel drugiego pilota, choć była jego pasażerką.

— Normalnie nie byłoby takiej potrzeby — wyjaśnił. — Flitter jest przystosowany do lotów w kosmosie - można by z łatwością dotrzeć nim na Morganę, a w razie potrzeby nawet do co bliższych planet - więc wyposażony jest w pola anty-przyśpieszeniowe, oprócz tych zapewniających wewnętrzną grawitację w stanie nieważkości. Ale będziemy lecieć wysoko, na skraju atmosfery, żeby nie wywoływać

gromów dźwiękowych. I chociaż na razie w sprawach wojny nie dzieje się nic szczególnego, a nad nami rozpościerać się będzie korona fortów orbitalnych, to jednak...

Przesunęła swym grzebieniem po jego ramieniu.

— Oczywiście, Arinnianinie — szepnęła.

Przypiął się, sprawdził przyrządy, otrzymał zezwolenie i wzbił się w powietrze. Początkowe etapy lotu odbyły z wykorzystaniem zdalnego sterowania, aby ominąć taniec negagrawitacyjnych emisji, które strzegły portu kosmicznego. Dalej wznosił się tak szybko, jak tylko pozwalały na to przepisy, aż wreszcie w górnych warstwach stratosfery przyśpieszył lot swojej łodzi z energią obliczoną na zminimalizowanie czasu podróży.

— O-o-o-o — westchnęła Eyath.

Lecieli spokojnie. Ekrany pokazywały widoki w kilku kierunkach. W dole Avalon zmienił się w ocean srebra. Wokół nich roztaczał się purpurowy zmierzch, słońce, księżyc, kilka gwiazd: bezkres, zimny i spokojny.

— Musiałaś przecież widzieć zdjęcia — powiedział Arinnian.

— Tak. To nie to samo. — Eyath chwyciła go za ramię. — Dziękuję, drogi wietrzny bracie.

„I zmierzamy do Tabby, aby rozmawiać o planie bitwy, która może się powieść, która będzie wymagała naszej współpracy. Jak śmiem czuć takie szczęście?”

Lecieli dalej w ythriańskim milczeniu, które bywało o wiele bardziej towarzyskie niż ludzkie paplanie. Miejsce do którego zmierzali otulone było kotarą mgły; lecz kiedy przebili się przez chmury oparów, niebo zrobiło się perłowszare, woda nabrała koloru indygo, a wyspa łagodnej zieleni. Lądowisko było małe, wykute w zboczu góry, kilka kilometrów od posiadłości, w której mieszkała Tabitha. Kiedy Chris zapowiedział swój przylot, obiecała się z nim spotkać.

Wypiął się z uprząży, lekko drżącymi palcami. Nie zatrzymując się, by pomóc Eyath, pośpieszył do śluzy powietrznej. Właz się otworzył i wysunął się pomost. Lekki wiatr rozwiał mu włosy - ciepły, wilgotny, pachnący janie, którą obsadzone były okoliczne pola. Tabitha stała w pobliżu statku, machając do niego.

To znaczy, machała lewą ręką. Jej prawica ścisnęła dłoń Terranina.

Po pół minucie zawołała:

— Masz zamiar tak stać przez cały dzień, Chris?

Zszedł po trapie na dół. Stojąca przed nim para puściła swoje ręce i oboje wyciągnęli dłonie, w ludzkim przywitaniu. W międzyczasie jej stopa pieściła stopę Rocheforta. Nie miała na sobie niczego, poza paroma obrazkami namalowanymi na ciele. Wśród nich znalazł się radosny banalny symbol serca przebitego strzałą.

Arinnian skłonił się.

— Mamy pilną sprawę do omówienia — oznajmił w Planha. — Lepiej będzie, jeśli polecimy prosto do domu Drauna.

Okazało się, że partner i przełożony Tabithy czekał w jej domu.

— U mnie jest za dużo dzieciaków i służby — burknął. — Tajemnica musi być ważna, bo inaczej byś po prostu zadzwonił - choć widuję cię i tak cholernie często.

— U mnie oni zawsze są mile widzianymi gośćmi — oznajmiła sztywno kobieta.

Arinnian zastanawiał się, czy napięcie, jakie wyczuwał, pochodziło z otaczającej go atmosfery, czy z jego skłonnego do samotności umysłu. Draun, chudy, pokryty bliznami, nie nastroszył piór; siedział jednak na ogonie i alatanach w sposób sugerujący ponury nastrój, i bez przerwy głaskał sztylet, który nosił u pasa. Spojrzenie Tabithy zdawało się skupiać na Rocheforcie w mniej maślany sposób niż na dworze, a bardziej w poszukiwaniu oparcia.

Rozglądając się dokoła, Arinnian stwierdził, że salon niewiele się zmienił. Dotychczas mu się tu podobało. Ona sama zaprojektowała ten dom. Sufit, zrobiony z fluorpanelu, był niski jak na ythriańskie standardy, co nadawało całości pewnej harmonii. Kilka mat z susinu leżało na polerowanej dębowej podłodze, między dużymi, przeszklonymi ścianami z miedzianego drewna, na matach rozstawione było kilka sof, stolików i kamiennych urn pełnych kwiatów. Choć wszystko było tu wysprzątane na połysk, dokoła porozrzucanych było parę jej zwykłych, domowych rzeczy: tu stojak na fajki i słoik na tytoń, tam książka, jeszcze w innym miejscu model statku, który właśnie budowała.

Dziś jednak dostrzegł jeszcze książki informujące przybysza o Avalonie i gitarę, którą musiała ostatnio zamówić dla Terranina, bo ona sama nie grała na tym instrumencie. Zasłona w drzwiach do jej sypialni nie była zaciągnięta; Arinnian dostrzegł nowe, dwuskrzydłowe łóżko z drewniano-skórzaną ramą.

Dotknęło go skrzydło Eyath. Nie lubiła Drauna. Poczuł ciepło, które od niej emanowało.

— Tak — potwierdził. — Musimy utrzymać tę sprawę w kompletnej tajemnicy. — Jego wzrok powędrował w stronę Rocheforta. — Rozumiem, że studiujesz Planha. Na jakim etapie jesteś?

Uśmiech Terranina był dziwnie nieśmiały jak na wroga spoza planety, który oczarował dziewczynę o imieniu Hril.

— Niezbyt zaawansowanym — przyznał. — Mógłbym spróbować powiedzieć parę słów, ale mój akcent wydałby ci się naprawdę okropny.

— Idzie mu cholernie dobrze — powiedziała Tabitha i przytuliła się do Terranina.

Rochefort, obejmując ją w talii, oznajmił:

— Nie mam szans, na przekazanie twoich planów mojej stronie, jeśli to cię martwi, Obywatelu... eee, to znaczy Christopherze Holmie. Ale lepiej będzie, jeśli jasno przedstawię swoje stanowisko. Imperium to moja ojczyzna. Kiedy przyjąłem patent oficerski, złożyłem przysięgę i teraz nie ma możliwości abym z niej zrezygnował.

— Dobrze powiedziane — odparła mu Eyath. — Mój narzeczony określiłby to zupełnie tak samo.

— A cóż znaczy honor dla Terranina? — prychnął Draun.

Tabitha obrzuciła go wściekłym spojrzeniem. Zanim zdążyła się odezwać, Rochefort, który najwyraźniej nie nadążał za nimi w Planha, zaczął mówić dalej:

— Jak widzicie, spodziewam się... że po wojnie będę mógł osiedlić się na Avalonie. Niezależnie od tego, jak się ona potoczy. Ale wierzę, że może ona pójść tylko w jedną stronę. Christopherze Holm, poza tym, że zakochałem się w tej kobiecie, zakochałem się w jej planecie. Czy zdołałbym cię namówić, żebyś rozważył zaakceptowanie nieuniknionego, zanim na Tabby i na Avalon spadnie straszliwa groza?

— Nie — odpowiedział Arinnian.

— Nie sądziłem, że to się uda — westchnął Rochefort. — No dobrze, pójdę sobie na spacer. Czy godzina wystarczy?

— O tak — powiedziała Eyath w Anglicu.

Rochefort uśmiechnął się.

— Kocham cały twój lud.

Eyath szturchnęła Arinniana.

— Potrzebujesz mnie? — spytała. — Masz zamiar wyjaśnić ogólną ideę. Słyszałam już to. — Wydała z siebie tryl, charakterystyczny wyłącznie dla avalońskiego dialektu Planha - chichot. — Wiesz, jak żony uciekają przed gadaniną mężów.

— Hm? — stwierdził. — A co będziesz robić?

— Powłóczę się z Ph... Phee-leep-em Hroash For Tem. On był tam, gdzie jest Vodan.

„Ty też?”, pomyślał Arinnian.

— No i, on jest partnerem Hriil, naszej przyjaciółki — dodała Eyath.

— Idź, jeśli masz ochotę — odparł Arinnian.

— A więc, za godzinę.

Pazury zastukały, pióra zaszeleściły, gdy Eyath przechodziła po podłodze w stronę Terranina. Uniosła dłoń i pochwyciła go za rękę.

— Chodź; mamy sobie wiele do opowiedzenia — powiedziała śpiewnym Anglicem.

Rochefort znów się uśmiechnął, musnął ustami usta Tabithy i poprowadził Ythriankę. Zapadła cisza, przerywana jedynie szumem drzew na dworze. Arinnian stał bez ruchu. Draun skrzywił się z niesmakiem. Tabitha odszukała swoje fajki, wybrała jedną i zaczęła ją napychać tytoniem. Zajęła się tym zadaniem z ogromną uwagą.

— Nie moja wina — rzucił Draun. — Przepołowiłbym go, tak samo jak jego łysego towarzysza, gdyby Hriil się nie sprzeciwiła. Wiesz, że nie pozwoliła mi zrobić kielicha z czaszki tamtego drugiego Terranina?

Tabitha zeszywniała.

— No cóż, powiedz mi, kiedy znudzi ci się to jego obskakiwanie — kontynuował Draun. — Rozpruję mu brzuch na ołtarzu Illariana.

Odwróciła się, by stanąć z nim twarzą w twarz. Blizna na jej policzku odznaczała się niczym wystająca kość.

— Czy prosisz mnie, żebyśmy zakończyli nasze partnerstwo? — wyrwało jej się. — A może, żebyś cię wyzwala?

— Tabitha Falkayn może sama decydować o swoim życiu, Draun — oznajmił Arinnian.

— Ar-r-rkh, być może powiedziałem coś, czego nie powinienem — warknął drugi z mężczyzn. Jego upierzenie nastroszyło się, a zęby błysnęły. — Ale jak długo mamy siedzieć w tej klatce z terrańskich statków?

— Dopóki będzie trzeba — warknęła Tabitha, wciąż blada i drżąca. — Chcesz ruszyć do ataku i zginąć na próżno, bezmyślnie jak jakiś bohater durnej sagi? Albo zaprosić główce, które rozpalą burzę ognia na całym kontynencie?

— A czemu nie? W końcu wszyscy i tak umrą. — Draun uśmiechnął się szeroko. — Jakież to byłby wspaniały pokaz pirotechniki, w którym byśmy odeszli! Lepiej byłoby cisnąć Terrę w wicher piekielnego ognia; ale skoro nie jesteśmy w stanie tego zrobić, niestety...

— Wolałabym przegrać wojnę, niż zabić planetę, jakąkolwiek planetę — stwierdziła Tabitha. — A już zwłaszcza, jeśli żyją na niej żywe istoty. I wolałabym utracić tę planetę, niż patrzeć, jak ginie. — Podniosła głos i spojrzała prosto na Ythrianina. — Twój problem polega na tym, że Stara Wiara wzmacnia w tobie żądze zabijania, które rozbudziła w tobie wojna — a ty nie masz możliwości, aby je zaspokoić.

Wyraz twarzy Drauna mówił wyraźnie: „Może. Ale przynajmniej nie bratam się z wrogiem”. Milczał jednak, a Tabitha postanowiła nie zwracać na niego uwagi. Zamiast tego zwróciła się do Arinniana.

— Czy potrafisz jakoś zmienić obecną sytuację? — spytała. Jej uśmiech wyglądał niemal na uległy.

Nie odwzajemnił go.

— Tak — odparł. — Pozwólcie, że wyjaśnię, o co nam chodzi.

Ponieważ ornitoidzi nie lubili pokonywać dużych odległości na piechotę, a w locie dłuższa rozmowa była niemożliwa, Eyath najpierw zaprowadziła Rocheforta do stajni. Po wielokrotnych wizytach w ostatnich tygodniach, знаła drogę. Trzymano tam kilka zirraukhów i konia dla Tabithy. Te pierwsze były mniejsze od ziemskiego wierzchowca i przypominały go jedynie ogólnie, jako stałocieplne czworonogi — chociaż, ściśle rzecz biorąc, nie były nawet ssakami — ale służyły identycznym celom.

— Czy potrafisz oporządzić swojego zwierzaka? — spytała.

— Tak, mieszkam tu już od pewnego czasu. Wcześniej nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział konia, poza zoo. — Jego uśmiech był niepewny. — Yyy, czy nie powinniśmy byli zapytać o pozwolenie?

— Po co? Członkowie choć powinni wychodzić naprzeciw zwyczajom swoich gości, a w Stormgate nie trzeba prosić o pożyczanie, gdy jest się wśród przyjaciół.

— Jakże bardzo bym chciał, żebyśmy nimi naprawdę byli.

Oparła się dłonią o boks, żeby wyciągnąć skrzydło i delikatnie musnąć go piórami po policzku.

Osiodłali konia i ruszyli obok siebie ścieżką przez gaje. Liście drzew szeleściły na morskiej bryzie, zabarwione srebrzyście w tym czystym,

pozbawionym cienia światła. Kopyta stukały o podłogę, ale w wilgotnym powietrzu kurz nie wzbijał się wysoko.

— Jesteś bardzo uprzejma, Eyath — powiedział w końcu niezręcznie Rochefort. — Wielu tutejszych ludzi jest. Obawiam się, że więcej niż spotkałby nieludzki jeniec wojenny na ludzkiej planecie.

Eyath szukała odpowiednich słów. Używała Anglica, zarówno z powodów praktycznych, jak i grzecznościowych. Lecz jej problemem było odnalezienie właściwych pojęć. Jedyne słowa, które przychodziły jej do głowy, wydawały się być zwykłą tautologią:

— Nie trzeba nienawidzić, żeby walczyć.

— To pomaga. Przynajmniej jeśli jest się człowiekiem — stwierdził ironicznie. — A ten Draun...

— Och, on cię nie nienawidzi. On zawsze taki jest. Czuję... litość?... dla jego żony. Nie, nie litość. To by znaczyło, że uważam ją za gorszą, nieprawdaż? A ona to znosi.

— Dlaczego z nim zostaje?

— Dzieci, oczywiście. I może nie jest nieszczęśliwa. Draun musi mieć swoje dobre strony, skoro utrzymuje Hrill jako partnera. Mimo to, ja będę miała o wiele więcej szczęścia w małżeństwie.

— Hrill... — Rochefort pokręcił głową. — Obawiam się, że zasłużyłem na nienawiść tego twojego, hm, brata, Christophera Holma.

Eyath zaświergotała.

— Wyraźnie widać, że jesteś w miejscu, w którym on szczególnie chciałby się znaleźć. Krwawi, więc słyszysz kapiącą krew.

— Nie masz nic przeciwko temu? Zważywszy na to, jak blisko jesteście?

— No cóż, nie patrzę z przyjemnością na jego ból. Ale on da sobie z nim radę. Poza tym zastanawiałam się, czy ona nie związała go zbyt mocno. — „Precz stąd, dziewczyno.” Eyath popatrzyła na człowieka. — Gadamy o tym, co nas nie obchodzi. Ja chciałabym cię zapytać o gwiazdy, do których latałeś, kosmos, który przemierzyłeś, i jak to jest być wojownikiem tam, daleko stąd.

— No, nie wiem — stwierdziła Tabitha. — Brzmi to cholernie niepewnie.

— Pokaż mi fortel, który by taki nie był — odparł Arinnian. — Chodzi o to, że niezależnie od tego, czy się nam powiedzie, zmienimy warunki walki. Imperialni nie będą mieli powodu do bombardowania, a nawet dobre powody, żeby tego nie robić, i Avalon zostanie oszczędzony. — Zerknął na Drauna.

Rybak roześmiał się.

— Czy tego chcę, czy nie, akh? — spytał retorycznie. — No cóż, myślę, że każdy plan, który pozwala nam osobiście zabijać Terran, jest dobry.

— Jesteście pewni, że wylądują tam, gdzie się spodziewamy? — zastanawiała się Tabitha.

— Nie, oczywiście, że nie jesteśmy pewni — przyznał Arinnian. — Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ten obszar stał się ich

logicznym wyborem. Między innymi zorganizujemy parę dezercji. Terranie nie powinni podejrzewać, że zależy nam na ich przybyciu tutaj, bo tak naprawdę wcale nie jest aż tak trudno wydostać się z tej planety. Nasze systemy obronne nie są nastawione na obiekty wylatujące na zewnątrz.

— Hm. — Tabitha pogłaskała się po brodzie... jej duża, zgrabna dłoń na kwadratowej szczęce, pod ciężkimi ustami... — Gdybym była oficerem terrańskiego wywiadu i ktoś, kto twierdziłby, że uciekł z Avalonu, opowiedziałby mi taką historię, poddałabym go badaniu... jak się nazywa to paskudne urządzenie? – hipnosonda.

— Bez wątpienia. — Arinnian skinął nerwowo głową. — Ale to będą prawdziwi dezterzy. Mój ojciec wydzielił zespół paru sprytnych ludzi, żeby się tym zajęli. Nie znam szczegółów, ale mogę się domyślać. Mamy trochę ludzi, którzy spanikowali albo chcą, żebyśmy się poddali, bo są przekonani, że i tak przegramy. I mamy jeszcze więcej takich, którzy czują to samo, choć w mniejszym stopniu, a którym ci pierwsi zaufają. Załóżmy... no, załóżmy na przykład, że prezydent Vickery wzywa potencjalnego zdrajcę na potajemną rozmowę. Vickery wyjaśnia mu, że sam chciałby uciec, ale że otwarte działanie to dla niego polityczne samobójstwo. Jednak może pomóc, znajdując pewne osoby, które przekażą Terranom pewne sugestie. Rozumiecie? Nie mówię, że tak to zostanie zrobione – naprawdę nie wiem, na ile możemy zaufać Vickery’emu – ale szczegóły możemy zostawić ludziom mojego ojca.

— Do tego kilka wojskowych zarządzeń, które sprawią, że ta historia będzie wyglądać bardziej wiarygodnie. Dobrze, dobrze — napawał się Draun.

— Właśnie po to tutaj jestem — powiedział Arinnian. — Moja misja polega na poinformowaniu dowódców różnych oddziałów Obrony Terytorialnej i skoordynowaniu ich działań.

Wstając z krzesła, zaczął chodzić tam i z powrotem przed Tabithą, nie patrząc na nią.

— I dodatkowy kamyczek do twojego ogródka — kontynuował staccato. — Bardzo by pomogło, gdyby któryś z nich zaniósł im te same ogólne informacje.

Oddech syknął jej przez zęby. Draun przetoczył się do przodu, ze swoich alatanów, stając na palcach.

— Tak — powiedział Arinnian. — Twój drogi Philippe Rochefort. Powiedz mu, że jestem tutaj, bo martwię się o Ekwatorię. — Podał szczegóły planu. — A więc, znajdę jakieś sprawy do załatwienia na sąsiednich wyspach i polatam po nich na pasie, razem z Eyath. Nasza łódź zostanie tutaj, przez niedbałość bez straży. Pozwalasz mu swobodnie się przechadzać, prawda? Jego dalsze działania będą oczywiste.

Fajka Tabithy pękła w jej uścisku. Nie zauważyła nawet, że główka upadła na podłogę, rozrzucając popiół i węgle.

— Nie — oznajmiła.

Arinnian stwierdził, że nawet nie musi się zmuszać, aby przerwać swój wywód i popatrzeć na nią gniewnie.

— On dla ciebie więcej znaczy niż twoja planeta?

— Niech Bóg ześle pomstę na moją głowę, jeśli kiedykolwiek go wykorzystam — stwierdziła.

— No cóż, skoro jego szlachetny duch nie marzy o nadużyciu twojego zaufania, to czego się obawiasz?

— Nie pozwolę, aby mój honor stał się niegodny jego — oświadczyła Hril.

— Tego gównojada? — zadrwił Draun.

Jej wzrok powędrował ku niemu, a dłoń opadła na stojący koło niej stół, na którym leżał nóż.

Cofnął się o krok.

— Dość — mruknął.

Wszyscy poczuli ulgę, gdy cisza nagle prysła. Ktoś załomotał do drzwi. Arinnian, będący najbliżej nich, otworzył je. W wejściu stał Rochefort. Za nim stał koń oraz zirraukh. Oddychał nierówno, a krew odpłynęła mu spod ciemnej skóry.

— Miałeś jeszcze nie wracać — burknął Arinnian.

— Eyath... — zaczął Rochefort.

— Co? — Arinnian złapał go za ramiona. — Gdzie ona jest?

— Nie wiem. Ja... jechaliśmy, rozmawialiśmy... Nagle krzyknęła. Chryste, nie potrafię wyrzucić tego krzyku z głowy. I odleciała, jej skrzydła zatrzepotały, zniknęła za wierzchołkami drzew, zanim zdążyłem ją zawołać. Ja... Czekałem, aż...

Tabitha dołączyła do nich. Zaczęła odpychać Arinniana, lecz zauważyła jego postawę i to, jak jego palce wbijają się w ciało Rocheforta, i powstrzymała się.

— Phil — powiedziała spokojnie. — Kochanie, pomyśl. Musiała usłyszeć coś strasznego. Co to mogło być?

— Nie potrafię sobie wyobrazić. — Terranin skrzywił się pod uściskiem Arinniana, ale nie ruszył się z miejsca. — Prosiła mnie, żebym, no cóż, opowiedział jej o wojnie kosmicznej. O moich przeżyciach. Opowiedziałem jej o ostatniej walce przed naszym awaryjnym lądowaniem. Pamiętasz? Mówiłem ci to samo.

— Było coś, o co ja nie pytałam?

— No cóż, wspomniałem, że dostrzegłem oznaczenia na avalońskim statku, a ona zapytała, jak one wyglądały.

— I co?

— Powiedziałem jej. Nie powinienem był?

— Co to było?

— Trzy połączone gwiazdy umieszczone wzdłuż hiperbolicznej krzywej.

Arinnian puścił Rocheforta. Jego pięść uderzyła Terranina w twarz. Rochefort poleciał do tyłu i upadł na ziemię. Arinnian dobył noża, ruszył w za nim, ale opanował się. Rochefort usiadł, oszołomiony, z krwawiącymi ustami.

Tabitha uklękła obok niego.

— Nie mogłeś wiedzieć, mój drogi — wyjaśniła mu. Jej własna samokontrola była bliska załamania. — Powiedziałeś jej właśnie, że jej ukochany nie żyje.

Noc przyniosła wzmagający się wiatr. Chmury rozerwały się na poszarpane masy, których niebiesko-czarny kolor zabarwiała garbata Morgana, unosząca się pośród nich. Kilka gwiazd mrugało za mgiełką, pojawiając się i znikając z widoku. Fale młóciły się w ciemności za plażą, a drzewa szumiały równie mocno w ciemności na brzegu. Chłód sprawiał, że ludzie byli w pełni ubrani.

Rochefort i Tabitha przechadzali się po wydmach.

— Gdzie ona jest? — Jego głos brzmiał ochryple.

— Sama — odpowiedziała.

— W taką pogodę? Kiedy wielce prawdopodobne jest, że może się ona jeszcze pogorszyć? Posłuchaj, skoro Holm mógł wyruszyć na poszukiwania, to my przynajmniej...

— Oboje potrafia o siebie zadbać. — Tabitha mocniej otuliła się płaszczem. — Nie sądzę, żeby Chris naprawdę spodziewał się ją znaleźć, chyba że ona sama chce zostać odnaleziona, a to wątpliwe. Po prostu musi coś robić. I musi być z dala od nas, przez jakiś czas. Jej smutek go przytłacza. To typowe dla Ythrian, że po raz pierwszy przeżywa się żalobę w samotności.

— Święci Pańscy! Nieźle się w tym wszystkim namieszałem, co?

Stał u jej boku niczym wysoki cień. Sięgnęła przez rozcięcie na ramieniu, pomacała i odnalazła jego dłoń.

— Powtarzam ci, nie mogłaś wiedzieć — pocieszała go. — W każdym razie lepiej, że dowiedziała się tego w taki sposób, zamiast przeciągać to w nieskończoność, nie mając pewności, czy nie zginął jakąś straszną śmiercią. Teraz przynajmniej wie, że odszedł w czysty sposób, zbyt szybko, aby to poczuć, zaraz po tym, jak pokonał dzielnego wroga. — Zawahała się. — Poza tym, to nie ty go zabiłeś. Zabił go nasz atak. Można by rzec, że zrobiła to sama wojna, jak lawina albo uderzenie pioruna.

— Ta brudna wojna — warknął. — Czyż nie mamy jej jeszcze dość?

Wezbrała w niej wściekłość. Puściła go.

— Twoje cenne Imperium może ją zakończyć w każdej chwili, wiesz?

— I zakończyło, za wyjątkiem Avalonu. Po co dalej walczyć? Zmuszacie ich, żeby was bombardowali aż w końcu się poddadzą.

— Pokazując reszcie znanego kosmosu, czym jest Imperium. To może ich drogo kosztować na dłuższą metę. — Gniew Tabithy opadł. „O Phil, mój jedyny!” — Wiesz, że liczymy na to, że nie będą potworami i że zachowają odrobinę oświeconego egoizmu. Nie mówmy o tym więcej.

„Muszę. Tabby, ty i Holm... ale to oczywiście przez tego starego Holma i paru innych starców, oraz Ythrian, których nie obchodzi, ilu młodych

umiera, byle tylko oszczędzić im konieczności przyznania się do własnej głupiej, starczej samowoli...

— Przestań. Proszę.

— Nie mogę. Opracowujecie jakiś szalony nowy plan, który waszym zdaniem pozwoli waszej małej kolonii powstrzymać siły wszystkich gwiazd. Mówię ci, że nawet jeśli się to powiedzie, będzie to katastrofa. Bo to może jedynie przedłużyć walkę, zaostrić ją... Nie, nie mogę stać bezczynnie i pozwolić, żebyście to sobie zrobili.

Zatrzymała się. On zrobił to samo. Popatrzyli na siebie w niespokojnym, bladym świetle.

— Nie martw się — powiedziała. — Wiemy, co robimy.

— Naprawdę wiecie? Jaki macie plan?

— Nie mogę ci tego powiedzieć, kochanie.

— Nie — stwierdził z goryczą, — ale możesz pozwolić mi nie spać po nocach, możesz zatruć mi dni strachem o ciebie. Słuchaj, sporo wiem o wojnie. I o psychologii imperialnego dowództwa. Mogę wam całkiem dobrze pokazać, jak zareagują na wszystko, czegokolwiek spróbujecie.

Tabitha pokręciła przecząco głową. Miała nadzieję, że nie dostrzeże, jak jej zęby zagryzają wargę.

— Powiedz mi — nalegał. — Co złego mogę zrobić? A moja rada... A może nie planujecie niczego zbyt lekkomyślnego. Gdybym mógł być tego pewien...

Ledwo mogła wypowiedzieć:

— Proszę, nie pytaj. Proszę.

Położył dłonie na jej ramionach. Blask księżyca padał na jego oczy, zmieniając je w puste kałuże.

— Jeśli mnie kochasz, powiesz — oznajmił.

Stała w samym środku wiru myśli. „Nie potrafię go okłamywać. A może jednak? Nie mogę jednak również złamać przysięgi. A może jednak?”

„Co Arinnian chciał, żebym mu powiedziała...”

„Ale ja cię nie wystawiam na próbę, Phil, Phil. Ja... wybieram mniejsze zło... bo chyba nie chciałbyś, żeby twoja ukochana złamała przysięgę, prawda? Daję ci tyle krótkotrwałego szczęścia, ile mogę, kłamstwem, które nie wpłynie na twoje działanie. Potem, kiedy się dowiesz, uklęknię i poproszę cię o wybaczenie.”

Z przerażeniem usłyszała jak z jej gardła wydostają się słowa:

— Czy mamy twoje słowo honoru?

— Że nie wykorzystam tych informacji przeciwko wam? — Jego głos zamarł na ułamek sekundy. Za plecami syczały mu fale przyboju. — Tak.

— O, nie! — Wyciągnęła do niego rękę. — Wcale nie miałam na myśli...

— No cóż, masz moje słowo, kochanie.

„W takim razie...”, pomyślała. „Ale nie, nie mogłabym mu powiedzieć prawdy, zanim nie skonsultuję się z Arinnianem, który z pewnością by odmówił, a Phil i tak byłby nieszczęśliwy, z przerażeniem rozmyślając o mnie i, tak, o swoich przyjaciółach z marynarki, których honor nie pozwalałby mu ostrzec.” Zacisnęła pięści pod powiewającym płaszczem i powiedziała pośpiesznie:

— No cóż, właściwie to nic poważnego. Wiesz przecież o Ekwatorii, bezludnym kontynencie. Nie ma tam niczego poza kilkoma rozproszonymi posterunkami i szkieletową obsadą. Przeważnie siedzą w bazach, bo ta garstka ludzi, która próbuje patrolować tak duży teren, jest dosyć bezradna. Chris się tym martwił.

— Hm, tak, słyszałam jak ci o tym wspominał.

— Nakłonił ojca, by przyznał, że środki obronne są tam niewystarczające. W szczególności, po dokładnych badaniach, odkryli, że płaskowyż Scorpeluna jest całkowicie otwarty na atak. Otaczające go góry, turbulencje powietrza i tak dalej, izolują ten region. Wróg, który skoncentrowałby siły aby przebić się przez orbitalne fortece i szybko zejść ku ziemi - gdy tylko znajdzie się poniżej pułapu pięćdziesięciu kilometrów, będzie osłonięty nawet przed tymi nielicznymi wiązkami energetycznymi, które jesteśmy w stanie tam wystrzelić, i niewątpliwie poradziłby sobie również z tymi pociskami i samolotami, jakie dalibyśmy radę się wysłać tam w tym czasie. Kiedy już wyląduje, okopie się - chyba rozumiesz? Przyczółek. Chcemy wzmocnić ten obszar. To wszystko.

Przerwała. Zakreśliła jej się w głowie. „Czy ja powiedziałam to wszystko na jednym oddechu?”

— Rozumiem — odpowiedział po chwili. — Dziękuję, najdroższa.

Podeszła do niego i pocałowała go delikatnie z powodu jego zranionych ust.

Później tej nocy wiatr osłabł, chmury zebrały się ponownie, a deszcz kapał powoli, jak łzy. Do świtu ustał. Laura wzniosła się oślepiającym blaskiem z bezmiaru wód, zmierzając ku bezkresnemu błękitowi nieba, a wszystkie liście i źdźbła trawy na wyspie lśniły niczym klejnoty.

Eyath opuściła skalne osuwisko, na którym przesiadywała przez ostatnie kilka godzin, po tym, jak nie mogła już znieść trudnej pogody. Było jej zimno, była mokra, początkowo zupełnie zesztywniała. Lecz szybko poczuła w nozdrzach i szczelinach zasysających, ostre powietrze, krew się w niej przebudziła i wkrótce mięśnie zaczęły jej pulsować.

„W górę, w górę”, pomyślała, i wzbiła się w potężnych spiralach. Morze śmiało się do niej, lecz wyspa jeszcze spała, a jedynym dźwiękiem jaki do niej docierał, był szmer pędu powietrza, poruszającego jej piórami.

„W chwili swej śmierci, Vodanie, ty również zmienisz się w słońce.”

Rozpacz odpłynęła, wypalona wysiłkiem skrzydeł, wysmagana wiatrem i zmyta deszczem, tak jak on by tego od niej wymagał. Wiedziała, że rana nie zagoi się tak szybko; ale nie było to nic, czego nie byłaby w stanie opanować. Już pod warstwą bólu czuła wzbierający smutek, niczym ogień w palenisku, przy którym ogrzewała dłonie. Niech ślady tego pozostaną w niej, póki żyje; niech Vodan mieszka w jej sercu, po tym jak już zacznie zależeć jej na kimś innym i obdarzy tę późniejszą miłość blaskiem swego serca.

Zakołysała się. Z tej wysokości widziała więcej niż jedną wyspę, rozrzucone po rtęciowej krzywiźnie świata. „Nie chcę jeszcze wracać. Arinnian może na mnie poczekać do... zmierzchu?” Kipiał w niej głód.

Pochłoneła mnóstwo swej tkanki. „Błogosławione szpony, błogosławiona ta potrzeba polowania – błogosławione ryzyko, ha!”

Daleko w dole, niczym punkciki, stado pteropleuronów opuściło rafę i rozproszyło się w poszukiwaniu rybokształtnej zdobyczy, blisko powierzchni wody. Eyath wybrała swoją ofiarę, wycelowała i rzuciła się do lotu. Kiedy przykryła oczy membranami, aby je chronić, świat nieco się rozmył i przyciemnił; ale była coraz bardziej świadoma rozcinanego powietrza, które przelatywało ze świstem wokół niej; pazurów, które zaciskały się na zagięciu każdego skrzydła, ożywały przy każdej zmianie kąta lotu, prędkości i mocy.

Jej ciało wiedziało, kiedy złożyć skrzydła i zanurkować - kiedy je ponownie rozłożyć, błyskawicznie wyhamować, wystrzelić w górę - kiedy i jak jej dłonie powinny uderzyć. Nie był jej potrzebny sztylet, który miała przy sobie. Gadzi kark trzasnął od samej gwałtowności tego spotkania.

„Vodanie, jakże by ci to radowało!”

Niesione brzemie spowalniało ją nieco; nie było ciężkie, a mimo to wymagało silnych skrzydeł, aby je unieść. Usiadła na skale na morzu, rozczłonkowała mięso i zjadła. Surowe, miało łagodny, niemal nieodczuwalny smak. Fale syczały i tryskały wokół niej.

Potem poleciała w głąb lądu, teraz już powoli. Poszuka wyższych plantacji i odpocznie wśród drzew i kwiatów, w nakrapianych słońcem cieniach; później wróci w wysokie przestworza; i przez cały czas będzie rozpamiętywać Vodana. Ponieważ nie byli małżeństwem, nie mogła poprowadzić jego tańca pogrzebowego; więc dziś odda mu swój własny, ich własny.

Przeleciała nisko nad jakimś sadem. Woda, parująca pod promieniami słońca z liści i ziemi, tworzyła drobne, białe mgiełki na zieleni. Prądy wznoszącego się powietrza głaskały ją czule. Piła silne zapachy żywej ziemi przez szczeliny zasysające i płuca, aż zakręciło jej to w głowie i zaczęło śpiewać w jej krwi. „Vodanie,” marzyła, „gdybyś był tu obok mnie, odfrunęlibyśmy, tylko my we dwójkę. Znaleźlibyśmy miejsce dla ciebie, abyś okrył mnie swymi skrzydłami.”

Czuła niemalże, jakby był on u jej boku. Pulsowanie z tyłu i z góry, powietrze nagle pełne męskości. Jej umysł wirował. „Czy ja zaraz zemdleję? Lepiej wyląduję.” Zeszła nierówno w dół i twardo przyziemiła.

Dookoła rosły drzewa pomarańczowe, nie były zbyt wysokie ani nie rosły gęsto, lecz złote latarnie tajemniczo jarzyły się w głębi ich liści. Gleba była świeżo odchwaszczona i uprawiana, odsłonięta od góry. Jej brązowa miękkość otulała jej stopy, wilgotne, rozgrzane przez oślepiające ją słońce. Światło przetaczało się strumieniem, piżmo i słodczy wzbierały, rycząc jej w głowie.

Czyjeś skrzydła na chwilę przesłoniły Laurę. Ktoś inny obniżał lot. Poznała Drauna.

Jego grzebień stał sztywno. Każde pióro wokół uśmiechniętych ust mówiło: „Miałem nadzieję, że znajdę cię w takim stanie, po tym, co się stało.”

— Nie — jęknęła i rozłożyła skrzydła do lotu.

Draun sunął sztywno po ziemi, szeroko rozkładając ramiona i zakrzywione palce.

— Piękna, piękna — zaskrzeczał. — Khr-r-r-r.

Jej skrzydła zatrzepotały. Napływ powietrza przyniósł siłę, ale nie dla jej. To była inna siła, która wstrząsnęła nią tak, jak mogłaby jakąś wstrząsnąć ofiarą łowów.

— Vodanie! — krzyknęła i jakimś cudem oderwała się od wirującej ziemi. Start był powolny i niezdarny. Draun wyciągnął rękę, zaczepił pazurami o jej alatan; potoczyli się razem po ziemi.

Zaczęła drapać go po twarzy i sięgnęła po nóż. Złapał ją za oba nadgarstki i przyciągnął do siebie.

— Naprawdę tego nie chcesz, ty, kobieta — jego oddech owiał jej ucho. — A teraz?

Objął ją ramionami za szyję i sam ją przytulił. Rozpostarł skrzydła, ponownie przesłaniając słońce, zanim ich pióra zakryły jej oczy.

Jej uścisk trzymał ją mocno, jej skrzydła zwinęły się pod naporem jego. Zacisnęła powieki tak mocno, że ciemność wypełniła się tańczącymi, bezkształtnymi światłami. „Vodanie”, przemknęło jej gdzieś przez głowę pośród hałasu, „będę udawała, że to ty.”

Ale Vodan nie odleciałby potem, pozostawiając ją podrapaną szponami, pogryzioną i poobijaną, aby znalazł ją Arinnian.

Tabby wciąż spała, Holm wciąż szukał swojej biednej przyjaciółki, Draun niedawno również odleciał, mówiąc, że sprawdzi, czy nie mógłby pomóc swym podwładnym i rybakom w różnych sprawach. Budynek pogrążony był w spokoju i ciszy, pod osłoną poranka.

Rochefort wślizgnął się z powrotem do sypialni. Była jedną z niewielu znanych mu kobiet, które dobrze wyglądały o tej porze. Wysoka sylwetka i brązowa skóra były zbyt jędrne, by obwisnąć lub podpuchnąć; krótkie jasne loki splątały się w sposób, który błagał jego palce, by się nimi pobawiły. Oddychała głęboko, miarowo, nie chrapała, choć wargi miała lekko rozchylone nad znajdującą się pod nimi białą zębów. Kiedy pochylił się nad nią, wśród smug światła i cienia rzucanych przez żaluzje, nie pachniała kwaśno, tylko dziewczęco. Zobaczył ślad zaschniętych łez.

Wykrzywił usta. Załamana warga bolała mniej niż serce. Tabitha płakała z jego powodu, po powrocie do domu.

— Oczywiście, że nie możesz tego zrobić dziś wieczorem, kochanie — wyszeptwała, pochylając się nad nim na łokciu i przesuwając drugą dłoń po policzku, piersi i boku. — Z tymi wszystkimi kłopotami, dziewięćdziesięcioma różnymi drogami do wyboru i wszystkim innym. Byłbyś cholernie bezduszny, gdybyś mógł, co ty na to? Nie smuć się. Nie wiesz jak, za bardzo sobie to wszystko utrudniasz. Poczekajmy do jutra albo do następnej nocy, Phil, kochanie. Mamy przed sobą całe życie.

„Duża część mojego prywatnego piekła polegała na tym, że nie potrafiłem ci powiedzieć, dlaczego tak bardzo to przeżywam”, pomyślał. „Jeśli cię pocałuję... ale mogłabyś się obudzić i... O wszyscy Święci, święta Joanno, spalona za swój lud, pomóż mi!”

Uświadomił sobie, że jeśli będzie się zbyt długo wahał, ona rzeczywiście się obudzi. Odliczył powoli do stu, zanim się wymknął.

Dachy budynków, a za nimi górski szczyt, rysowały się niewiarygodnie wyraźnie na tle nieba, które para jakichś dalekich skrzydeł dzieliła tylko ze słońcem. Najdelikatniejsze zielenie i umbry lśniły nie mniej niż najjaskrawsza czerwień. Powietrze przesiąknięte było zapachami roślinności i morza, które przelewało się za falochronem. Nie. Tak wiele piękna było po prostu nie do zniesienia. Rochefort szybko wyszedł z otwartego terenu na ścieżkę wśród sadów. Niedaleko stąd miała połączyć się z główną drogą prowadzącą na lądowisko.

„Nie może mi się udać. Ktoś będzie stał na straży; albo nie będę mógł dostać się na pokład; albo coś się stanie i powiem, że po prostu wyszedłem sobie na przechadzkę. Nic złego w oglądaniu, prawda?”

„Po prostu patrzę sobie i wracam na śniadanie. Nic złego w tym, poza tym, że pozwoli, by jej Avalończycy zginęli, może nawet milionami, może także wliczając ją - i, tak, moich towarzyszy broni - bezsensownie, bez żadnego powodu poza dumą - kiedy mogło udać się ich uratować. Kiedyś może zrozumie, że zrobiłem to, co zrobiłem, żeby szybko zakończyć wojnę i żeby mogła żyć.”

Dookoła było cicho. Nikt nie miał nic do roboty na plantacjach, o tej porze roku.

Lądowisko było puste. Przy tak skąpym ruchu, jak na St. Li, wystarczała automatyczna kontrola naziemna.

Statek kosmiczny stał zamknięty. Rochefort aż zakrztusił się z ulgi, do chwili gdy przypomniał sobie: „Mogli przymknąć właz tylko z powodu pogody. Nie przejmują się tu złodziejami.”

„A co z ciekawskimi dziećmi?”

„Jeśli ktoś mnie zobaczy, zawsze mogę się tłumaczyć, że właśnie to mnie zaniepokoiło. Tabby mi uwierzy.”

Dotoczył do smukłego kadłuba flittera przenośną rampę, używaną do rozładunku statków towarowych. Wchodząc po niej, jego buty rozbrzmiały: puk... puk... puk. Właz był podobny do tych, które znał, i natychmiast znalazł płytkę, która musiała zakrywać zewnętrzne, ręczne sterowanie śluzą. Nie była zabezpieczona, łatwo ją można było odsunąć, a za nią nie było żadnej kontrolki, która byłaby zakodowana pod konkretną osobę czy sygnał, tylko zwykły przycisk. Nacisnął go. Zewnętrzny właz zamruczał i otworzył się, a spod niego wysunął się trap, niczym wystający język.

„Ojczy, pokaż mi swoją wolę.” Rochefort przeszedł przez otwór włazu i wszedł do środka.

Ythriański statek był dość podobny do swoich terrańskich odpowiedników. Nic w tym dziwnego, zważywszy na fakt, że latająca rasa nauczyła się lotów kosmicznych od ludzi, a na Avalonie ich statki często musiały przewozić ludzi. W kabinie pilota, fotele i stery mogły zostać wyregulowane dla obu gatunków. Opisy były oczywiście w Planha, ale Rochefort szybko je rozwił. Po pięciu minutach wiedział już, że potrafi wystartować i sterować tą łodzią.

Uderzył dłonią w pięść, raz. Potem wziął się do roboty.

XVI

Arinnian zaniósł Eyath z powrotem do budowli, idąc po ziemi. Jego pas grawitacyjny nie byłby w stanie bezpiecznie unieść ich obojga, więc go zostawił. Dwukrotnie mówiła mu, że może latać, a przynajmniej iść, ale tak słabym szeptem, że odparł jej: „Nie”. Nie licząc tego, nie odzywali się do siebie, poza kilkoma słowami, które wyszłochała mu w pierś, gdy przykląkł, aby ją podnieść.

Nie mógłby długo nieść jej ciężaru na rękach. Zamiast tego więc, kurczowo przywarła mu do pleców, z rozpłaszczoną na nich kością mostkową, trzymając się jego ramion zakrzywionymi pazurami stóp, oplatając go w talii, niczym małe ythriańskie dziecko, z tą różnicą, że musiał jej pomóc w walce z ciężarem planety, przytrzymując jej alatany. Pociął swoją koszulę na szmatki, aby przetrzeć jej rany deszczówką spływającą z liści, oraz na bandażę, by zatamować dalsze krwawienie. Rany nie były poważne, lecz dzięki temu miał coś, na czym mógł użyć noża. Tak więc ciepło (gorąco) i jedwabiste pierze jej ciała spoczywały bezpośrednio na jego skórze; a zapach chwil jej miłości, niczym ciężkie perfumy, unosił się wokół niego i w nim.

„To najgorsze”, rozmyślał. „Ten stan potrwa wiele dni - parę tygodni, jeśli zostanie wzmocniony. Jeśli znów go spotka...”

„Czy ona żałuje? Jakżeby mogła, skoro było to coś, na co nic nie mogła poradzić? Jest oszołomiona, oczywiście, skrzywdzona, skołowana; ale czy czuje się śmiertelnie zbrukana? Czy powinna?”

„Nagle widzę, że nie rozumiem mojej wietrznej siostry.”

Brnął przed siebie z trudem. W czasie poszukiwań nie miał prawie chwili wytchnienia. Bolało go całe ciało, w ustach czuł suchość, a mózg zdawał się być wypełniony piaskiem. Cały świat skurczył się do ścieżki, którą musiał pokonać, długiej na tyle a tyle kilometrów, tylko że te kilometry wciąż się coraz bardziej wydłużały. To naturalnie jeszcze bardziej zawężyło ścieżkę, aż w końcu w jego świecie nie było miejsca na nic innego, poza szeregiem zdrad. Próbował wyprzeć je ze świadomości, recytując w myślach dziecięcą wyliczankę dla swoich nóg. „Podnosisz ją i stawiasz. Podnosisz ją...”

Ale to spowodowało, że zbyt mocno stał się świadom tych nóg, jak bardzo go bolały, jak drżały mu kolana, jak piekły go ramiona, i siłą rzeczy wrócił do zdrad. Terra-Ythri. Ythri-Avalon. Tabitha-Rochefort. Eyath-Draun, nie, Draun-Eyath... Vodan-jak tam nazywało się, to straszliwe stworzenie w Centauri, a tak, Quenna... Eyath-ktokolwiek, bo teraz należała do kogokolwiek... nie, jej osobowość miała w sobie samokontrolę, przezorność, osobowość mogła pozostać czysta, nawet jeśli nie zachowała tej dziewiczości wiatru, która była jej... Te dłonie zaciśnięte na jego

brzuchu, niedawno próbowały przyciągnąć Drauna bliżej do siebie; ten głos, który dla niego śpiewał, a teraz ucichł, niedawno jęczał jak głos każdej dziwki... „Skończ z tym! Skończ z tym, mówię ci!”

Widok budynku przywrócił go do rzeczywistości. W pobliżu nie było widać nikogo. Na szczęście. Doprowadzi Eyath do bezpiecznego zamkniętego miejsca. Ythriańscy chemicy opracowali aerosol, który skutecznie neutralizuje feromony, i niewątpliwie można go było pożyczyć od któregoś z sąsiadów. To powstrzyma miejscowych mężczyzn przed wystawianiem przed jej pokojem i gapieniem się na nią, dopóki nie odpocznie wystarczająco, aby polecieć z nim do łodzi kosmicznej, a stamtąd do domu, do Stormgate.

Dom Tabithy stał otworem. Musiała usłyszeć jego kroki i sapanie, bo podeszła do drzwi.

— Halo — zawołała. — Znalazłeś ją?... Hej! — Pobieгла. Przypuszczał, że kiedyś doceniłby ten gest. — Wszystko z nią w porządku?

— Nie. — Wszedł do środka. Chłód i cień były czymś cudownym, jak z innej planety.

Tabitha szła za nim.

— Tędy — zasugerowała. — Moje łóżko.

— Nie! — Arinnian urwał w pół słowa. Wzruszyłby ramionami, gdyby nie czuł się przytłoczony. — A właściwie, dlaczego by nie?

Eyath położyła się, z jednym skrzydłem złożonym pod nią, a drugim rozpostartym tak szeroko, że lotki opadały na podłogę. Membrany powiek sprawiały, że wyglądała jak ślepa.

— Dziękuję. — Jej głos ledwo było słychać.

— Co się stało? — Tabitha nachyliła się, żeby zobaczyć. Dotarł do niej zapach, który ythriański mężczyzna potrafił wyczuć z odległości wielu kilometrów. — Och. — Wyprostowała się. Zaciśnęła zęby. — Tak.

Arinnian znalazł łazienkę, pił szklankę zimnej wody za szklanką, wziął prysznic pod najzimniejszym z natrysków. To i tabletka stymulantu przywróciły go do przytomności. W tym czasie Tabitha wchodziła i wychodziła, przynosząc różne rzeczy potrzebne do opieki nad Eyath.

Kiedy oboje skończyli, spotkali się w salonie. Przysunęła mu usta do ucha - poczuł delikatny oddech jej słów - i powiedziała bardzo cicho:

— Dałam jej środek uspokajający. Za kilka minut zaśnie.

— Dobrze — odpowiedział z nienawiścią. — Gdzie jest Draun?

Tabitha cofnęła się. Jej zielone oczy rozszerzyły się.

— Dlaczego pytasz?

— Nie domyślasz się? Gdzie on jest?

— Dlaczego chcesz się widzieć z Draunem?

— Żeby go zabić.

— Nie możesz! — krzyknęła. — Chris, jeśli to nawet był on, oni nie mogli się powstrzymać. Nikt z nich nie jest w stanie tego zrobić. Wiesz o tym. Szok i żal spowodowały u niej przedwczesną owulację, a potem on przypadkiem...

— Ten gnój niczego nie zostawia przypadkowi — warknął Arinnian. — A jeśli nawet, to mógł zawrócić na pierwszy nikły jej zapach jaki złapał, jak

każdy porządny mężczyzna. A już z pewnością nie musiał potraktować jej tak brutalnie. Gdzie on jest?

Tabitha przesunęła się bokiem, przed telefon. Zbladła jeszcze bardziej niż wtedy, gdy Draun z niej drwił. Odepchnął ją. Przez chwilę stawiała opór, lecz choć była silna, nie mogła dać mu rady.

— Domyślasz się, że w domu — stwierdził Arinnian. — Z grupą uzbrojonych przyjaciół pod ręką.

— Żeby powstrzymać cię przed czymś lekkomyślnym, pewnie, pewnie — przekonywała go Tabitha. — Chris, mamy wojnę. On jest zbyt ważny w obronie terytorialnej. My... Gdyby Phil tu był, nigdy byś... Czy muszę iść po broń?

Usiadł.

— Ten twój facet nie mógłby mi przeszkodzić w zadzwonieniu z jakiegoś innego miejsca — warknął. Cofnęła się. — Twoja głupia broń też nie. Bądź cicho.

Znał numer i wystukał go. Ekran rozjaśnił się: Draun i, tak, jeszcze paru ludzi w tle, z blasterami u boku. Ythrianin zaczął mówić natychmiast:

— Spodziewałem się tego. Słyszysz mnie? Stało się, stało się i nic w tym złego. Prawo choth mówi w takich przypadkach „nie”, z wyjątkiem tego, że za zranioną dumę można prosić o gild, a każde dziecko musi być odpowiednio zabezpieczone. W tak młodym wieku raczej nie będzie bachora, a co do dumy, to ona też dobrze się bawiła. — Uśmiechnął się i spojrzał ponad ramieniem człowieka. — Nieprawdaż, śliczny ogonku?

Arinnian wykręcił głowę. Eyath chwiejnie wyszła z sypialni. Jej oczy były szeroko otwarte, ale zamglone od narkotyku, który sprawiał, że była już na wpół nieprzytomna. Wyciągnęła ręce w stronę obrazu na ekranie.

— Tak. Chodź — wychrypiała. — Nie. Pomóż mi, Arinnianie. Pomóż.

Nie mógł się ruszyć. Tabitha podeszła do niej i wyprowadziła ją z powrotem.

— Widzisz? — powiedział Draun. — Nic się nie stało. Przecież wy, ludzie, możecie zmusić swoje samice i często to robicie, jak słyszałem. Ja nie jestem odpowiednio zbudowany. Zresztą, co cię obchodzi jakaś drobna zabawa innego ludu, skoro ty masz ich setki lub nawet więcej każdego roku?

Arinnian powstrzymał wymioty. Pozostawiły pieczenie w gardle. Jego słowa zabrzmiały głucho i obco, choć każdy zmysł miał nadnaturalnie wyostrzony.

— Widziałem jak ona wygląda.

— No cóż, może trochę za bardzo się podnieciłem. To wasza wina, was, ludzi. My, Ythrianie, obserwujemy wasze poczynania i zaczynamy się zastanawiać. Rozumiesz, o co mi chodzi? Dobrze, zaoferuję złoto za wszelkie obrażenia, potwierdzone przez lekarza. Omówię nawet ewentualną zapłatę za dumę, z jej rodzicami. Jesteś zadowolony?

— Nie.

Draun lekko nastroszył grzebień.

— Lepiej, żebyś był. Zgodnie z prawem i zwyczajem nie masz już żadnych innych praw w tej sprawie.

— Mam zamiar cię zabić — oświadczył Arinnian.

— Co? Zaczekaj uderzenie skrzydłem! Morderstwo...

— Pojedynek. Mamy tu świadków. Wyzywam cię.

— Nie masz powodu, jak powiedziałem!

Tym razem Arinnian zdołał wzruszyć ramionami.

— Więc ty wyzywasz mnie.

— Dlaczego?

Mężczyzna westchnął.

— Czy musimy mozolnie przechodzić przez te wszystkie formalności? Zastanówmy się, jakie śmiertelne obelgi by się nadały? Wulgaryzmy o tym, co mogę zrobić, latając nad tobą? Nie, zbyt banalne. Jestem wręcz zmuszony przedstawić ci prosty, oparty na faktach, opis twojego charakteru, Draun. Dodam do tego, że Choth Highsky to kupa gnoju, skoro kryje takiego bydlaka.

— Dość — odparł Ythrianin równie spokojnie, choć wszystkie pióra stały mu dęba, a skrzydła zadrżały. — Rzucam ci wyzwanie. Przed moimi bogami, twoimi bogami, pamięcią wszystkich naszych przodków i nadzieją całego naszego pochodzenia, ja, Draun z Highsky, wyzywam cię, Christopherze Holmie, zwanym Arinnianem ze Stormgate, abys stanął ze mną do walki na śmierć i życie, z której nie więcej niż jeden z nas wyjdzie z życiem. W obecności i na cześć tych świadków, których podaję...

Tabitha podeszła od tyłu. Przy pomocy siły i zaskoczenia ściągnęła Arinniana z krzesła. Upadł na podłogę, podniósł się i stwierdził, że kobieta stoi między nim a ekranem. Jej lewa ręka odepchnęła go, a prawa przytrzymała, jakby pragnęła trzymać z daleka od swego partnera, jego wroga.

— Czy wy obaj oszaleliście? — niemal krzyknęła.

— Pewne słowa zostały wypowiedziane. — Draun obnażył kły. — Chyba że będzie mnie błagał o łaskę.

— Nie przyjmę od niego prośby o łaskę — powiedział Arinnian.

Stała ciężko sapiąc, kołysząc głową z jednego boku na drugi. Łzy spływały jej po twarzy; zdawała się tego nie zauważać. Po kilku sekundach ramiona jej opadły, a szyja obwisła.

— Czy mnie w końcu wysłuchacie? — spytała ochryple. Zastygli w bezruchu. Arinnian zaczął drzeć pod skórą, która robiła się zimna. Pięści Tabithy zacisnęły się, zwisając u jej boku. — Nie przystoi waszemu honorowi, żebyście doprowadzili do tego, by dwie o-o-osoby, których wasze choth... Avalon... potrzebują... zginęły albo zostały okaleczone. Poczekajcie do końca wojny. Wzywam was, żebyście to zrobili.

— No cóż, niech będzie, jeśli nie będę musiał spotykać się ani rozmawiać z tym człowiekiem — Draun zgodził się niechętnie.

— Wiesz przecież, że musimy współpracować jak poprzednio — Arinnian powiedział do Tabithy. — Skoro tak, to będziesz musiała być naszym pośrednikiem.

— Jak ona by mogła? — zadrwił Draun. — Po tym, jak nazwałeś jej choth.

— Myślę, że jakoś dam radę — westchnęła Hril.

Cofnęła się. Formalna rozmowa uległa zakończeniu. Ekran zgaś.

Arinnian poczuł przyływ sił. Odwrócił się do dziewczyny i oznajmił skruszony:

— Nie myślałem tak naprawdę, co do tego ostatniego. Proszę cię o łaskę, tobie ofiaruję złoto.

Nie spojrzała w jego stronę, lecz poszukała wzrokiem drzwi i wpatrywała się w dal. „W stronę swojego kochanka”, przemknęło mu mgliście przez głowę. „Znajdę jakieś drzewo, pod którym odpocznę, dopóki Eyath się nie obudzi i nie będę mógł przenieść jej do flittera.”

Huk stoczył się po zboczu góry i zatrząsł szybami. Tabitha zeszytniała. Hałas cichł, coraz słabszy, w miarę jak źródło gromu mknęło w górę. Wbiegła na dziedziniec.

— Phil! — krzyknęła.

„Ach”, pomyślał Arinnian. „Naprawdę. Kolejna zdrada.”

— Spocznij, poruczniku. Proszę usiąść.

Ciemnoskóry, przystojny młody mężczyzna usiadł spięty na krześle. Juan Cajal spuścił wzrok z powrotem na biurko i zaszeleścił trzymanymi w dłoniach papierami. W jego gabinecie panowała cisza. *Valenderay* krążył po orbicie wokół Pax w odległości, która sprawiała, że słońce to było jedynie najjaśniejszą z gwiazd, której blask przesłaniał Esperance, gdzie czekała Luisa.

— Przeczytałem uważnie ten raport na pański temat, w tym transkrypcję pańskich zeznań, poruczniku Rochefort — powiedział w końcu Cajal — choć był to długi dokument. Dlatego kazałem pana tu przysłać najszybszym ścigaczem.

— Cóż mógłbym jeszcze dodać, panie admirale? — Ton głosu przybysza był równie sztywny jak jego ciało. Jednak kiedy Cajal uniósł wzrok, by ponownie spojrzeć mu w oczy, przypomniał sobie pewne łagodne zwierzę, które kiedyś widział na Nuevo México, w Sierra de los Bosques Secos, schwymane w pułapkę na końcu kanionu i czekające na myśliwych.

— Po pierwsze — oznajmił admirał — chciałbym osobiście przeprosić pana za hipnosondę, której został pan poddany po powrocie do naszej floty. Nie było to odpowiednie traktowanie lojalnego oficera.

— Rozumiem, panie admirale — odparł Rochefort. — Nie byłem tym zaskoczony, a przesłuchujący starali się być jak najbardziej uprzejmi. Musiał pan mieć pewność, że nie kłamię. — Przelotnie coś na chwilę drgnęło za maską jego twarzy. — To był pański obowiązek..

— M-m, tak, hipnosonda nie pominie żadnego najdrobniejszego szczegółu, prawda? Ta historia nie pójdzie dalej, synu. Dostrzegłeś wyższy obowiązek i podążyłeś za nim.

— Po co mnie pan tu sprowadził osobiście, panie admirale? Ten niewielki zasób informacji, jaki miałem do przekazania, musiał być w tym raporcie.

Cajal odchylił się do tyłu. Zmusił mięśnie twarzy do ułożenia się w przyjazny uśmiech.

— Dowie się pan. Najpierw potrzebuję kilku dodatkowych informacji. Czego pan napije?

Rochefort drgnął.

— Panie admirale?

— Szkocka, bourbon, żytnia, gin, tequila, wódka, akvavit i tak dalej, wliczając w to różne pozaziemskie trunki. Jakieś mieszanki i coś do popicia? Chyba mamy na pokładzie całkiem dobrze zaopatrzony barek. — Kiedy Rochefort zaniemówił, Cajal dokończył: — Sam, przed kolacją, lubię wypić martini. Zjemy razem, rozumie pan.

— Tak? Pan admirał jest bardzo uprzejmy. Tak. Martini. Dziękuję.

Cajal przekazał zamówienie. Właściwie to, w tych rzadkich przypadkach, kiedy w ogóle pijał cokolwiek, pił małe sherry; i podejrzewał, że Rochefort również wolałby coś innego. Ale ważne było, żeby chłopak się rozluźnił.

— Pali pan? — zaproponował. — Ja sam nie palę, ale też mi to nie przeszkadza, a te cygara dał mi gubernator. To znany smakosz.

— Yyy... dziękuję... dopiero po jedzeniu, panie admirale.

— Najwyraźniej ma pan inne gusta. — Cajal prowadził dalej pogawędkę, aż podano koktajle. Były duże i zimne. Uniósł swój. — A vuestra salud, mi amigo.

— Pańskie zdrowie... — Na twarzy Rocheforta na ułamek sekundy zagościł cień uśmiechu. — Bonne santé, Monsieur l'Amiral.

Pociągnęli łyczek.

— Proszę, niech pan się nie krępuje — namawiał Cajal. — Człowiek o dowiedzionej odwadze, jak pan, nie obawia się przecież swojego najwyższego przełożonego. Swojego bezpośredniego dowódcy, owszem, możliwe; ale nie mnie. Poza tym ja nie wydaję panu żadnych rozkazów. Prosiłem raczej o wszelką pomoc i radę, jakiej zechce mi pan udzielić.

Rochefort otrząsnął się ze zdziwienia.

— Nie wyobrażam sobie, co mógłbym zaoferować w tej kwestii, panie admirale. — Cajal dał mu przykład, biorąc kolejny łyk. Trunek Cajala, w szklaneczce z jego herbem, był solidnie podlany wodą.

Nie żeby chodziło mu o to, żeby Rochefort się upił. Chciał raczej, żeby się rozluźnił i był pełen nadziei.

— Przypuszczam, że zdaje pan sobie sprawę, iż jest pan jedynym jeńcem, który uciekł — powiedział admirał. — Zrozumiałe. Prawdopodobnie mają oni nie więcej niż tuzin lub dwa ludzi, z uszkodzonych łodzi, takich jak pańska, i miał pan niesamowite szczęście. Mimo to, może pan nie wiedzieć, że mamy jeszcze innych ludzi z Avalonu.

— Uciekinierzy, panie admirale? Słyszałem o pewnym niezadowoleniu.

Cajal skinął głową.

— Oraz strachu, chciwości i jeszcze paru nieco bardziej chwalebnych motywach, na przykład chęci jak najlepszego wykorzystania beznadziejnej sytuacji i uniknięcia dalszych zniszczeń. Przemycali się do nas, jeden po drugim, w sumie kilkudziesięciu ludzi. Oczywiście, wszyscy oni zostali przesłuchani, nawet jeszcze bardziej dokładnie niż pan. Pański psychoprofil był w aktach; wywiad musiał jedynie ustalić, czy nie został on naruszony.

— Nie zrobiliby tego, panie admirale — odparł Rochefort. Do jego mowy powróciły barwy. — Jednym z najgorszych, najbardziej niemoralnych czynów, jakich można się dopuścić na Avalonie, jest pozbawienie kogoś jego podstawowego honoru. Wiele by to kosztowało, odpowiedzialnego za to człowieka. — Opadł z powrotem na siedzenie i szybko przełknął ślinę. — Przepraszam, panie admirale.

— Niech pan nie przeprasza. Mówił pan dokładnie w tym tonie, w jakim bym chciał. Proszę pozwolić mi jednak kontynuować. Pierwsi uciekinierzy nie mieli wiele ciekawego do powiedzenia. Ostatnio... No cóż, nie ma potrzeby wygłaszania rozwlekłych wykładów. Wystarczy jeden typowy przypadek. Kupiec miejski, który wzbogacił się na handlu z pobliskimi planetami imperialnymi. Nie miałby nic przeciwko temu, żebyśmy przejęli jego planetę, o ile wojna nie zniszczy jego majątku, a jej skutki nie będą się wiązały z dodatkowymi podatkami. Podłe czy realistyczne? Nieważne. Chodzi o to, że posiadał pewne informacje, a także otrzymał do przekazania inne, od wysoko postawionych urzędników, którzy potajemnie należą do grupy pokojowej.

Rochefort obserwował Cajala znad krawędzi szklanki.

— Obawia się pan pułapki, panie admirale?

Cajal rozłożył ręce.

— Szczerść zbiegów nie ulega wątpliwości. Ale czy przed odlotem nie podano im fałszywych danych? Pańska historia jest ważnym potwierdzeniem prawdy ich słów.

— O kontynencie Ekwatorii? — spytał Rochefort. — Nie ma sensu obrażać inteligencji pana admirała, prawdopodobnie nie próbowałbym ucieczki, gdybym nie wierzył, że to, co usłyszałem, może mieć kluczowe znaczenie. Wiem jednak bardzo niewiele.

Cajal pociągnął się za brodę.

— Wiesz więcej, niż ci się wydaje, synu. Na przykład nasza analiza wzorców ostrzału wroga, zarejestrowana podczas pierwszej bitwy o Avalon, rzeczywiście wskazuje na to, że Ekwatoria jest słabym punktem obrony. Był pan na miejscu zdarzenia od miesięcy. Słyszał pan, jak rozmawiają. Obserwował pan ich twarze, twarze ludzi, których pan poznał. Jak bardzo się martwili, pańskim zdaniem?

— Yyyy... — Rochefort znów się napił. Cajal dyskretnie nacisnął przycisk, który zasygnalizował żądanie dolewki. — No cóż, panie admirale, co do tej pani, z którą byłem, Ekwatoria była poza jej departamentem. — Dodał szybko: — Christopher Holm, najstarszy syn ich najwyższego dowódcy, tak, powiedziałbym, że on bardzo się tym martwił.

— Jak tam jest? Zwłaszcza ten, ach, region Scorpeluny. Zbieramy tyle informacji, ile się da, ale przy tak wielu planetach w okolicy, kto poza ich mieszkańcami, przejmuję się takimi pustynnymi terenami?

Rochefort polecił kilka książek. Cajal nie wspominał mu, że komputery wywiadu musiały je pobrać z bibliotek już wiele dni lub nawet tygodni temu.

— Nic szczególnego — mówił dalej porucznik. — Z tego co wiem, to duży, suchy płaskowyż otoczony górami, które na Avalonie nazywają wysokimi, blisko środka kontynentu, który, jak pan admirał wie, nie jest

duży. Jest tam może jakaś dzika zwierzyna, ale nie ma realnej nadziei na utrzymanie się z zasobów tego kraju. — Przerwał dla podkreślenia. — Kontratakujący też nie będą tego w stanie zrobić.

— A oni, mając ocean do przepłynięcia, byłiby dalej od domu niż nasi ludzie od naszych statków — mruknął Cajal.

— Niebezpieczna droga w dół, panie admirale.

— Nie po tym, jak zniszczylibyśmy lokalne placówki. A te piękne, dające schronienie góry...

— Myślałem podobnie, proszę pana. Z tego, co wiem o, hm, dostępnych na planecie możliwościach produkcyjnych i transportowych, i ogólnie niedbałej organizacji Ythrian, nie są w stanie umieścić tam szybko silnych posiłków. Niezależnie od tego, czy moja ucieczka ich zaniepokoi, czy nie.

Cajal nachylił się nad biurkiem.

— Założmy, że to zrobimy — powiedział. — Założmy, że założymy tam bazę dla samolotów i pocisków ziemia-ziemia. Jak pan myśli, co zrobiliby Avalończycy?

— Musieliby się poddać, panie admirale — odpowiedział natychmiast Rochefort. — Oni... Nie twierdzę, że rozumiem Ythrian, ale ludzka większość... cóż, mam wrażenie, że będą bardziej sterować ku Götterdämmerung niż my, ale nie są szaleni. Jeśli znajdziemy się tam, na lądzie, jeśli będziemy mogli strzelać do wszystkiego, co mają, a nie totalnie niszczyć ich ukochaną planetę - ta perspektywa utrzymuje ich wolę walki... Ale jeśli będziemy mogli to robić selektywnie, narażając własne głowy... — Pokręcił głową. — Przepraszam. To robi się poplątane. Poza tym mogę się mylić.

— Pańskie wrażenia potwierdzają wszystkie badania ksenologiczne, jakie widziałem — potwierdził Cajal. — Co więcej, pańskie pochodzą z wyjątkowych doświadczeń. — Przyniesiono nowy drink. Rochefort się sprzeciwił. Cajal odparł: — Proszę, go wypić. Chcę pańskich swobodnych wspomnień, pańskiej pełnej świadomości tego społeczeństwa i środowiska. To nie jest łatwa decyzja. To, co mi pan powie, z pewnością samo w sobie o niej nie przesądzi. Jednak muszę zdobyć każdy skrawek wiedzy, jaki uda mi się pozyskać.

Rochefort przyjrzał mu się uważnie.

— Chce pan dokonać tej inwazji, prawda, panie admirale? — spytał.

— Oczywiście. Nie jestem maszyną do zabijania. Tak samo jak i moi przełożeni.

— Mam nadzieję. Na Ciało Chrystusa — Rochefort przeżegnał się przed krucyfiksem — jak bardzo bym tego pragnął!. — Odstawił szklaneczkę i dodał: — Jedna prośba, panie admirale. Przekażę wszystko, co będę w stanie. Ale jeśli pan zdecyduje się na tę operację, czy mogę być w pierwszej grupie szturmowej? Będzie pan potrzebował Meteorów.

— To najbardziej niebezpieczne zadanie, panie poruczniku — ostrzegł go Cajal. — Nie będziemy pewni, czy nie mają ukrytych jakichś rezerw. Dlatego na początku nie możemy zaangażować zbyt wielkich sił. Zasłużył pan na coś lepszego.

Rochefort chwycił szklaneczkę i gdyby była dosłownie ze szkła, a nie vitrylu, jego dłoń by ją skruszyła.

— Proszę dokładnie o to, na co zasłużyłem, panie admirale.

XVII

Armada Imperium zamknęła pełną sferę wokół Avalonu i rozpoczął się atak.

Ponownie pomknęły okręty i pociski, poleciały wiązki energetyczne, kule ognia szalały i gasły na przestrzeni tysięcy kilometrów. Tym razem obserwatorzy na ziemi widzieli, jak iskry jaśniały z godziny na godzinę, aż w końcu raziły oczy, zalewały na moment całą planetę jaskrawym blaskiem, rzucającym ostre cienie. Walka przesuwiała się coraz bardziej do wewnątrz sfery.

Mimo to toczyła się w umiarkowanym tempie. Cajal przyśpieszył decydującą chwilę i sprowadził tu swoje siły tak szybko, jak to było militarnie możliwe - w ciągu kilku dni - aby wróg nie miał czasu na wzmocnienie swojego wrażliwego punktu. Teraz jednak, będąc już na miejscu, nie podejmował niepotrzebnego ryzyka. Nie było zresztą potrzeby, aby podejmować ryzyko. Dzisiejsza sytuacja była zupełnie inna niż kiedyś. Miał pod ręką niemal trzykrotnie większe siły niż poprzednio i nie martwił się o to, jakie pozostałości floty Avalonu mogą wciąż czaić się w mrocznych zakamarkach Układu Laury. Patrole meldowały o wskazaniach przyrządów, że gromadzą się one w odległości jednej lub dwóch jednostek astronomicznych. Ponieważ nie wykazywały wyraźnego zamiaru rzucenia się w ogień walki, nie widział powodu, by wysyłać za nimi uzbrojone jednostki.

Nie wydał nawet rozkazu ostatecznego zniszczenia okrętu flagowego Ferune'a, kiedy roboty w jego wnętrzu rozpoznały wroga i otworzyły ogień. Statek dryfował zbyt daleko, miał zbyt mało amunicji o odpowiednim zasięgu, by opłacało się zawracać sobie nim głowę. Łatwiej było ominąć biedny, stary kadłub i szkielety, które go obsługiwały.

Zamiast tego skupił się na metodycznym redukowaniu sił obrony planetarnej. Jej zewnętrzną powłokę stanowiły fortece, niektóre wielkie, większość małych, posterunki wartownicze na setkach orbit nachylonych pod wieloma różnymi kątami do ekliptyki. Miały one pewną przewagę nad statkami kosmicznymi. Można je było stale zaopatrywać z dołu. Prawie wszystkie były w pełni zautomatyzowane, były mniej wszechstronne, ale jednocześnie mniej wrażliwe niż ludzkie ciało i nerwy. Kilka z najmniejszych pozostawało niezauważone, aż nadarzyła się okazja, by zaatakować przelatującego w pobliżu Terranina.

To jednak miało miejsce głównie podczas pierwszej fazy bitwy. Potem oblegająca flota namierzyła każdy z tych punktów oporu, zniszczyła niemalą ich liczbę i zapobiegła próbom odwetu. Tak samo, wystrzelenie salw z ziemi nie mogło już tym razem stanowić zaskoczenia. Statki w kosmosie miały również swoje atuty, na przykład mobilność.

Ogólna technika Cajala polegała na wysyłaniu eskadr z dużą prędkością i przyspieszeniem. Kiedy znalazły się w zasięgu ognia od celu, wystrzeliwały wszystko, co miały, i natychmiast manewrowały po nieprzewidywalnych wektorach, aby uniknąć ostrzału przeciwnika. Jeśli pierwszy przelot się nie powiódł, szybko po nim następował drugi, trzeci, czwarty... aż do momentu, gdy obrona została przeciążona ogniem, a stacja eksplodowała w oparach dymu i odłamkach. Nie mając teraz powodu, by chronić tyły ani linie zaopatrzeniowe, Cajal mógł zorganizować obfite zaopatrzenie w amunicję i tak właśnie było.

Statki kosmiczne poruszające się w takim sposób były praktycznie beznadziejnie trudnymi celami dla pocisków, które musiały przebijać się przez atmosferę, przezwyciężając siłę grawitacji powierzchniowej planety, startując od zerowej prędkości początkowej. Avalończycy szybko to zrozumieli i na razie zaniechali tego marnowania amunicji.

Plan Cajala nie wymagał we wstępnej fazie zniszczenia wszystkich stanowisk orbitalnych. Byłoby to tak kosztowne, że musiałyby się wycofać i czekać na dostawę większej ilości zapasów z Imperium; a przecież śpieszył się. Zdecydował jednak, że konieczne jest zneutralizowanie księżyca, i przez jakiś czas Morgana była oblegana i nękana przez taką furję ognia, że góry na niej rozpadały się, a doliny topniały.

Na całym froncie zaś, Imperialni atakowali wyłącznie te fortece, które w swoich ciągle zmieniających się konfiguracjach orbitalnych zagrażałyby ich pierwszemu desantowi, w terminie wyznaczonym przez przyjęty plan taktyczny. Ograniczając w ten sposób liczbę swoich celów, Cajal mógł mocno skoncentrować całą siłę ognia. Te pełne walki godziny, trwające parę avalońskich dni, stanowiły najszybszą penetrację tak silnej obrony, jaką kiedykolwiek przeprowadzono.

Nieuchronnie Cajal ponosił jednak straty. Ich tempo wzrosło, gdy jego statki zaczęły przelatywać tak blisko atmosfery, że naziemne emitery i wyrzutnie rakiet zaczęły być bardziej skuteczne. Kolejnym krokiem było unieszkodliwienie części z nich, a także paru innych instalacji.

Komandor Ion Munteanu, dowodzący kontrolą ognia na pokładzie H.M.S. *Phobos*, poinformował oficerów, gdy tylko okręt ruszył naprzód:

— Otrzymaliśmy misję specjalną, jak zapewne się domyślacie po wysłaniu tego typu okrętu. Nie zamierzamy po prostu poklepać jakiegoś miejsca, które drażni naszych chłopców. Naszym celem jest miasto. Widzę rękę. Pytanie, podporuczniku Ozumi?

— Tak, panie komandorze. Dwa. Jak i dlaczego? Możemy wystrzelić wystarczająco wiele torped i wabików na tyle zaawansowanych, że jeśli będziemy prowadzić ostrzał wystarczająco długo, kilka pocisków z pewnością prześlizgnie się przez pola nega i wybuchnie gdzieś, gdzie przyniesie nam to coś dobrego. Tak byłoby w przypadku ataku na cel wojskowy. Ale oni z pewnością zapewnili swoim miastom lepszą ochronę niż tylko pola nega.

— Przypominam panu o jajkach i babciach, panie poruczniku. Oczywiście, że ma pan rację. Mają potężne, skomplikowane systemy, plus

pierścienie zewnętrznych wyrzutni ziemia-kosmos. Wystrzelimy nasze największe i najlepsze pociski, zaprogramowane do detonacji na dużej wysokości, pod-stratosferycznej. Plan, który zaraz przedstawię, powinien pozwolić przynajmniej jednej z rakiet osiągnąć ten poziom, zanim zostanie przechwycona. Jeśli nie, zaczniemy od nowa.

— Panie komandorze! Nie ma pan chyba na myśli niszczyciela kontynentów!

— Nie, nie. Spokojnie. Proszę sobie przypomnieć, że ten statek nie jest w stanie pomieścić żadnego tak silnego pocisku. Nasze rozkazy nie mówią o na tyle poważnym niszczeniu własności Jego Cesarskiej Mości, aby nie dało się jej odrestaurować. Nasze pociski będą bardzo brutalne, to prawda, ale czyste i ukształtowane tak, aby emitować energię prosto przed siebie, głównie w postaci promieniowania. Wiązki energii niewiele by pomogły w walce z polami nega. Damy spokój centralnym częściom miasta, a wywiad donosi mi, że obrzeża są dosyć łatwopalne.

— Panie komandorze, nie chciałbym pana irytować, ale dlaczego to robimy?

— Nie bez powodu, Ozumi. Planowany jest desant. Wojna na planecie może potrwać jakiś czas. To konkretne miasto, Centauri, jak je nazywają, jest ich głównym portem morskim i stolicą przemysłową. Nie zostawimy go nietkniętego, aby mogło ono wysyłać sprzęt przeciwko naszym przyjaciołom.

Pot wystąpił Ozumiemu na czoło.

— Kobiety i dzieci...

— Jeśli wróg ma choć trochę oleju w głowie, to ewakuował niepotrzebnych ludzi już dawno temu — warknął Munteanu. — Szczerze mówiąc, mam to gdzieś. Ostatnim razem straciłem tu brata. Skoro masz już dość biadolenia, bierzmy się do roboty.

Quenna powoli machała skrzydłami lecąc nad kanałem Livewell Street. Zapadła noc, bezchmurna noc, inna niż większość nocy podczas parnych zim Delty. Dzięki temu i zaciemnieniu widziała gwiazdy. Przerażały ją. Zbyt wiele tych zimnych, paskudnych, małych światełek. I nie były one tylko światełkami, jak jej powiedziano. Były to słońca. To z nich przybyła wojna, wojna, która rujnowała jej świat.

Na początku było całkiem dobrze, przejeżdżało mnóstwo Ythrian, z brzęczącymi kiesami; były chwile, kiedy zapominała o wszystkim oprócz piękna mężczyzny i miłości do niego; w międzyczasie mogła sobie pozwolić na alkohol i narkotyki, żeby być szczęśliwa, zwłaszcza na imprezach. Imprezy to ludzki pomysł, słyszała. (Kto jej to powiedział? Próbowала sobie przypomnieć twarz, ciało. Dałaby radę, gdyby nie rozmywały się one w płątaniu głosów, muzyki i uszczęśliwiających jointów). Dobry pomysł. Wojna wydawała się czymś takim. Miłość, miłość, miłość, śmiech, śmiech, śmiech, sen, sen, sen, a jeśli obudzisz się z niesmacznym posmakiem na języku i tysiącami igiełek w głowie, kilka pigułek szybko mogło to naprawić.

Z tym, że coś się zepsuło. Koniec z marynarzami. Gniazdo zrobiło się puste, zmieniło się w ponurą jaskinię, noc po nocy, aż dziewczyna była gotowa krzyczeć, gdyby nie to, że robiła to za nią muzyka z taśmy. Większość ludzi też się wyprowadzała, a ci, którzy zostawali - a ona z zadowoleniem przyjęłaby nawet ludzkie towarzystwo - kryli się pod ziemią. Czarne, ciche noce, brzęcząca samotność za dnia, pieniądze uciekające tak szybko, że aż ledwo była w stanie kupić jedzenie, nie mówiąc już o butelce czy pigułce na złe sny.

Flap, flap skrzydłami. Ktoś musiał zostać w tym mieście i być samotny, teraz, gdy walki znów się rozpoczęły.

— Ja też jestem samotna — zawołała. — Kimkolwiek jesteś, kocham cię.

Jej głos zabrzmiał zbyt głośno w tym nieruchomym, ciepłym powietrzu, ponad oleistymi wodami i martwymi chodnikami, między tymi cienistymi ścianami i pod tymi strasznymi małymi gwiazdami.

— Vodan? — zawołała ciszej.

Pamiętała go najlepiej ze wszystkich marynarzy, prawie tak dobrze, jak tych pierwszych, którzy ją wykorzystali, więcej lat temu, niż chciałaby zliczyć. Był delikatny i troszczył się o swoją dziewczynę w domu, jakby ta chwiejna wiedźma na to zasługiwała. Ale Quenna zachowywała się głupio. Niewątpliwie gwiazdy musiały pożreć Vodana.

Uniosła grzebień. Ona też miała swoją dumę do śmierci. Nie będzie się bała nocnych ulic. Wkrótce nastanie świt i będzie mogła odważyć się na sen.

Słońce weszło bardzo szybko.

Była taka chwila, że wypełniło niebo. Potem dopadła ją noc, a jej gałki oczne stopiły się. Nie wiedziała o tym, bo jej pióra płonęły. Jej krzyk zagłuszył kolejny huk, gdy superszybkie cząsteczki powietrza prześlizgnęły się przez pola nega, a ona nie zauważyła, że rozrywają one jej bębunki uszu i rozbijają naczynia włosowate. W delirium bólu nie widziała innego ratunku poza kanałem. Rzuciła się w jego stronę, chybiła i wpadła do stojącego w płomieniach domu. To jednak nie miało znaczenia, bo woda w kanale wrzała.

Pomijając czynniki morale i osłabienie potencjału wojennego, atak na Centauri wymagał zaangażowania znacznej ilości zasobów Avalonu w akcję ratunkową i pomoc. Był dobrze zaplanowany. Zaledwie trzy godziny później, przygotowana luka w liniach obronnych wypełniła się statkami, i przeszła przez nią pierwsza fala inwazji.

Rochefort znajdował się w awangardzie. On i jego pośpiesznie zebrana załoga mieli niewiele okazji do ćwiczeń, ale byli sprawnymi ludźmi, i ich Meteor wypełnił swoje zadanie z zapalem, który pragnął poczuć. Osłaniali zejście ociężałych kanonierek, dopóki nie znalazły się one poniżej niebezpiecznej wysokości. Po drodze zatrzymali parę wrogich pocisków. Chociaż żaden statek kosmiczny nie radził sobie dobrze w atmosferze, kuter torpedowy łączył w sobie akceptowalną manewrowość, dużą siłę ognia i więcej niż wystarczająco dużą inteligencję ludzi na pokładzie.

Maszyny sterowane przez proste roboty nie były dla niego żadnymi przeciwnikami.

Widząc eskortowane statki blisko ziemi, Rochefort, zgodnie z przydzielonym zadaniem, skierował swoją łódź prosto na źródło wystrzeliwanych do nich pocisków. Leżało ono za górami, w intensywnie zielonym wąwozie rzeki. Terrańskie łodzie z rykiem pikowały jedna po drugiej, wystrzeliwały promienie oraz torpedy w negapola i bunkry, stawały na ogonach i skakały do stratosfery, dokonywały zwrotu i uderzały na drugi przelot. Trzeci nie był potrzebny. Między skalnymi ścianami, które obróciły w gruzy gromy dźwiękowe, ziały już tylko kratery. Rochefort pragnął zapomnieć, jaki piękny był przedtem ten kanion.

Wracając na Scorpelunę, zastał cały konwój na ziemi. Marines i saperzy wyroili się z transportowców, z towarowych frachtowców zaś rozmaite maszyny. Nad głowami patrolowce zaciemniały niebo. Nastąpiło kilka gorączkowych dni. Histeria nie była nawet specjalnie skrywana pod powierzchnią celowej aktywności. Kto mógł wiedzieć, co przygotowywał wróg?

Nic się nie wydarzyło. Zmontowano i uruchomiono generatory ekranów. Rozmieszczono emiterzy obronne i wyrzutnie pocisków. Zbudowano szopy na sprzęt, a potem dla ludzi. I nie było nawet śladu żadnego kontrataku.

Zwiadowcy powietrzni i przyrządy z kosmosu donosiły o znacznej aktywności wroga na innych kontynentach i na wyspach. Niewątpliwie coś przygotowywano. Ale nie wydawało się, aby stanowiło to jakieś bezpośrednie zagrożenie.

Otworzyła się druga luka. Druga fala desantu spłynęła na dół, kompletnie bez oporu. Baza Scorpeluna rozprzestrzeniła się niczym plama atramentu.

Jego intencje stały się oczywiste, więc Cajal zniszczył jeszcze kilka kolejnych orbitalnych fortec, aby częściej pojawiały się luki w obronie. Następnie wycofał swoją główną flotę na większą odległość. Z niej kierował na ląd ludzi i sprzęt.

Ostatnie statki Avalonu zbliżały się, umykały unikając walki, wracały, by podkraść się, jak zbyt wygłodniałe wilki, aby stanowiły zagrożenie. Nie marnowano na nie żadnych sił. Najważniejsze było wykorzystanie tego milczącego zawieszenia broni, dopóki trwało. Z tego powodu Imperium powstrzymywało się na wszystkich frontach od działań ofensywnych. Starano się okopać w miejscu, w którym się znalazło, i rozbudowywać przyczółek, aż nie tylko że będzie się on w stanie obronić, ale będzie mógł unieść niepokonaną pięść ponad całym Avalonem.

Ponieważ wiadomo było, że cieszy się względami samego admirała, kapitan Philippe Rochefort (świeżo awansowany na starszy stopień) uzyskał akceptację swojego wniosku o kontynuację służby na planecie. Ponieważ nie było już potrzeby używania kosmicznych statków torpedowych, znalazł się w patrolu powietrznym na dwuosobowym lataczu, czyli nieco szlachetniej nazwanych saniach grawitacyjnych.

Przydzielonym mu partnera, był to kapral marines, Ahmed Nasution, mający dziewiętnaście lat standardowych, który świeżo opuścił Nową Djawę i zaciągnął się do korpusu.

— Wie pan, panie kapitanie, wszyscy mówili mi, że ta planeta to czysta rozkosz — powiedział, przesadnie ubarwiając swój smutek, aby upewnić się, że przełożony zrozumiał. — Wstąp do marynarki i zobacz wszechświat, co?

— Ten obszar nie jest typowy — odpowiedział mu krótko Rochefort. — To jest — dodał — dla całej planety.

Latacz leciał nisko nad płaskowyżem Scorpeluny. Osłona była zamknięta, chroniąc przed upałem. Urządzenie chłodzące oparte na rurze Hilscha i samościennej się witryl osłony robiły, co w ich mocy, by walczyć z upałem, czystym niebem, rozdętym i oślepiająco jasnym słońcem. Jedynymi dźwiękami, jakie słyszeli, były szum urządzenia i warkot silników. Na horyzoncie wznosiły się szczyty górskie, matowoniebieskie i odrealnione. Pod nimi panowała pustka. Na twardej, czerwonej ziemi, gdziekolwiek nie spojrzeć, szeroko rosły krzewy, te same niskie, czerwonawolistne gatunki, pachnące jak lekarstwa. Teren nie był tak naprawdę płaski. Wznosił się w kostropatych płaskich górach i skalnych ostańcach, rozwierał się wielkimi, suchymi szczelinami. W oddali można było dostrzec kilka sześcionożnych zwierząt, pasących się w cieniu swych parasolowatych membran. Poza tym nie było widać żadnego ruchu, poza drganiem gorącego powietrza i tumanami kurzu.

— Ma pan pojęcie, kiedy stąd wyruszymy? — spytał Nasution, sięgając po butelkę z wodą.

— Kiedy będziemy gotowi — powiedział mu Rochefort. — Uważaj na wodę. Przed nami kilka jeszcze godzin lotu, musi jej wystarczyć dla ciebie i mnie.

— Dlaczego wróg się nie poddaje, panie kapitanie? Kilku z nas w moim namiocie słyszało ich głosy - nie było rozkazów, żeby tego nie robić, prawda? - głosy mówiące w Anglicu. Nie zrozumiałem ich zbyt dobrze, ten ich dziwny akcent i, eee, zwroty w rodzaju „Imperialni uchwycili nie więcej niż stopę ziemi”, trzeba chwilę pomyśleć, żeby to rozgryźć, a tymczasem rozmowa toczy się dalej. Ale na Gehennę, panie kapitanie, nie chcemy im zrobić krzywdy. Czy nie mogą być rozsądni i...

— Cicho! — Rochefort uniósł rękę. Jego ustawione na czuwanie radio rozpoznało połączenie. Przełączył się na to pasmo.

— Pomocy! O Boże, pomocy!... Grupa Inżynieryjna To... dzięki zwierzęta... około trzydziestu czterech kilometrów na północny zachód od obozu... Pomocy!

Rochefort wykonał zwrot lataczem.

Dotarł na miejsce w ciągu kilku minut. Oddział, składający się z dziesięciu ludzi w samochodzie naziemnym, przeprowadzał badania geologiczne, aby określić wykonalność planu wysadzenia i zabezpieczenia dużego silosu raketowego. Byli uzbrojeni, lecz nie spodziewali się żadnych problemów poza drobnymi niewygodami. Stado sześcionożnych skoczków, wielkości psa, złapało ich kilkaset metrów od pojazdu.

Dwóch ludzi zostało powalonych i pożartych. Trzech rozproszyło się w przerażeniu, próbując dotrzeć do samochodu i zostało pojedynczo okrażonych. Rochefort i Nasution zobaczyli, że jeden z nich został właśnie powalony. Reszta stała twardo, plecami do siebie, i prowadziła ciągły ogień. Jednak te łuskowate, szczeciniaste kształty wydawały się niemal niemożliwe do zabicia. Nawet okaleczone, wyciągały do przodu szczęki.

Rochefort krzyknął do swojego nadajnika wzywając pomocy, zapikował i śmignął w górę. Nasution szlochał, ale dobrze się spisał przy działku. Mimo to, zanim likozauroidy zostały zabite, zginęło jeszcze dwóch ludzi.

Po tym wydarzeniu każda grupa opuszczająca obóz miała eskortę powietrzną, co spowolniło działania na pozostałych kierunkach.

— Nie, panie doktorze, przestałem wierzyć, że to ma podłoże psychogenne. — Major rzucił spojrzeniem na dwór przez okno szopy ambulatoryjnej, na nienaturalnie szybki zachód słońca, któremu burza piaskowa nadała barwę zakrzepłej krwi. Noc miała przynieść ulgę w tym okropnym upale... sprowadzając gryzący chłód. — Z początku byłem jeszcze gotów to przyjąć. Ale pańskie psychotropy już nie pomagają. I objawy te pojawiają się u coraz większej liczby ludzi, o czym musi pan wiedzieć lepiej niż ja. Bóle brzucha, biegunka, bóle mięśni, większe pragnienie, niż mogłaby wywołać ta cholerna suchość. Przede wszystkim drgawki i oszołomienie. Wolę nawet panu nie mówić, jak bardzo spieprzyłem dziś swoją robotę.

— Mam swoje własne problemy z jasnością myślenia. — Lekarz przesunął dłoń po skroni. Pozostawiła ona smugę brudu, mimo że gorące powietrze wysuszało pot, zanim zdążył on utworzyć krople. — Do tego częste zaburzenia widzenia? Tak.

— Czy rozważał pan obecność w środowisku jakiejś trucizny?

— Oczywiście. Nie był pan w pierwszej fali desantu, panie majorze. Ja byłem. Wywiad, a także historia, zapewniły nas, że Avalon jest w miarę bezpieczny. Mimo to, proszę mi wierzyć, ledwo rozbiliśmy obóz, kiedy zespół naukowy zajął się sprawdzaniem takiej możliwości.

— A może trzeba przesłuchać avalońskich więźniów?

— Jestem pewien, że to zrobiono. Tak właściwie, to przeprowadzono kilka kolejnych akcji komandosów, tylko po to, by zebrać więcej jeńców do tego celu. Ale jakie jest prawdopodobieństwo, że ktokolwiek poza kilkoma specjalistami będzie znał szczegóły dotyczące najbardziej złowrogiej części całego kontynentu, którego nikt nie zamieszkuje?

— I oczywiście Avalończycy pewnie schowali wszystkich tego rodzaju ekspertów bezpiecznie, poza naszym zasięgiem. — Major ciężko westchnął. — Więc co znalazł pański zespół?

Oficer medyczny pomacał dłoń by wyciągnąć z otwartego pudełka na biurku, pigułkę stymulacyjną.

— W tutejszej glebie mamy, a tak, wysokie stężenie metali ciężkich. Ale nie ma się czym martwić. Można wdychać ten pył latami, zanim będzie trzeba leczyć jego skutki. Okoliczne krzewy wykorzystują te pierwiastki w swoim metabolizmie, jak się można było spodziewać, i ostrzegaliśmy

przecież przed braniem do ust lub paleniem jakichkolwiek ich części. Żadne związki organiczne nie wykazują alergennego działania. Niech pan zrozumie, biochemia ludzi i Ythrian jest tak podobna, że obie rasy mogą jeść większość swojego pożywienia. Gdyby w tym rejonie znajdowało się coś wyjątkowo śmiertelnościowego, nie sądzi pan chyba, że przeciętny kolonista by o tym słyszał? Jestem z Terry – ze środkowo-zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej - o Boże... — Na chwilę oderwał wzrok od Scorpeluny. Otrząsnął się. — My wręcz żyliśmy wśród oleandrów. Uprawialiśmy je dla ich kwiatów. Oleandry są trujące. Trzeba po prostu podchodzić do nich rozsądnie.

— To musi mieć jakąś przyczynę — upierał się major.

— Badamy sprawę — odparł medyk. — Gdyby ktokolwiek przewidział, że ta planeta będzie miała jakiekolwiek znaczenie militarne - zostałaaby ona zbadana na długo przed wybuchem wojny, i to dokładnie. Teraz na to już za późno.

Od czasu do czasu małe łodzie z niedobitków sił avalońskich przemykały się przez terrańską blokadę na dużych prędkościach i z maksymalnym, zmiennym przyśpieszeniem. Około połowa z nich była niszczona; reszta przedostawała się w pobliże Avalonu i zawracała w kosmos. Wiadomo było, że wymieniały one wiadomości z planetą. Przy odpowiednim kodowaniu i użyciu wiązek laserowych, w ciągu sekundy lub dwóch mogła zostać przekazana ogromna ilość informacji.

— Oczywiście, że omawiają jakieś ruchy — warknął Cajal do swojego personelu. — Równie oczywiste jest, że jeśli spróbujemy ich ścigać, rozproszą się i znikną w sienie, między ogromną liczbą asteroid i księżyców, tak jak wcześniej. I z pewnością będą mieli plany awaryjne. Nie mam zamiaru dać się zwieść, panowie. Utrzymamy tu wszystkie nasze siły.

Coraz więcej obserwacji wskazywało bowiem, że na lądzie i na morzu, pod wodą i w powietrzu, koloniści w końcu szykowali się do kontrataku.

Rochefort słyszał wrzaski przez większą część minuty, zanim je zarejestrował. „Jezu”, stwierdził przedzierając się przez swoje otępienie, „co mi jest?” Jego mięśnie protestowały, kiedy robił zwrot lataczem. Palce na pulpicie sterowniczym miał odrętwiałe jak kiełbaski. Obok niego Nasution zapadł w milczenie, tak jak chłopak robił to przez ostatnie dni (tygodnie? lata?). Jego miękkie policzki zapadły się i były niechlujnie pokryte czarnym meszkiem.

Mimo to pojazd Rocheforta przybył na pomoc tym, które unosiły się nad naziemnym patrolem. Problem w tym, że nie był w stanie zrobić niczego więcej niż oni. Broń energetyczna błyskawicznie spaliła setki karaluchowatych stworzeń, dwudziestocentymetrowej długości, których mrowie zaczerniało ziemię między krzakami. Nie mogli jednak uratować ludzi, których te insekty już dopadły i na których zaczęły żerować. Rochefort starannie powstrzymał się przed zwróceniem uwagi na to, który

z pilotów lataczy zadał z góry cios łaski. Sam podleciał nisko i wciągnął na pokład ocalałych rozbitków. Po tym, co wtedy zobaczył, w swojej obecnej formie Nasution był za bardzo chory, by być do czegokolwiek użytecznym.

Wyczuwszy najwyraźniej mięso w tej ogłodzonej krainie, kakkelaki rzuciły się w stronę głównej bazy. Nie potrafiły latać, ale pędziły po ziemi zdumiewająco szybko. Trzeba było dołożyć dużych wysiłków, by stworzyć przeciwko nim kordon.

W międzyczasie na całej Ekwatorii lądowali Avalończycy. Rozmieszczali się tak szybko i szeroko - przy bardzo lekkim uzbrojeniu - że zbombardowanie ich byłoby daremne. Wszyscy, którzy wkroczyli do Scorpeluny, byli Ythrianami.

* * *

Wyżsi oficerowie medycyny i planetologii stanęli twarzą w twarz ze swoim komendantem. Na zewnątrz wiał równonocny wicher i świstał w bezgwiezdnej nocy; pył smagał drżące metalowe ściany. Wraz z tymi potężnymi, suchymi podmuchami, zdawało się nadchodzić gorąco.

— Tak jest, panie komendancie — powiedział szef służby zdrowia. Będąc żołnierzem regularnej marynarki wojennej, a nie piechoty morskiej, miał stopień kontradmirała. — Udowodniliśmy to ponad wszelką wątpliwość. — Westchnął, a jego głos zatonął we wrzawie głosów. — Gdybyśmy mieli lepszy sprzęt, więcej personelu... Cóż, pozostawię to komisji śledczej albo sądowi wojskowemu. Prawda jest taka, że przez nasze niedoinformowanie wpadliśmy w śmiertelną pułapkę.

— Za dużo planet. — Cywilny planetolog pokręcił wychudzoną głową. — Każda z nich jest zbyt wielka. Kto mógł to wiedzieć?

— Podczas gdy wy tu paplacie — burknął komendant, — ludzie leżą w delirium i konwulsjach. Każdego dnia jest ich coraz więcej. Mówcie. — Jego głos był szorstki od gniewu, prawie wpadając w szloch.

— Podejrzewaliśmy oczywiście zatrucie metalami ciężkimi — oznajmił lekarz. — Przeprowadziliśmy kilka testów. Stężenie zawsze wydawało się w dopuszczalnych granicach. A potem, w nocy...

— Pomińmy już szczegóły — przerwał mu planetolog. — Oto wyniki. Te krzewy rosnące wszędzie dookoła... wiedzieliśmy, że pochłaniają pierwiastki takie jak arsen i rtęć. A literatura opisuje piekielny krzew, wraz ze zdjęciami, jako wydzielający niebezpieczne opary. Nie wiedzieliśmy jednak, że to jest gatunek piekielnego krzewu. Wygląda zupełnie inaczej niż pokrewne mu inne rodzaje. Pomyślcie o różach i jabłkach. Poza tym nie mieliśmy pojęcia, jak w ogóle działają tego rodzaju toksyny, nie mówiąc już o tej konkretnej. To mogło zostać ustalone dopiero po opublikowaniu oryginalnych opisów, kiedy założono, że jest to związek czysto organiczny. Ilość informacji w każdej dziedzinie nauki, przytłaczająca... — Jego słowa urwały się w martwej ciszy.

Komendant czekał. Lekarz wojskowy przyjął watek:

— Opary te przenoszą metale w luźnym połączeniu z... zestawem cząsteczek, o którym nie słyszał żaden autorytet, z jakim się spotkałem. Ich działanie polega na tym, że blokują pewne enzymy. W efekcie

mechanizmy obronne organizmu ulegają zablokowaniu. Atomy metali przestają być wydalone. Każdy ich mikrogram trafia do ważnych narządów. W międzyczasie pacjent dodatkowo słabnie przez to, że niektóre elementy jego chemii białkowej nie działają prawidłowo. Efekty są synergiczne i rosną wykładniczo. Nagle przekraczają one pewien próg.

— Rozumiem... — potwierdził komendant.

— My, oficerowie wyższego szczebla, nie jesteśmy jeszcze w najgorszym stanie — mówił dalej planetolog. — Nasz personel też nie. Większość czasu spędzamy w pomieszczeniach. Natomiast ludzie... — przetarł oczy. — Nie żebym uważał się za zdrowego człowieka — mruknął.

— Co pan zaleca? — spytał komendant.

— Ewakuacja — powiedział natychmiast szef służby zdrowia. — I nie zalecam tego, tylko mówię wyraźnie, że nie mamy innej alternatywy. Nasi ludzie muszą natychmiast otrzymać odpowiednią opiekę medyczną.

Komendant skinął głową. Sam był chory, potwornie zmęczony, ponadto spodziewał się takiej odpowiedzi, już kilka dni temu rozpoczął więc ciche przygotowania.

— Nie damy rady wystartować jutro — oznajmił ospałym głosem. — Nie mamy środków transportu; większość wróciła w kosmos. Poza tym paniczny odlot zamieniłby nas w tarczę strzelniczą dla Avalończyków. Ale zorganizujemy się, by ewakuować najciężiej chorych, a jednocześnie wszystkich sprowadzimy z powrotem do głównego obozu. Każemy przysłać na dół kolejne statki, w uporządkowany sposób. — Nie mógł powstrzymać drżenia górnej wargi.

Kiedy Imperium się wycofywało, jego wrogowie uderzyli.

Nie strzelali pociskami ziemia-ziemia. Zamiast tego ich kontyngenty ludzkie zajmowały się budową baz, które będą mogły to robić, w wybranych punktach na całym kontynencie Ekwatorii. Nie było to trudne. Interesowała ich jedynie broń krótkiego zasięgu, która wymagała niewiele więcej niż wyrzutni, oraz samoloty, które potrzebowały niewiele większego zaplecza niż baraki konserwacyjne dla nich oraz ich załóg. Największym przedsięwzięciem był montaż potężnych emiterów energii na górskich szczytach górujących nad Scorpeluną.

Tymczasem Ythrianie prowadzili wojnę partyzancką na samym płaskowyżu. Oni, znacznie mniej podatni na charakterystyczną dla tego regionu truciznę, byli w pełni zdrowi i nie musieli się obciążać skafandrami kosmicznymi, aparatami oddechowymi i maskami przeciwpylowymi, które gorączkowo zakładali Terranie. Z natury uskrzydleni, nie musieli mieć maszyn, które radary, gravary i magnetoskopy mogłyby dostrzec z odległości wielu kilometrów. Zamiast tego mogli wyskoczyć zza dowolnej osłony, jaką zapewniał teren, obrzucić mozolnie posuwającą się kolumnę gradem ognia i metalu, obrzucić granatami pojazdy, podziurawić kulami latacze i zniknąć, zanim możliwa była jakakolwiek skuteczna reakcja.

Nieuchronnie ponosili też straty.

— Hya-a-a-ah! — wrzasnął Draun z Highsky i rzucił się z urwiska w dół, w stronę słonecznego blasku. Na dnie wyschniętego wąwozu kolumna

Terran kuśtykała w kierunku obozu z niedokończonego stanowiska. Pył sprawiał, że każdy z nich był jeszcze bardziej anonimowy niż przez resztki pozostałe z jego umundurowania. Między nimi toczyło się kilka wozów pancernych, w górze unosiło się parę pojazdów powietrznych. Gravsanie przewoziły ułożone w stosy szybko mumifikujące się zwłoki.

— Cisnąć ich w wiatry piekieł! — Ściskany przez Drauna miotacz granatów zająknął się ogniem. Odrzut wciąż niemalże wybił go z równowagi pośród tych szalonych prądów powietrznych. Na szczęście, jego skrzydła były na to zbyt silne i zręczne.

Ythrianie szybowali nisko, strzelając i pędząc naprzód. Draun widział, jak ludzie padają niczym opróżnione worki. Wykręcając się poza zasięg ognia, zobaczył, jak ich towarzysze tworzą kwadrat, zakotwiczony przez wozy i artylerię, chroniony z góry przez latacze. Wciąż zachowują odwagę, pomyślał i zastanawiał się, czy nie lepiej nie zostawić już ich w spokoju. Ale plan był następujący: zepchnąć ich w zwartą formację, a potem za drugim przelotem rzucić między nich bombę tordenitową.

— Za mną!

Pęd powietrza, kule i wiązki energii, przerażająco dobrze znany jęk za plecami. Draun wyhamował, zawrócił, zobaczył Nyesslerana, swojego najstarszego syna, nadzieję rodu, spadającego w spirali na ziemię na jednym skrzydle. Eskadra Ythrian przemknęła obok niego.

— Już lecę, chłopcze!

Draun opadł obok syna. Nyessleran leżał nieprzytomny. Jego krew zabarwiła pył na fioletowo. Drugi atak nie powiódł się, rozpadł się w chaosie, zanim dotarł do kwadratu. Zgodnie z doktryną, że powinni oszczędzać swe siły, Ythrianie wycofali się, znikając z pola widzenia. Pluton Terran biegł w kierunku Drauna. Stanął nad Nyessleranem i strzelał, dopóki był w stanie.

— Zniszczyć wszystko, co pozostało na orbitach — polecił Cajal. — Potrzebujemy swobody, aby móc bez przeszkód przemieszczać nasze transportowce.

Jego szef sztabu odchrząknął.

— Hr-r-rm, pan admirał wie o wrogich statkach?

— Tak. Przyśpieszają w stronę planety. Jest całkiem jasne, że wszystkie, które są w stanie wylądować na planecie, mają nadzieję że tego dokonają; reszta to tylko zasłona dymna.

— Czy nie powinniśmy zorganizować ich przechwycenia?

— Nie możemy marnować sił. Oczyszczenie orbity z tych fortów opróżni większość naszych magazynów. Głównym obowiązkiem, jaki stoi przed nami, jest wyciągnięcie naszych ludzi z tego bałaganu, w który ich wpakowaliśmy... ja... ich wpakowałem. — Cajal wyprostował się. — Jeśli jakiegokolwiek jednostki można rozsądnie odsunąć od pracy na orbitach, to tak, niech zniszczą tylu Avalończyków, ilu się da, pod warunkiem, że do granic możliwości będą oszczędzać amunicję i używać będą głównie broni energetycznej. Wątpię, żeby dopadli ich wielu. Resztę będziemy musieli przepuścić, być może ku naszemu żalowi. — Jego chichot zabrzmiał

dźwięcznie. — Jak mawiał stary profesor Wu-Tai w Akademii - pamiętasz, Jim? — „Najlepszą podstawą, na której można podjąć decyzję, jest nasza jakże zawodna ocena prawdopodobieństw”.

Tropikalne burze na Avalonie były bardziej gwałtowne, niż mogłyby to sobie wyobrazić ktokolwiek pochodzący z planety otrzymującej mniejsze ilości promieniowania słonecznego i o wolniejszym obrocie. Załadowanie na statki najcięższej chorych, trzeba było opóźnić o dzień i noc. Poza ryzykiem utraty transportowców, było pewne, że te ulewne deszcze zabiłyby część pacjentów, podczas przenoszenia ich z baraków na rampy załadownicze.

Ci mniej więcej zdrowi, którzy niedawno wylądowali, walczyli o wzniesienie wałów przeciwpowodziowych. Meldunki radiowe, niewyraźne i pełne trzasków, donosiły o gwałtownych powodziach, które wzbierały na każdym strumieniu.

Żadna z tych sytuacji nie dotyczyła Rocheforta. Był w grupie średniej, zbyt chory do pracy, zbyt zdrowy, by go natychmiast wysłać. Skulił się na krześle wśród setki towarzyszy, w cuchnącym, parującym bunkrze, starał się opanować dreszcze i mdłości, które napływały i ustępowały, i czasem mgliście myślał o Tabicie Falkayn, a czasem o Ahmedzie Nasution, który umarł trzy dni wcześniej.

Wszystkie avalońskie statki kosmiczne, które przedostały się przez blokadę, wylądowały w Ekwatorii, gdzie oficerowie obrony terytorialnej przydzielili im miejsca stacjonowania.

Burza szalała, dopóki się nie skończyła. Potem pierwsze imperialne statki wystartowały ze zniszczonej bazy. Były to okręty bojowe, badające drogę dla zatłoczonych, zaimprovizowanych statków szpitalnych, które miały za nimi podążać. Siostrzane myśliwce nadleciały z orbity, aby do nich dołączyć.

Obrona naziemna i powietrzna Avalonu wzięła je w krzyżowy ogień. Jej siły kosmiczne przystąpiły do bitwy.

Daniel Holm siedział przed komunikatorem. Przekazywał on jego słowa i zarys głowy do najpotężniejszych nadajników na planecie, emitujących transmisję, która nie mogła przejść niezauważona:

— ...blokujemy im drogę ucieczki. Nie zdążycie zniszczyć nas przy pomocy bomb, żeby uratować, jak szacujemy, ćwierć miliona waszych ludzi. Nawet gdybyśmy nie stawiali oporu, może połowa z nich nie przetrwałaby, do czasu gdy zapewnicie im odpowiednią opiekę. A o reszcie nie chcę myśleć - uszkodzenia narządów, nerwów, mózgu, których nie da się wyleczyć metodami regeneracyjnymi.

— My możemy ich uratować. My, z Avalonu. Mamy przygotowane obiekty, na całej naszej planecie. Łóżka, personel pielęgniarstwa, sprzęt diagnostyczny, lekarstwa chelatujące, leczenie wspomagające. Chętnie przyjmujemy wasze zespoły inspekcyjne i personel medyczny. Nie chcemy grać w polityczne gierki, z żywymi ludźmi. Kiedy tylko zgodzicie się na

wznowienie zawieszenia broni i wycofanie floty na tyle daleko, abyśmy mogli liczyć na wczesne ostrzeżenie o jej ewentualnym ataku, w tej samej chwili nasze grupy ratunkowe wyruszą do Scorpeluny.

XVIII

Oddział szpitalny był czysty i dobrze zarządzany, ale musiało zostać w nim stłoczonych czterdziestu ludzi, a nie było żadnego telewizora - nie żeby lokalne programy interesowały większość z nich. Dlatego nie mieli żadnej rozrywki poza czytaniem i narzekaniem. Większość wołała to drugie. Wkrótce Rochefort poprosił o słuchawki, żeby móc korzystać z pożyczonych mu książek. Nosił je na uszach praktycznie bez przerwy.

W ten sposób nie słyszał skarżącego się wiecznie chóru. Jako pierwsze poczuł więc, że ktoś dotknął jego ramienia. „Co?”, pomyślał. „Już obiad?” Uniósł głowę znad książki *Rasa Gaiila* i zobaczył Tabithę.

Serce zabiło mu mocniej i przyspieszyło. Ręce mu się trzęsły, ledwo był w stanie zdjąć słuchawki z uszu.

Stała naprzeciwko niego w hałaśliwym, cuchnącym aseptyką pokoju, jak portret obramowany przez znajdujące się z tyłu okno, otwarte na błękit i bujność wiosennego słońca. Prosty kombinezon maskował krągłości i linie proste jej ciała. Widział po twarzy, że schudła. Kości rysowały się jeszcze wyraźniej niż wcześniej, pod skórą ciemniejszą i włosami bardziej wybielonymi przez silniejsze słońce niż to, które oświetlało Gray.

— Tabby — wyszeptał i wyciągnął rękę.

Ujęła jego dłonie, nie ściskając ich i nie uśmiechając się zbyt szeroko.

— Cześć, Phil — powiedziała tak mocno rysującym mu się w pamięci gardłowym głosem. — Wyglądasz lepiej, niż się spodziewałem, kiedy powiedzieli mi, że masz w środku trzy rurki.

— Powinieneś była mnie widzieć na początku. — Usłyszał, jak jego głos drży. — Jak się masz? Jak się mają wszyscy?

— Wszystko w porządku. Większość z tych, których znałeś, też. Draun i Nyesslan nie żyją.

— Bardzo mi przykro — skłamał.

Tabitha puściła jego dłonie.

— Przyleciałabym wcześniej — powiedziała — ale musiałam czekać na urlop, a potem trochę czasu zajęło mi przeszukiwanie danych z tych długich list pacjentów i zapewnienie sobie transportu tutaj. Wciąż mamy u siebie mnóstwo braków i dezorganizacji. — Spojrzenie jej zielonych oczu było poważne. — Byłam pewna, że będziesz na Avalonie, żywy lub martwy. Dobrze wiedzieć, że żywy.

— Jakże mógłbym wytrzymać z dala... od ciebie?

Opuściła powieki.

— Jak wygląda twój stan zdrowia? Personel jest za bardzo zajęty, żeby udzielać szczegółowych informacji.

— No cóż, kiedy będę silniejszy, chcą mnie wysłać do regularnego szpitala marynarki imperialnej, aby wyjęli mi wątrobę i wyhodowali nową. Mogę potrzebować roku, terrańskiego, żeby całkowicie wyzdrowieć. Obiecują, że tak będzie.

— Wspaniale. — Jej słowa zabrzmiały służbowo. — Dobrze cię tu traktują?

— Na tyle dobrze, na ile to możliwe, biorąc pod uwagę całość sytuacji. Ale, uh, moi współlokatorzy nie przypadli mi za bardzo do gustu, a medycy i pomocnicy, zarówno imperialni, jak i avalońscy, nie mogą przerywać pracy dla prowadzenia pogawędek. Czułem się cholernie samotnie, Tabby, dopóki nie przyleciałaś.

— Spróbuję cię znowu odwiedzić. Zdajesz sobie sprawę, że jestem w czynnej służbie, a większość urlopu, jaki dostaję, muszę spędzać na St. Li, utrzymując firmę w dobrej kondycji.

Poczuł ogarniającą go słabość. Oparł się o poduszki i opuścił ręce na koc.

— Tabby... czy mogłabyś poczekać na mnie... przez ten rok?

Powoli pokręciła głową i znów spojrzała mu w oczy.

— Może powinnam udawać, do czasu aż wyzdrowiejesz, Phil. Ale udawanie nie wychodzi mi za dobrze, a poza tym, ty zasługujesz na coś lepszego.

— Po tym, co zrobiłem...

— I co ja zrobiłam. — Nachyliła się i wymacała rurki, aby położyć mu dłonie na ramionach. — Nie, nigdy nie nienawidziłyśmy się z tego powodu, prawda, żadne z nas?

— A więc, czy nie możemy sobie oboje wybaczyć?

— Myślę, że już to zrobiliśmy. Nie rozumiesz jednak? Kiedy ból osłabł na tyle, że mogłam zacząć myśleć, zobaczyłam, że z tego co było nic nie zostało. Och, przyjaźń, szacunek, wspomnienia do pielęgnowania. I to wszystko.

— Czy to nie wystarczy... żeby wszystko odbudować?

— Nie, Phil. Rozumiem siebie lepiej niż przedtem. Gdybyśmy spróbowali, wiem, co prędzej czy później bym ci zrobiła. Ale nie zrobię. Chcę zachować to, co było między nami, czyste.

Pocałowała go delikatnie i podniosła się.

Rozmawiali jeszcze chwilę, zażenowani, aż w końcu mógł ją odprawić, tłumacząc się – co nie do końca było nieprawdą – że potrzebuje odpoczynku. Kiedy odeszła, zamknął oczy, założywszy słuchawki, które odcięły go od ziemskich głosów.

„Ma rację, prawdopodobnie”, pomyślał. „A moje życie również nie legło w gruzach. Chyba też to przeboleję.” Przypomniał sobie dziewczynę z Fleurville i miał nadzieję, że zostanie przeniesiony do szpitala w Esperance, kiedy – jeśli – zawieszenie broni zmieni się w pokój.

Na zewnątrz Tabitha zatrzymała się, żeby założyć pas grawitacyjny, który odebrała z szatni. Budynek został pospiesznie wzniesiony na obrzeżach Gray. (Pamiętała protesty, gdy Strażnik Marchii Holm

przekierował moce produkcyjne z produkcji wojennej na placówki medyczne, w czasie, gdy wznowienie działań wojennych wydawało się nieuniknione. Komentatorzy wskazywali, że to, co zarządził, było to zbyt mało dla ofiar rozległych bombardowań, a zbyt dużo dla ofiar wszelkich możliwych walk na mniejszą skalę. Warknął tylko: „Robimy, co możemy” i przeforsował projekt. Pomógł w tym fakt, że główni oficerowie Obrony Terytorialnej nalegali na posłuszeństwo. Wiedzieli co naprawdę miał w planach - tych ludzi, których ból sprawił, że broń z taką niepewnością umilkła). W miejscu, w którym stała, ozdobione szmaragdowym susinem zbocze wzgórza, usiane krzewami ornatowymi i pucharami Buddy, opadało w dół ku obsypanemu kwiatami i ogrodami miastu, ogromnemu łukowi wznoszącej się linii brzegowej, blaskowi Zatoki Falkayn. Małe, puszyste obłoki uciekały na wietrze, który szemrał i pachniał żywą wodą.

Wdychała otaczający ją chłód. Po Ekwatorii, był on upajający. A raczej powinien być. Czuła się dziwnie pusta w środku.

Załopotały skrzydła. Przed nią wylądowała Ythrianka.

— Dobrych lotów, Hril — powitała ją kobieta.

Tabitha mrugnęła z zaskoczenia. Kto...? Po chwili nastąpiło rozpoznanie.

— Eyath! Tobie również, dobrych lądowań. — „Jaki przygaszony jest jej głos, jakie matowe ma pióra. Nie widziałam jej od tamtego dnia na wyspie...” Tabitha pochwyciła szponiastą dłoń w obie ręce. — To wspaniale cię widzieć, moja droga. Dobrze się czujesz?

Postawa Eyath, nasunięte na oczy pióra i błony, dały jej odpowiedź. Tabitha pochyliła się i objęła ją.

— Szukałam cię — wymamrotała Eyath. — Spędziłam bitwę w domu; potem też, pasąc zwierzęta, bo potrzebowałam samotności, a mówili mi, że planeta potrzebuje mięsa. — Jej głowa spoczęła na piersi Tabithy. — Ostatnio się od tego uwolniłam i przybyłam szukać...

Tabitha głaskała ją po plecach, raz po raz.

— Dowiedziałam się, gdzie cię przydzielono i że wspomniałaś, iż zatrzymasz się w Gray na urlop — ciągnęła Eyath. — Czekałam. Pytałam w hotelach. Dzisiaj w jednym z nich powiedziano mi, że przyleciałaś i wkrótce potem gdzieś się wybrałaś. Pomyślałam, że mogłaś tu przylecieć, a próba znalezienia cię była lepsza niż czekanie.

— Powiedz mi, co mogę dla ciebie zrobić, wietrzna siostrze.

— To trudne. — Eyath boleśnie ścisnęła ramiona Tabithy, nie podnosząc głowy. — Arinnian też tu jest. Jest tu od jakiegoś czasu, pracuje przy sztabie swojego ojca. Szukałam go i... — Zduszony dźwięk, choć Ythrianie nie płaczą.

Tabitha domyśliła się:

— On cię unika.

— Tak. Próbuje być miły. To najgorsze, co mógłby zrobić”.

— Po tym, co się stało...

— Ka-a-a-ah. Dla niego nie jestem już taka sama. — Eyath zebrała siły. — Ani dla siebie. Ale miałam nadzieję, że Arinnian zrozumie to lepiej niż ja.

— Czy to on jest tym samotnym, który może pomóc? A co z twoimi rodzicami, rodzeństwem, braćmi z choth?

— Oni się w stosunku do mnie nie zmienili. Dlaczego mieliby się zmieniać? W Stormgate takie nieszczęście jak moje traktowane jest jako nieszczęście, nie hańba, nie krzywda. Nie potrafią pojąć, co czuję.

— A ty czujesz to z powodu Arinniana. Rozumiem. — Tabitha popatrzyła na przeraźliwie piękny dzień. — Co mogę zrobić?

— Nie wiem. Może nic. Ale gdybyś mogła z nim porozmawiać - wyjaśnić - błagać go o przebaczenie dla mnie...

Wezbrał w niej gniew.

— Błagać go? Gdzie on jest?

— Przypuszczam, że w pracy. W domu...

— Znam adres. — Tabitha puściła ją i wstała. — Chodź, dziewczyno. Koniec gadania. Ruszemy na ciężki lot w tę cudowną pogodę, a ja wykorzystam fakt, że latam na maszynie, żeby cię trochę zmęczyć. A pod koniec dnia polecimy tam, gdzie teraz mieszkasz, i chcę zobaczyć jak śpisz.

...Zapadł zmierzch, pojawiły się szafranowe barwy nad srebrzystymi wodami, gdzie indziej głębokie błękity i pierwsze gwiazdy. Tabitha wylądowała przed drzwiami Arinniana. Jego okna jarzyły się światłem. Nie dotknęła dzwonka, uderzyła pięścią w drzwi.

Otworzył. Zobaczyła, że on też wychudł, jego mahoniowe włosy splecione były nad zmęczonymi rysami twarzy i rozchełstanym ubraniem.

— Hrill! — wykrzyknął. — Dlaczego... Ja nigdy... Wejdz, wejdz!

Przeszła obok niego i odwróciła się. Pomieszczenie było w nieładzie, najwyraźniej używane tylko do spania i posiłków. Niepewnie ruszył w jej stronę. Ich kontakty były krótkie, poprawne, za pośrednictwem telefonu, aż do rozpoczęcia walk. Potem potwierdzili sobie nawzajem, że przeżyli, i to było wszystko.

— Cieszę się, że cię widzę, Hrill — wyjąkał.

— Nie wiem, czy ja czuję to samo — wyrzuciła z siebie. — Siadaj. Mam ci coś do powiedzenia, ty świętoszkowaty głąbie.

Stał przez chwilę, a potem posłuchał. Dostrzegła jego ból i nagle zabrakło jej słów. Spoglądali na siebie w milczeniu przez kilka minut.

Daniel Holm siedział przed ekranami, za którymi znajdowali się Liaw z The Tarns, Matthew Vickery z Parlamentu i Juan Cajal z Imperium. Czwarty ekran właśnie pociemniał. Wisiał na nim nagrany na taśmie apel Trauvaya, Najwyższego Wyvana z Ythri, aby Avalon ustąpił, zanim wydarzy się coś gorszego i całej Domenie zostanie narzucona jeszcze bardziej surowa forma pokoju.

— Słyszeliście, panowie? — spytał Cajal.

— Słyszeliśmy — odpowiedział Liaw.

Holm poczuł bijący puls w piersi i skroniach, nieznacznie przyspieszony, lecz mocny i jednostajny. Tęsknił za cygarem -

niedostępnym - albo drinkiem - niewskazanym - albo za rokiem snu bez przerwy. W obecnej chwili, przemknęło mu przez głowę, i tak jesteśmy w lepszej formie niż admirał. Jeśli kiedykolwiek widziałem trupa czachę, to właśnie ona sterczy nad jego naramiennikami.

— Co panowie na to? — kontynuował Cajal, ciężko jak starzec.

— Nie mamy ochoty na walkę — oznajmił Liaw — ani na pogłębianie cierpienia naszych braci. Nie możemy jednak oddać tego, za co nasz lud tak drogo dla nas zapłacił.

— Strażniku Marchii Holm?

— Nie wznowicie ataku, dopóki mamy tu waszych ludzi — odparł szorstko człowiek. — Nie żebyśmy ich trzymali wiecznie. Mówiłem panu już, nie zrobimy z myślących istot kart przetargowych. Mimo to czas i okoliczności ich uwolnienia muszą zostać uzgodnione.

Spojrzenie Cajala przesunęło się na kolejny ekran.

— Prezydent Vickery?

Odpowiedzi towarzyszył polityczny uśmiech:

— Wydarzenia zmusiły mnie do zmiany zdania co do sytuacji strategicznej, admirał. Pozostaję w stanowczym sprzeciwie wobec postaw absolutystycznych. Mój szanowny kolega, gubernator Saracoglu, zawsze robił na mnie wrażenie równie rozsądnego. Niedawno wrócił pan z długiej narady z nim. Niewątpliwie uczestniczyło w niej wiele inteligentnych i dobrze poinformowanych osób. Czy nie pojawiła się żadna możliwość kompromisu?

Cajal oklapł.

— Mógłbym się z panami spierać i targować całymi dniami — powiedział. — Po co? Skorzystam z przysługujących mi uprawnień i natychmiast przedstawię panu maksimum tego, do zaproponowania czego jestem upoważniony.

Holm chwycił poręczę fotela.

— Gubernator wskazał, że Avalon można uznać za kraj, który spełnił już większość warunków zawieszenia broni — wydusił z siebie Cajal. — Jego orbitalne fortyfikacje już nie istnieją. Jego flota to resztki, których sekwestracja, w razie potrzeby, nie zrobiłaby wam żadnej różnicy. Co najważniejsze, jednostki imperialne znajdują się już obecnie na waszej planecie.

— Nie pozostało niczego, poza paroma formalnościami. Nasi ranni i medycy muszą otrzymać potwierdzoną nazwę sił okupacyjnych. Trzeba ustanowić dowództwo nad waszymi bazami wojskowymi; jeden lub dwóch ludzi na stację spełni te wymagania, nie stwarzając jednocześnie zagrożenia przejęcia w przypadku zerwania rozejmu. Itd. Rozumiecie panowie, o co chodzi.

— O ocalenie twarzy — mruknął Holm. — Aha. Czemużby nie? Ale co potem?

— Traktat pokojowy pozostaje do sformułowania — powiedział wyczerpanym głosem admirał. — Mogę panom powiedzieć, w ścisłej tajemnicy, że gubernator Saracoglu przesłał do Cesarza swoje jak najmocniejsze rekomendacje, aby Avalon nie został anektowany.

Vickery zaczął coś bełkotać. Liaw zamarł w bezruchu. Holm odetchnął głęboko i oparł się plecami o oparcie fotela.

Udało im się. Naprawdę im się udało.

Rozmowy oczywiście będą trwały. I będą trwały i trwały, wraz z niekończącymi się drobiazgami i niekończącym się biciem piany. Nieważne. Avalon pozostanie ythriański - pozostanie wolny.

„Powinienem zacząć krzyczeć z radości”, pomyślał. „Może później. Teraz jestem za bardzo zmęczony.”

Jego największa bezpośrednia radość, cicha i głęboka, płynęła ze świadomości, że dziś wieczorem będzie mógł wrócić do domu, do Roweny.

XIX

Nie było nagłych olśnień, dramatycznych rewelacji i pojednań. Ale Arinnian miał zapamiętać pewną chwilę.

Praca dla ojca przestała być dla niego tak bardzo wymagająca. Zdał sobie sprawę, że powinien wykorzystać odzyskany wolny czas na powrót do nauki. Potem doszedł do wniosku, że nie ma nic bardziej niepraktycznego niż źle pojęta praktyczność. Tabitha zgodziła się z tym. Odeszła z aktywnej służby. Na razie jednak musiała wrócić na wyspę i uporządkować swoje sprawy, choćby dla dobra rodziny partnera. Tymczasem Arinnian wciąż pozostawał uwięziony w Gray.

Zadzwoił do Eyath do jej wynajętego pokoju:

— Yyy, czy miałybyś ochotę, yyy, trochę pozełgować?

— Tak — odparła każdym piórem.

Warunki były dalekie od idealnych. Gdy łódź wypływała z zatoki, nadciągał deszcz. Kadłub przeskakiwał przez wzburzone, oliwkowo-ciemne fale, liny grały; woda zacinała z niewidocznego nieba niczym długie włócznie, które łamały się na skórze i spływały chłodnymi drzazgami, zmierzając do miejsc, skąd wpadały do morza.

— Czy płyniemy dalej? — spytał.

— Z największą chęcią. — Jej wzrok szukał lądu, cienia za rufą. Nie było widać żadnych innych statków ani lotników. — To relaksujące być tak samemu.

Skinął głową. Rozebrał się, a woda osiadała mu na włosach i spływała po całym ciele.

Popatrzyła na niego ze swojego miejsca na dachu kabiny, przez kokpit, który ich rozdzielał.

— Miałeś mi coś do powiedzenia — powiedziała dwoma słowami i całym ciałem.

— Tak. — Rumpel drgnął w jego dłoni. — Wczoraj w nocy, zanim odleciała... — W Planha nie musiał już nic więcej mówić.

— Wietrzna siostra, wietrzna siostra — wyszeptała. — Cieszę się wraz z tobą. — Na wpół rozłożyła ku niemu skrzydła, skrzywiła się i zwinęła je.

— Na zawsze — oświadczył z respektem.

— Nikogo nie życzyłabym sobie dla ciebie bardziej, niż Hriil — odparła Eyath. Przyglądając mu się bliżej: — Ty wciąż się martwisz.

Przygryzł wargę.

Eyath czekała.

— Powiedz — wydusił z siebie, wpatrując się w pokład. — Patrzysz na nas z boku. Czy jestem w stanie być kimś, na kogo ona zasługuje?

Nie odpowiedziała od razu. Zaskoczony tym, że nie otrzymał natychmiastowej odpowiedzi, której się spodziewał, Arinnian uniósł wzrok

na jej milczenie. Nie śmiał przerwać jej myśli. Fale huczały, deszcz się śmiał.

W końcu powiedziała:

— Wierzę, że ona jest w stanie cię uczynić zdolnym do wielkości.

Obmacał ranę. Eyath zaczęła przeproszać, wzywała go do determinacji, ale zrezygnowała z tego.

— Od dawna czułam — powiedziała mu — że potrzebujesz kogoś takiego jak Hril, żeby ci pokazała - pokazała ci jak - to, co jest złe dla mojego ludu, jest dobre, jest celem i sensem życia, dla twojego.

Zebrał się na odwagę i powiedział:

— Drugą część tego znałem w teorii. Teraz pojawia się ona jako niezaprzeczalny fakt. Och, byłem zazdrosny już wcześniej. Nadal jestem, może będę aż do śmierci, niezdolny do tego, by pomóc sobie samemu. Ona jednak jest warta każdej ceny. Uczę się, Eyath, moja siostró, że ona nie jest tobą, a ty nie jesteś nią i dobrze, że oboje jesteście tym, kim jesteście.

— To ona dała ci mądrość. — Ythrianka skuliła się, osłaniając przed deszczem.

Arinnian, widząc jej smutek, wykrzyknął:

— Pozwól mi przekazać dar dalej. To, co cię spotkało...

Uniosła głowę, by spojrzeć na niego dziko.

— Czy to było gorsze od tego, co spotkało ją? — spytał. — Nie proszę o litość - ludzkie słowo - z powodu dawnej głupoty, ale myślę, że mój los był cięższy niż wasz, lata, które zmarnowałam, wyobrażając sobie, że miłość cielesna może być zła, wyobrażając sobie, że różni się czymkolwiek od miłości, jaką darzę ciebie, Eyath. Teraz będziemy musieli naprawić się nawzajem. Chcę, żebyś podzielała moje nadzieje.

Poderwała się z dachu kabiny, podeszła do niego i owinęła go w skrzydła. Położyła głowę na jego ramieniu, mamrocząc coś. Krople deszczu lśniły na jej grzebieniu niczym klejnoty w koronie.

* * *

Traktat został podpisany we Fleurville, pewnego dnia, późną zimą. Nie było wielkich ceremonii, a delegaci Ythrian niemal natychmiast odlecieli.

— Nie w jakimś wielkim gniewie — wyjaśnił Ekrem Saracoglu Luisie Cajal, która odmówiła jego zaproszeniu na to wydarzenie. — Ogólnie rzecz biorąc, traktują swoją stratę filozoficznie. Ale nie mogliśmy też ich prosić, żeby siedzieli przez te wszystkie nasze rytuały. — Zaciągnął się papierosem. — Szczerze, ja też byłem rad, że udało mi się od tego wywinąć.

Prawdę mówiąc, po prostu wygłosił oświadczenie w telewizji i unikał jak ognia późniejszych uroczystości. Socjeta, taka jak w Esperance, musiała formalnie oznakować koniec wrogości, rozwlekłymi marszami i jeszcze bardziej rozwlekłymi mszami dziękczynnymi.

To było wczoraj. Następnego popołudnia pogoda nadal była łagodna i Luisa zgodziła się przybyć na kolację. Powiedziała, że jej ojciec źle się

czuje, co, niezależnie od jego sympatii i szacunku dla tego człowieka, nie do końca nie spodobało się Saracoglu.

Spacerowali po ogrodzie, tylko ona i on, jak często wcześniej. Wzdłuż ścieżek, które zostały oczyszczone, śnieg pokrywał grządki, krzewy i gałęzie, szczyt muru, wciąż biały, choć topniał, gdzieś tam wydając ciche szmery i bulgotania, w miejscach gdzie wypływała z niego woda. Na dworze nie pozostał żaden kwiat, w powietrzu unosiła się tylko wilgoć i nawet niebo zrobiło się jednostajnie gołębio-szare. Pod jego kopułą panowała głucha cisza, a kroki głośno chrzęściły na żwirze.

— Poza tym — dodał — z ulgą patrzyłem na rzecznika Avalonu i jego towarzyszy, wchodzących na pokład ich statku. Agenci tajnych służb, których przydzieliłem im do ochrony, byli wręcz wniebowzięci.

— Naprawdę? — Spojrzała w górę, co dało mu szansę na skupienie się na jej błyszczących oczach, zadartym nosie i ustach rozchylonych jak u dziecka. Ale mówiła poważnie - zbyt poważnie, zbyt często to robiła, do cholery. — Dochodziły do mnie wieści, że pod ich adresem pojawiły się jakieś idiotyczne, anonimowe groźby śmierci. Aż tak się tym martwiłeś?

Skinął głową.

— Trochę już poznałem moich drogich mieszkańców Esperance. Kiedy Avalon zniszczył ich pierwotną euforię... no cóż, sami obserwowaliście i słyszeliście te brednie o „nieustępliwych militarystach”.

Zastanawiał się, czy futrzana czapka ukrywa jego łysinę, czy też ją jej przywodzi na myśl. Może powinien się przełamać i zająć się swoim skalpem. Zaniepokojona, spytała:

— Czy oni kiedykolwiek zapomną... obie strony?

— Nie — odparł. — Spodziewam się, że urazy z czasem zblakną. Terra i Ythri mają zbyt wiele wspólnych interesów, żeby zamieniać rodzinną bójkę w krwawą waśń rodową. Przynajmniej mam taką nadzieję.

— Byliśmy bardziej hojni, niż musieliśmy. Prawda? Na przykład pozwalając im zatrzymać Avalon. Czy to się nie liczy?

— Powinno. — Saracoglu uśmiechnął się lewym kącikiem ust, zaciągnął się po raz ostatni, cierpkim papierosem i odrzucił go. — Chociaż wszyscy widzą praktyczne aspekty tej sytuacji. Avalon okazał się niestrawny. Aneksja oznaczałaby niekończące się pasmo kłopotów, podczas gdy Avalon jako zwykła enklawa nie stwarza żadnych oczywistych problemów, takich jak te, o których rozwiązanie stoczono tę wojnę. Co więcej, dzięki temu ustępstwu, Imperium zyskało cenne punkty w handlu, na które inaczej nie miałoby możliwości nalegać.

— Wiem — rzuciła, nieco niecierpliwie.

Zachichotał.

— Wiesz też, że lubię słuchać swojego głosu.

Wezbrał w niej smutek.

— Chętnie odwiedziłabym Avalon.

— Ja też. Zwłaszcza z socjologicznych powodów. Zastanawiam się, czy ta planeta nie jest zapowiedzią odległej przyszłości.

— W jaki sposób?

Utrzymywał powolne tempo spaceru i nie zapominał o jej ręce spoczywającej na jego ramieniu; ale popatrzył przed siebie mrużąc oczy i wyjawiał jedną ze swych najpoważniejszych myśli:

— Oni tworzą kulturę dwu-rasową. A może raczej, ona tworzy się sama; nie można zaplanować ani pokierować nowym nurtem historii. Zastanawiam się, czy w tym właśnie nie tkwiło źródło sukcesu ich oporu - jak w przypadku stopu lub materiału dwufazowego, wielokrotnie mocniejszego niż każdy z jego składników. A my mamy galaktykę, kosmos do wypełnienia...

„O Jezu, co za mieszanina metafor, w tym również i ta”, kotłowało się w jego umyśle. Zaśmiał się w duchu, wzruszył ramionami i dokończył:

— No cóż, nie spodziewam się, żebym jeszcze długo był tu w okolicy, aby się tym przejmować. Nie sądzę nawet, żebym musiał mierzyć się z bardziej zawiłymi konsekwencjami pozostawienia Avalonu z Ythri.

— A na czym one mogą polegać? — zastanawiała się Luisa. — Właśnie powiedziałeś, że to było jedyne wyjście.

— Rzeczywiście. Być może wyrażam jedynie naturalny pesymizm człowieka, którego lunch w Gmachu Rządowym był mało satysfakcjonujący. Mimo to, można tu sobie wyobrazić różne możliwości. Avalończycy, obie rasy, poczują się bardziej Ythriańscy niż Ythrianie. Przewiduję, że przyszłe pokolenia ich cywilizacji zapewnią Domenie nieproporcjonalnie dużą część, a być może nawet większość jej admirałów. Miejmy nadzieję, że nie przyniosą jej dodatkowo rewanżyzmu. A w warunkach pokojowych Avalon, wyjątkowy świat o wyjątkowym położeniu, z pewnością przyciągnie większy udział w handlu, niż wynikałoby tylko z jego rozmiarów - a co ważniejsze, przyciągnie umysły, które podążają za okazją. Skutki tego mogą być nieprzewidywalne.

Jej uścisk na jego rękawie zacieśnił się.

— Cieszę się, że ja nie jestem politykiem.

— Ale ani w połowie tak jak ja, że ty nie jesteś politykiem — powiedział, kładąc nacisk na ostatnie słowa. — Chodźmy, zostawmy te ponure, ważne sprawy. Porozmawiajmy - na przykład o twojej podróży na Avalon. Jestem pewien, że da się to zorganizować już za kilka miesięcy.

Odwróciła od niego twarz. Kiedy cisza trwała przez dłuższą chwilę, zatrzymał się, ona również.

— Co się stało? — spytał przestraszony.

— Wyjeżdżam, Ekrem — odparła. — Wkrótce. Na stałe.

— Słucham? — Powstrzymał się, żeby jej nie pochwycić.

— Ojciec. Wysłał dzisiaj swą rezygnację.

— Wiem, że... nękają go złośliwymi oskarżeniami. Pamiętasz, że pisałem w tej sprawie do Admiralicji.

— Tak. To było miłe z twojej strony.

Znów spojrzała mu w oczy.

— To był mój obowiązek, Luiso. — Strach go nie opuszczał, ale z zadowoleniem zauważył, że mówił stanowczo i zachował swój najwspanialszy uśmiech. — Imperium potrzebuje dobrych ludzi. Nikt nie mógł przewidzieć katastrofy Scorpeluny ani zrobić więcej po tym, co się wydarzyło, niż Juan Cajal. Obwinianie go, domaganie się sądu

wojskowego, to paskudna złośliwość i zapewniam cię, że nic z tego nie wyjdzie.

— Ale on wini siebie — wykrzyknęła cicho.

„Nie mam na to dobrej odpowiedzi”, pomyślał.

— Wracamy do Nuevo México — oznajmiła.

— Zdaję sobie sprawę — spróbował — że te wydarzenia mogą być dla niego zbyt bolesne. Czy jednak ty musisz odejść wraz z nim?

— A kogo jeszcze on ma?

— Mnie. Ja, ach, prawdopodobnie w końcu zostanę wezwany na Terrę...

— Przepraszam cię, Ekrem. — Jej rzęsy opadły na delikatne kości policzkowe. — Terra też nie będzie dobrym miejscem dla niego. Nie pozwolę mu samemu gryźć się tymi udrękami. W domu, wśród swoich, poczuje się lepiej. — Uśmiechnęła się, nie do końca pewnie, i odrzuciła głowę. — Ludzi naszego rodzaju. Przyznaję, że sama trochę tęsknię za domem. Odwiedź nas kiedyś. — Uważnie dobierała słowa: — Niewątpliwie wyjdę za mąż. Myślę, jeśli nie masz nic przeciwko temu, że mogłabym nadać chłopcu twoje imię.

— No cóż, byłbym zaszczycony bardziej niż wszystkim, co Cesarz mógłby powiesić na tej mojej sflaczałej piersi — odparł automatycznie. — Wejdziemy do środka? Może trochę za wcześnie na drinki; z drugiej strony, to wyjątkowa okazja.

„No cóż”, pomyślał, pomimo bólu, „to marzenie było miłym gościem, ale teraz jestem już zwolniony z obowiązków gospodarza. Mogę się zrelaksować i cieszyć odgrywaniem gubernatora, rycerza, szlachcica, lorda doradcy, emerytowanego męża stanu, dyktującego niekończące się i kłamliwe pamiętniki.”

„Jutro muszę zbadać miejscowe możliwości co do energicznych i usługowych dam. W końcu, tylko raz człowiek jest w średnim wieku.”

Lato zagościło już w Gray, kiedy wieść dotarła na Avalon. Wcześniej panowało pewne napięcie - któż mógł tak naprawdę zaufać Imperium? – tak więc radość wśród ludności wybuchła prawdziwym świętem.

Christopher Holm i Tabitha Falkayn wkrótce opuścili wesołe uroczystości. Ogłoszenia, ceremonie, ucztę mogły poczekać; postanowili, że noc zawarcia ostatecznego pokoju będzie ich nocą poślubną.

Mimo to nie czuli potrzeby pośpiechu. Nie tak postępowali bracia z choth. Przeciwnie, para szukała okazji aby stać się jednością ze swoim światem, swoim przeznaczeniem i swoimi zmarłymi - czy to w oczekiwaniu na czas godowy, czy jego trakcie - dopóki wszystkie kłopoty nie zostaną przezwyciężone i nie będą mogli swobodnie stać się jednością ze sobą.

Wzgórza za północnym cyplem były jeszcze niezamieszkane, choć rośliny, których przodkowie przybyli tu wraz z pionierami, dawno przestały być na nich obcym ciałem. Chris i Tabby wylądowali w blasku zachodzącego słońca, którego czerwień i złoto szalały nad spokojnym morzem. Rozbili obóz, zjedli, wypili po małym kieliszku wina i długo się całowali; potem, trzymając się za ręce, ruszyli ścieżką biegnącą wzdłuż grzbietu.

Po ich lewej stronie, w miarę jak wypalały się reszki światła dnia, trawy, wśród których wyróżniały się kępy koniczyn i mieczy-smutku, opadały stromo do samej wody. Ich migotliwe bezmiary, ciągnęły się po linię horyzontu, która sama nikła na tle nieba ciemniejącego stopniowo we fioletach aż do krystalicznej czerni. Gwiazda wieczorna świeciła niczym świeca pośród budzących się konstelacji. Po prawej stronie ciągnął się las, ciemniejący, wciąż słodko pachnący sosnami. Ciepły, lekki wietrzyk poruszał harfami lian, a ostatnie błyski jasności migotały wśród liści niczym klejnoty.

— Eyath? — spytała w pewnej chwili.

— Poleciała do domu — odparł.

Te słowa, a także ton jego głosu i muśnięcie ust po jej prawie niewidocznych włosach, powiedziały: „Pokazując mi, że muszę ją uzdrowić, i radząc jak to zrobić, uzdrowiłaś również i mnie, moja droga.”

Jej opuszki palców, dotykając jego policzka, odparły: „Ku mojej własnej radości, która rosła i rosła.”

Niemniej jednak wyczuwał w niej jeszcze inne pytanie. Myślał, że wie, jak ono brzmi. Często stawało ono również i przed nim; ale on, czytany, filozof, poeta, potrafił lepiej niż ona, której darem było rozumienie teraźniejszości, badać minione stulecia.

Nie naciskał, aby je wypowiedziała. Wystarczyło na tę chwilę, że była tutaj i należała do niego.

Weszła Morgana, pełna, cętkowana i mniej jasna niż kiedyś. Tyle blizn pojawiło się na jej obliczu. Tabby zatrzymała się.

— Czy było warto? — spytała. Usłyszał w jej głosie długie cierpienie.

— Masz na myśli wojnę? — odpowiedział jej.

— Tak. — Uniosła wolną rękę. — Spójrz tam. Spójrz wszędzie - na całej planecie, W kosmosie aż po te słońca - śmierć, kalectwo, udręka, żałoba, ruina - straty takie jak ta na Morganie, rzeczy, których pozbawiliśmy nasze dzieci - żeby dowieść swego politycznego celu!

— Też się nad tym zastanawiałem — przyznał. — Pamiętaj jednak, że zachowaliśmy również dla naszych dzieci coś, co w przeciwnym razie by straciły. Zachowaliśmy dla nich prawo do bycia sobą.

— Chciałeś powiedzieć, do bycia tym kim my jesteśmy. Załóżmy, że zostalibyśmy pokonani. Prawie zostaliśmy. Następne pokolenie wyrosłoby na w miarę zadowolonych poddanych Imperium. Czyż nie? Czy więc, przede wszystkim, mieliśmy prawo zrobić to, co zrobiliśmy?

— Ja zdecydowałem, że tak — oznajmił. — Nie żeby istniała jakaś prosta zasada w tej sprawie i nie żebym nie mógł się mylić. Ale wydaje mi się... no cóż, to, czym jesteśmy, nasze społeczeństwo, kultura, czy jakkolwiek zechcesz to nazwać, ma swoje prawo do własnego życia.

Wciągnął oddech.

— Ukochana — powiedział, — gdyby społeczności nie stawiały oporu przeciwko napaściom, wkrótce zostałyby pochłonięte przez największych i najbardziej chciwych. Czyż nie? Ostatecznie powstałaby martwa jednostajność. Żadnych wyzwań, żadnych inspiracji z cudzej drogi. Jaką przysługę sprawilibyśmy życiu, gdybyśmy na to pozwolili?

— A ponadto, wiesz, wrogość nie musi być wieczna. Śmiem twierdzić, dla przykładu, że gubernator Saracoglu i admirał Cajal musieli mieć przodków po przeciwnych stronach, w bitwie pod Lepanto. — Zauważył, że nie zrozumiała jego aluzji. Nieważne, nadała za jego tokiem rozumowania. — Chodzi o to, że obaj walczyli, obaj stawiali opór, obaj przetrwali, aby dać coś rasie, coś wyjątkowego, czego nikt inny nie mógłby dać. Czyż nie potrafisz uwierzyć, że tutaj, na Avalonie, my również uratowaliśmy część przyszłości?

— Zlaną krwią — powiedziała.

— To nie było konieczne — zgodził się. — A jednak my, inteligentne istoty, jesteśmy tym kim jesteśmy, było to więc nieuniknione. Może kiedyś pojawi się coś lepszego. Może nawet my, stworzenia uskrzydłone i bezskrzydłe, w tym pomożemy. Musimy próbować dalej, oczywiście.

— I przez jakiś czas będziemy mieć pokój — wyszeptała.

— Czy nie możemy być z tego powodu szczęśliwi? — spytał.

Potem uśmiechnęła się do siebie przez łzy w blasku księżyca i powiedziała:

— Tak, Arinnianie, Chrisie, najdroższy ze wszystkich — i wyciągnęła do niego rękę.

Eyath opuściła Gray przed świtem.

O tej porze, po nocnej hulance, miała niebo tylko dla siebie. Wznosząc się, złapała wiatr i poleciała na jego podmuchach jeszcze wyżej. Płynął, śpiewał w jej uszach. Ostatnie gwiazdy, zachodzący księżyc, zamieniały morze i ląd w tajemnicze przestrzenie; z przodu, ostro przecinając biel poranka, wznosiły się góry domu.

Było zimno, ale to sprawiało, że krew w niej burzyła się.

Pomyślała: „Ten, który się o mnie troszczył, i ten, który mnie zdobył, dzielą ten sam zaszczyt. Dosyć.”

Mięśnie tańczyły, skrzydła trzepotały, żywe aż po najdalsze lotki. Planeta wirowała zmierzając ku porankowi. „Mój brat, moja siostra odnaleźli swoją radość. Pozwólcie mi pójść i poszukać własnej.”

Ośnieżone szczyty zapłonęły. Słońce weszło w rozbłysku światła.

„Niebo jest wysokie i święte.”

KONIEC